POLSKI RAP PRAWDZIWA HISTORIA

CO MIESIĄC PŁYTA CD

ŚLIZG

rap graffiti breakdance deskorolka komiks

www.slizg.com.pl

12/108 grudzień

10 przykazań O.S.T.R.

TEKA

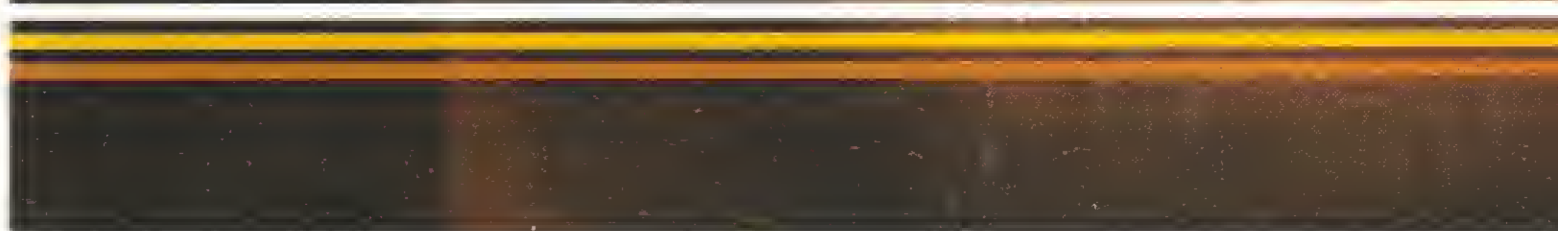
WALL-E

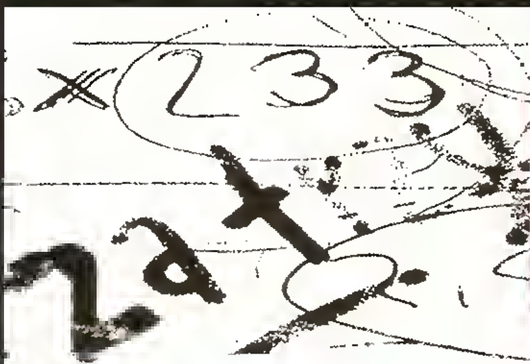
BOTY

numer 12/108
grudzień 2004
ISSN 1425-1760
INDEX 332682
cena: 6 PLN
(w tym 7% VAT)




cropp town
MIASTO PREZENTÓW





Duże Pe, mc z warszawskiego Bemowa, który na swojej płycie „Sinus" przeplata poezję z bragga przy akompaniamencie beatów IGS'a i skreczy Spoksa. Znakomity wolnostylowiec. Szalony nawijacz w dancehallowym Cinq G. Człowiek o niespożytej energii, dużej wrażliwości i wyobraźni, który w tekstach stroni od naszego tematu przewodniego – polityki. Rozpolitykował się za to przynajmniej w co poniektórych odpowiedziach.



DUŻE PE

trzy znienawidzone przedmioty szkolne:
Różnie, w zależności od nauczycieli. Do przedmiotów samych w sobie nienawiści raczej nie żywiłem...
trzy postacie – bohaterowie:
Dowolni trzej spośród tych, którzy na przestrzeni dziejów nie dali się zadeptać i upodlić narzucającym życiu w Polsce ton hybrydom „cwaniaka bez klasy i zasad" oraz „konformisty bez moralnego kręgosłupa", ze szczególnym uwzględnieniem tych, którzy nie bali się walczyć o swoje ideały (jakkolwiek beznadziejna walka by to nie była).
trzy antypatie – leszcze:
Dowolni trzej spośród tych, których określić można jako wspomniane hybrydy „cwaniaka bez klasy i zasad" oraz „konformisty bez moralnego kręgosłupa" występujące w Polsce na przestrzeni dziejów, ze szczególnym podkreśleniem popłuczyn po systemie słusznie minionym, które mimo zmiany ustroju zostały przy wszelkiego rodzaju korytach.
trzy napoje:
Herbata z aromatolem i miodem, kawa latte przyrządzana przez Mamuta w Indeksie, oryginalna Sangria z lodem i owocami.
trzy potrawy:
Wszystko, co przyrządza wkładając w to serce ktokolwiek z przyjaciół lub z rodziny oraz przyrządzana według tajemnej receptury pizza „Ragga – Dancehall" w pizzerii Potocka 21.
trzy programy tv:
Jeżeli coś oglądam w TV, są to zazwyczaj dobre filmy albo sport, więc się nie wypowiem...
trzy płyty:
Raczej trzy tysiące płyt, ale... Pierwszą wciąż pozostaje „October Rust" Type O Negative.
trzy filmy:
„Kochankowie z Kręgu Polarnego", „Pi", „Wichrowe Wzgórza".
trzy książki:
Bruno Jasieński – „Palę Paryż" (ze wskazaniem na część pierwszą), Jeanette Winterson – „Zapisane na Ciele", Jan Wolkers – „Rachmattukum".
trzy kolory:
Czarny, biały, czerwony.
trzy cyfry:
Dowolne. Dopiero kombinacje cyfr mają znaczenie...
trzy napisy na murach:
„skinchets is kink", „jeż wentylek zjada marchwie" oraz wszystkie naścienne mądrości Saturatora.
trzy dziewczyny:
Pyretta Blaze, Izolda Morgan, Anais Nin.
trzy miejsca:
ToSieWytnie Studio, Contrabanda Studio, IGS Studio.
trzy zainteresowania:
Rymy, bity, życie.
trzy gadżety:
Zeszyt, długopis, myśli.
trzy ulubione słowa:
Wszystkie, które się ze sobą rymują.
trzy sukcesy:
(patrząc na sukcesy osobiście...)
Duże Pe + IGS + DJ Spox – „Sinus"
Cinq G – „P.I.Ę.Ć.G.I.E. Panama"
Wygrana w WBW 2004.
trzy porażki:
(patrząc na porażki nieco bardziej globalnie...)
To, co zrobiono z Polską w latach '39 – '89 (oraz co w wyniku tego stało się z Warszawą).
To, co zrobiono z szansą, jaka stała przed Polską po '89 roku.
To, jakie ideały i wartości zyskują w zastraszającym tempie coraz szersze rzesze wyznawców.
trzy plany na przyszłość:
Doczekać naturalnej śmierci pozostając sobą, nie zmieniać się na gorsze, zmieniać się na lepsze.
trzy rzeczy ode mnie:
Pokój dla wszystkich przyjaciół. Pokój dla wszystkich wrogów. Myślmy co robimy. Wszyscy.

108



W ŚRODKU

INTRO INTRO

Wydawca:
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa ul. Brzozowa 35,
tel/fax +48(prefix)226359874
nr konta: Kredyt Bank IV O/Warszawa
41-1500-1777-1217700-66518-0000
Dyrektor Wydawnictwa / Redaktor Naczelny:
Łukasz Kowalski (rednaczkwl@slizg.com.pl)
Sekretarz Redakcji: Kuba Demiańczuk (hellboy@slizg.com.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wzrr@slizg.com.pl),
Redakcja: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@slizg.com.pl),
Cessya (cess@slizg.com.pl), Flintstone (ef@slizg.com.pl),
Krzysztof Grabowski
Korekta: Paweł Gadaczek
Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański (szatan@slizg.com.pl)
Ilustracje: Marek Oleksicki (moleksicki@wp.pl)
Zespół: Fala, CNE, DJ Spox, Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak,
Sebastian Rerak, Yarrek, Dobry Piotrek, Sebastian Imbierowicz
Foto okładka: Wojtek Antonów/WZRR
Marketing i reklama: Kasia Spaleny (kaspal@slizg.com.pl)
Promocja: Marta Wieteska (marta.wieteska@slizg.com.pl)
Finanse i księgowość: Alicja Włodarczyk
Druk i przygotowanie: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi
Adres redakcji: Ślizg
ul. Marszałkowska 3/5, 00-624 Warszawa
tel/fax +48(prefix)22 8254907, 8255069
e-mail: slizg@slizg.com.pl





01 felieton GLOBALNE KOWALSTWO
potencjalne możliwości

polski system polityczny sprzyja artystom. działa mianowicie tak, że nie trzeba się specjalnie wysilać, by stworzyć jakieś małe dziełko poświęcone mu i jednocześnie liczyć na przychylność publiczności. wystarczy bowiem opisać to, co dzieje się wokół, co przekazują gazety etc. gazety i inne media często muszą używać słów „domniemany", „prawdopodobnie", „podejrzany". artysta może się nie ceregielić i po pozbyciu się wyżej wymienionych słówek, li tylko opisując autentyczne zdarzenia, ma gotową historię. oczywiście, trzeba mieć jeszcze odpowiednią swadę i umiejętności, by powstało z tego coś wystarczająco porywającego, w każdym jednak razie, gdy ktoś decyduje się na kawałki „zaangażowane polityczne", tematy dostaje na tacy. wystarczy, że rano połatyguje się do kiosku.

tak więc można założyć, że tworzenie utworów o politykach, polityce, a także wątkach społecznych, na który przecież największy wpływ mają rządzący w naszym kraju politycy, jest rzeczą łatwą. nie tylko zresztą u nas, w każdej innej części świata podobnie. jest gdzieś na świecie system polityczny, z którego wszyscy są zadowoleni? był może kiedyś w Kambodży, ale tam po prostu niezadowolonych wyeliminowano. wystarczy więc powiedzieć, co jest nie tak.

przez większą część życia unikałem kawałków zaangażowanych politycznie, gdyż walka każdego artysty z „terrorem multikorporacji", „państwem bezprawia", „nierównościami sankcjonowanymi posiadaniem" i tym podobnymi bzdurami wydawała mi się najczęściej tak naiwna, tak niepoważna, że aż zabawna. lubię się dobrze bawić, są jednak pewne granice. choćby przyzwoitości, a artyści zawracający głowę słuchaczom politycznymi bzdetami, wydawali mi się nieprzyzwoici. człowiek jednak dorasta i czasami mu się zmienia. dalej uważam politykę w sztuce za nieprzyzwoite jej kalanie (sztuki, oczywiście), jednak z wiekiem przyglądam się temu zjawisku z coraz większym zainteresowaniem.

polscy raperzy, bo na nich się skoncentruję, lubią pierdolnąć w system. choć wraz z upływającym czasem w rodzimym hip-hopie coraz więcej optymizmu – co często związane jest z tym, że zarabia się na kawałkach tanecznych, a w tanecznym rytmie trudno rymować o złych politykach, no, chyba że jest się The Coup, ale to w końcu Amerykanie... – wciąż nie brakuje produkcji opowiadających o tym, że wokół miętowo nie jest. konkluzja, że winę za to ponoszą politycy, nie zawsze wychodzi na pierwszy plan, ale jest dość oczywista. niestety, najczęściej sporo w tym wszystkim naiwnego narzekania, opisów ciężkiego życia, ogólnego lamentu, który chyba zmęczył już nawet najbardziej hardkorowych odbiorców. trudno im się dziwić, biorąc pod uwagę, że w świeży i analityczny sposób do problemu podchodzi zaledwie kilka osób, a reszta jęczy, że jest najgorzej... ja jednak nie o tym chciałem.

kwestie społeczne, a więc i polityczne, musiały się pojawić w polskim rapie. ta muzyka rodziła się w latach 90., gdzieś tak od ich połowy, w momencie, w którym wyraźnie dawało się już wyczuć, że zmiana i rozwój nowego systemu politycznego w naszym kraju nie będzie należała do lekkich. i choć Balcerowiczowi na pewno zbudują kiedyś przynajmniej jeden pomnik, to i w połowie lat 90., i teraz wiele osób czuje na własnej skórze, że nadgonienie cywilizowanych standardów gospodarczych bywa bolesne. Kulczyków w naszym kraju jest kilku, bloków z rozpadającej się wielkiej płyty dziesiątki tysięcy.

oczywistość tematyki niektórych kawałków nie budzi więc wątpliwości. rap najczęściej opisuje rzeczywistość wokół, a tę naszą znamy dobrze. biorąc pod uwagę tej sytuacji stagnację, częsty brak perspektywy, aż za dobrze... politycy lubią się skompromitować, i to niezależnie od strony, z której nadchodzą – czy prawy, czy lewy, najczęściej jest w czymś unurzany. sprawy nie załatwia, że prezydent raz na jakiś czas załunduje szkole pracownię komputerową, którą i tak najprawdopodobniej okradną, bo budżet szkoły nie przewiduje wydatków na ochronę. a budżet krojony jest z wytycznych tworzonych na szczeblu centralnym, tworzą go zaś najczęściej wybrane w powszechnych głosowaniach typki, które chętnie skłonią się do obcięcia kilku godzin wychowania fizycznego, niechętnie zaś do tego, by własną dupę wozić czymś innym, niż służbową limuzyną. to taki może troszkę naiwny przykładzik, ale czy ktoś się nie zgadza? nie widzę...

polski rap mainstreamowo na razie postrzegany jest poprzez pryzmat pryszczatych dzieciaków chcących melodyjnie zapomnieć. coraz częściej jednak zauważa się również, że ten i ów raper ma do powiedzenia coś więcej, niż tylko serię pierdół o doprowadzeniu się do stanu nieużywalności za pomocą substancji rozweselających. co cieszy, bo może z czasem... no właśnie, co z czasem?

nie jest dla mnie istotne to, że może z czasem skończą się masowe uproszczenia w przedstawianiu polskiego rapu. bo co mnie to właściwie interesuje? zawsze będzie na tym świecie banda baranów, która skrótem będzie chciała przedstawić coś popularnego. bo tak jest prościej i taniej. trudno. z czasem jednak nastąpi coś innego. jest w tej chwili w Polsce duża grupa młodych ludzi, która słucha polskiego rapu, i to nie tego o pierdołach. ich rówieśnicy back in the days mieli do czynienia raczej z utworami o pierdołach właśnie, względnie z małą ilością treści do przemyślenia. teraz – nawet jeżeli rap opowiadający o życiu wokół, rozliczający tych, którzy są za to w pewien sposób odpowiedzialni, nie zawsze stoi na najwyższym poziomie – jest się nad czym zastanowić. jakie mogą być wnioski? to już indywidualna kwestia każdego odbiorcy. w każdym razie, niekoniecznie muszą być budujące. no i z czasem ta duża grupa młodych ludzi będzie miała coraz większy wpływ na to wszystko, co dzieje się wokół. czy to wykorzysta? to już temat na zupełnie inne opowiadanie. w każdym razie, potencjalne możliwości będą.

i wydaje mi się, że polscy politycy powinni mieć tego świadomość.

.:KOWALSKI:.

bizaar bazaar
do poczytania



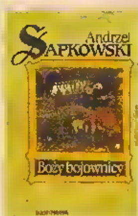
WYPRAWA HAWKWOODA
KRÓLOWIE HERETYCY
Paul Kearney
MAG

Dwie pierwsze części cyklu fantasy „Boże Monarchie". Ponury obraz świata rozdartego religijnymi wojnami, sporami monarchów i wewnętrznymi rozgrywkami. Na stosach płoną magowie, Kościół sięga po władzę królów, mnożą się pogromy ludności i bratobójcze walki. Pośród wojennej zawieruchy jedno z królestw organizuje wyprawę w poszukiwaniu legendarnego Zachodniego Kontynentu, który może dać schronienie uciekinierom i jednocześnie umożliwić lepszą organizację oporu przeciwko nadciągającym ze Wschodu hordom Merduków. Wszystkie wydarzenia nieuchronnie zmieniają bieg dziejów, a świat, który ludzie znali do tej pory, szybko obraca się w ruinę. Trudno w krótkiej recenzji choćby pobieżnie opisać wszystkie wątki tego cyklu. Akcja bowiem toczy się na wielu płaszczyznach, a kolejne epizody przeplatają się i wiążą nierozerwalnie, trzeba więc w świat „Bożych Monarchii" wchodzić powoli i z uwagą. Jednak warto, bo Kearney bardzo zgrabnie łączy fantasy z delikatnymi wpływami horroru (w książkowej rzeczywistości niebagatelną rolę odgrywają Zmienni, czyli wilkołaki), dorzucając ciekawe, mocno zarysowane postaci i sporo zaskakujących rozwiązań. Dobra pozycja, nie tylko dla zdeklarowanych miłośników fantastyki. (jd)



SAHARA
Michael Palin
RM

Michael Palin, czyli 1/6 składu Monty Pythona, to prawdziwe telewizyjne zwierzę. Obok programów rozrywkowych jest współtwórcą licznych cykli podróżniczych, zaś „Sahara" jest książkowym zapisem jednej z jego wypraw. Powstała równocześnie z serialem dokumentalnym, nakręconym na potrzeby BBC, ale stanowi pełnoprawną całość. Palin podróżował po północnej i zachodniej Afryce, odkrywając tajniki i cuda największej pustyni świata. Od najbiedniejszych rejonów głodu, po opływające w luksusy siedziby magnatów naftowych. Od brudnych uliczek małych miast, po nowoczesne metropolie. To wszystko opisane z właściwym Palinowi humorem, dużą dawką autoironii i celnych obserwacji społecznych, ale gdy potrzeba, także z odrobiną refleksji (poruszające są zapiski z dnia ataku na WTC, o którym Palin z ekipą dowiedzieli się w środku Afryki). Bardzo dobra, sympatyczna książeczka, zarówno dla tych, którzy uwielbiają podróże, jak i tych, którzy lubią o nich jedynie czytać. (jd)



BOŻY BOJOWNICY
Andrzej Sapkowski
SUPERNOWA

Po blisko dwóch latach czekania mamy wreszcie możliwość przeczytania dalszych losów Reinmara z Bielawy alias Reynevana w kontynuacji „Narrenturm" pt. „Boży wojownicy". Ci, którzy oczekiwali podobnego klimatu co w części pierwszej, nie zawiodą się ani trochę. Główny bohater co i rusz ładuje się w kolejne tarapaty, z których to dzięki swemu wielkiemu szczęściu wychodzi jak zwykle cało. Akcja książki dzieje się dwa lata po wydarzeniach opisanych w „Narrenturm" i nasz pechowy czarodziej został rzucony w sam środek wydarzeń powstania husyckiego, tym razem jako gorący zwolennik heretyckiej sprawy, jednak nie uprzedzajmy faktów – o tym wszystkim przeczytacie.

To, co zawsze stanowiło według mnie o sile książek Sapkowskiego, to nie dziwne historie, które są tam przedstawione, tylko język, jakim posługuje się autor. Potrafi on wszystko, nawet najnudniejszą opowieść przedstawia w sposób arcykomiczny. Nie wiem, gdzie on wynalazł te wszystkie zwroty, którymi posługują się bohaterowie powieści, ale uwierzcie mi, że niektóre teksty godne są chociażby filmów Barei (oczywiście chodzi o ich poziom, a nie podobieństwo). Drugi mocny punkt „Bożych wojowników" to cała galeria przeróżnych charakterów, ciekawostką jest to, że nie ma tu ani jednego krystalicznie czystego, pozytywnego bohatera, nawet Reynevan ma swoje liczne grzeszki. Zdecydowana większość postaci knuje intrygi, kłamie, morduje dla pieniędzy – dodaje to tylko kolorytu i przede wszystkim uwiarygadnia fantastyczny w końcu gatunek, jakim jest fantasy. Książkę tę polecam każdemu, kto lubi niezłą, choć lekką literaturę. tOi Ol



MARTWA STREFA
Stephen King
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Nowe wydanie jednej ze starszych powieści Kinga, wreszcie z poprawionym tytułem (wcześniejszy, „Strefa śmierci", miał się nijak do treści książki). Jej bohaterem jest młody nauczyciel John Smith, który po ciężkim wypadku i pięcioletniej śpiączce zostaje obdarzony darem (przekleństwem?) jasnowidzenia. Prześladowany przez wizje zabójstwa kandydata na prezydenta USA, postanawia zapobiec zbrodni, choć wcale nie będzie to łatwe. Oprócz zwyczajnej w przypadku książek Kinga otoczki obyczajowej, podszytej sporą ilością grozy, mamy tu też problem manipulacji (zwłaszcza w polityce to temat aktualny jak najbardziej i dziś). A że King lubi poruszać w swoich książkach trudne tematy, to i tym razem sobie poradził świetnie. Recenzja krótka, lektura – jak zwykle u pisarza z Maine – długa, nie wahajcie się jednak po „Martwą strefę" sięgnąć, bo to naprawdę bardzo dobra powieść.

02 felieton FALA

Tańcz, mów i pisz

„Rozmawiać o miłości to jak tańczyć o architekturze" – przypomniał mi się dziś rano tekst, jaki kilka lat temu – nieznana nikomu wtedy aktoreczka – Angelina Jolie, wygłosiła w filmie „Gra w serca". Rzeczywiście, bardzo łatwo sobie wyobrazić, że balet o budynkach może nastręczać pewne trudności. A czy można tańczyć o hip-hopie? Filmy takie jak „W rytmie hip-hopu" usiłują dowieść, że tak... Ale czy można w tym tańcu zawrzeć nie tylko rytm, ale i ideę, ducha i historię tego nurtu? B-boye równym chórem krzykną, że oczywiście.

A teraz odwróćmy kota ogonem, czy można rapować o tańcu? A raczej o balecie? Właściwie to o rewii, gdzie w kostiumach wyciętych pod pachy wiją się i szpagaty napinają średniej urody baletnice? Fakty pokazują, że można – jest to fizycznie wykonalne, ale gdy zadam to pytanie ponownie, miejcie na uwadze względy natury etycznej. Ja zaryzykuję stwierdzenie, że jest to niewłaściwe. Trudno było mi się przez kilka dni ustosunkować do przedstawienia „Wehikuł Czasu", który miałam sposobność obejrzeć na premierze w byłym kinie Skarpa...

„Znowu o tej Warszawce, Warszawa pisze o Warszawie, a co dla nas?" – słyszę w dali kwęk mieszkańca Krakowa, Lublina, Gorzowa i przystowiowego Pcimia... A ja zapraszam do nas! W stolicy to się dzieje! Nie ma gdzie pójść na imprezę ani nawet na posiadówę w weekend. Koncertów nikt nie robi i nikt na nie nie chodzi, zamykane są co i rusz kluby, które okazały się tajne, ale za to..: mamy hiphopową rewię! Panie i Panowie „Wehikuł Czasu"! To zobaczyć trzeba! W końcu to musical roku 2005. (Na marginesie: nie wiedziałam, że przed premierą i to jeszcze w poprzednim roku, można sobie nadać samozwańczo taki tytuł. Cholera, frajerem jestem, że nie przyznałam sobie Fryderyka.)

„Musical" to brzmi dumnie – skomplikowana choreografia i piosenki gardło-łamacze. Ale w tym wypadku grafikowi, który łamał plakat coś się ewidentnie pomyliło, gdyż takie broadwayowskie miano nadał tandetnej rewii z brzydkimi i pulchnymi baletnicami, nieletnimi modelkami, łysiejącym emerytowanym baletmistrzem i Mandaryno-podobną narzeczoną szefa tegoż „teatru tańca" w roli solistki. Co z tego, że śpiewa z playbacku i nawet nie pokwapi się napiąć mięśni twarzy, żeby choć wyglądało naturalnie?

Blondynki na lewo, brunetki na prawo, przysiad z pogłaskaniem własnego uda, wyprost i rączki w górę. Co druga podnosi nogę do pionu prezentując ledwo zakryte krocze a za tą następna i następna i machają sukienkami a la Moulin Rouge, tylko że z jedną halką w ramach oszczędności, i trzęsą ramionami okutane w żółte boa rozpięte na metalowym rusztowaniu przyczepionym chybotliwie do pleców parodiując Wielkiego Ptaka. I ogólnie czad, panowie w garniaczkach, łysiejący, ale z długim tłustym kucykiem do pół pleców ślinią się jak trzeba. Rozkosznie prząśna rozrywka dla półświatka!

Ale co tam u licha robi dwóch ubranych po cywilnemu, bogato gestykulujących raperów nawijających do mikrofonów komentarz do odbywających się właśnie podrygów? Co drugie słowo „ziom" i przesadne teatralne gesty sprawiają wrażenie, że sami z siebie robią jaja. Że to parodia hiphopowego stylu bycia i ubierania się. I zgrzyt! Bo żeby to byli przebrani weselni piosenkarze, co dostali angaż w przedstawieniu...

Ale to prawdziwi hiphopowcy, ba, raperzy z krwi i kości! Co tam robią? Cóż... jedynym tropem może być chyba nazwa tego świeżo powstałego teatru tańca – „TRENDY". Hip-hop jest trendy i o czym tu gadać...

Tymczasem większość z nas zgodzi się, że o hip-hopie można rozmawiać. Przynamniej próbować... Niestety, gdy pół flaszki jest już opróżnione, zaczynają wychodzić na jaw pewne rozbieżności, już nawet nie w gustach, ale w samych znaczeniach używanych słów. No i przede wszystkim konkretne różnice w postawach.

Ojej, a może chociaż można pisać? No i właśnie, czy jest sens pisać o hip-hopie książki? No bo na pewno nie dla tych, którzy w hip-hopie tkwią – każdego praktyka nudzi teoria. Z kolei dla tych, co nic nie rozumieją – dla mam, socjologów i pracowników Monaru? Wątpię czy wrogo nastawieni mogą to w ogóle pojąć i zrozumieć. Czy ich uproszczone pojęcie nie będzie żałosne a w ogóle po co im to wiedzieć?

Gdy teraz to piszę, czterdzieści centymetrów od mojej lewej ręki leży książka „Polska kultura hip-hopowa" niejakiej Renaty Pawlak. Autorka na tylnej okładce pisze: „hip-hop to nie tylko krzyk i bunt, ulica, brudne podwórka i osiedlowa ławka. To kultura spontaniczna, żywiołowa ale i skłonna do refleksji, analizy i uważnej obserwacji".

„Ale i skłonna"? Przede wszystkim skłonna do refleksji! I to refleksji dużo głębszej niż to prezentuje pani Pawlak, która na przykładach wyrwanych z kontekstu cytatów z WWO, Kasty, Molesty i Paktofoniki dowodzi głębokich wpływów jakie epikureizm, stoicyzm, cynizm i hedonizm wywarł na polski hip-hop. Już patrząc na spis treści, widać, że według autorki tropy myślenia i inspiracje nie wyszły poza program szkoły średniej.

Pani Pawlak dedykuje książkę swoim uczniom. Mniemam, że jest nauczycielką w podstawówce, bo w jakiej innej szkole uczniowie przynieśliby jej nagrania hiphopowe do analizy. Część z tych uczniów pewnie żegnając się z ukochaną panią Pawlak pożegna się też z edukacją, więc to faktycznie może zakrawać na wielki sukces polskiej oświaty, że tacy aspołeczni blokersi, uznani za „element" są intelektualnie na wyższym poziomie niż obowiązkowa podstawówka. To faktycznie myśl godna uwiecznienia na 224 stronach książki. Ech...

W takich beznadziejnych razach zadaję sobie pytanie, czy jest sens uprawiać publicystykę hiphopową na łamach Ślizgu? Już pomijam, że strzeliłabym sobie samobója mówiąc, że nie... Podczas gdy ja faktycznie czuję misję! Misję, która na celu ma tylko jedno: jak najdłużej zachować czystość, spójność i szlachetność tej kultury. Bo ją uwielbiam, a może dlatego, że ją pamiętam z innych czasów, bo mi na niej zależy. I choć nie jest łatwo mówić, tańczyć czy pisać o kulturze hip-hopu to próbujmy, i to z dbałością o to, by była ona coraz wyraźniejsza, smakowitsza i bardziej określona a nie rozmażana, rozwodniona i pożeniona ze wszystkim wokół. Powalczmy jeszcze trochę, zanim bezpowrotnie rozpuści się w mainstreamie.

:Fala:



R.I.P.

O.D.B.

(1968-2004)

Ol' Dirty Bastard, jeden z założycieli Wu-Tang Clan, zmarł nagle 14 października, na dzień przed swoimi 36 urodzinami. Zasłabł w studio podczas pracy nad nowym albumem i umarł przed przyjazdem lekarza. W dniu zamykania tego numeru Ślizgu przyczyny jego śmierci nie były jeszcze do końca znane. Więcej o O.D.B. napiszemy w kolejnych numerach Ślizgu.

bizaar bazaar

sprostowanie

Opisane w poprzednim numerze Ślizgu studio to Dysk Studioo, którego Studio Autentyk jest jedynie częścią i ogranicza się osób Vienia i Pele wraz ze sprzętem, na którym tworzą swoje projekty. Zapis i edycja sesji odbywa się na sprzęcie i w pomieszczeniach Dysk Studioo.

To Dysk (założony w 1996 roku przez dj Maka) na początku działał jako sklep z płytami winylowymi. W 2001 roku zmienił swoją nazwę na Dysk Studioo i obecnie zajmuje się produkcją i realizacją dźwięku. „Jeśli możemy z kimś sensownym podjąć współpracę, to właśnie to jest naszym celem. Wynajmujemy Dysk Studioo do realizacji: dźwięku /realizacja, aranżacja, mix – dj Sebastian i obrazu/montaż dźwięku i obrazu – Renek."

bizaar bazaar

konkurs EMINEM



W związku z premierą najnowszej płyty Eminema (patrzcie: „płyta miesiąca" w dziale recenzji), mamy dla Was mały konkurs. Nagrodami w nim są single Ema „Just Lose It" (w wersji CD i winylowej) oraz smycze, promujące nowy album. Wystarczy odpowiedzieć na proste pytanie: **którą z kolei solową płytą Eminema jest „Encore"?** Na odpowiedzi czekamy do końca roku, nadsyłajcie je na adres redakcji lub maila slizg@slizg.com.pl. Powodzenia!

gadżety

terminarz ŚWIATA DYSKU 2005



Zreformowane Wampiry Świata Dysku to wzajemnie wspierająca się grupa abstynentów, nie pijących już kr... Tego na „k". Jeśli i Ty jesteś (Zreformowanym) Wampirem, to ten terminarz jest ci wprost niezbędny. Jeśli nie jesteś wampirem, nie jesteś zreformowany, albo nie znasz Świata Dysku to... No cóż, pewnie też potrzebujesz gdzieś zapisać umówione spotkania i inne tego typu wydarzenia. Prawda? Jeszcze więcej przydatnych (lub nie) gadżetów już na następnej stronie...



03 felieton FLINTSTONE

Obroża

Napisałem do tego SLG raport polityczny, po czym doszedłem do jednego wniosku. Zbrodnią byłoby ograniczenie rapu politycznego do czarnych. Jest Eminem, który wie, że jest tak sławny, iż pozwolić może sobie niemal na wszystko i co chwila ową wolność słowa testuje. Wie, że jest grupa, do której nie dotrze żaden inny artysta, polityk i rodzic. To jego armia. Może więc powiedzieć, że pierdoli połowę kongresu, a nawet wymienić ją z nazwiska, a opiekunów deprawowanych milusińskich odesłać zaś pod Biały Dom, żeby zamienili flagę na wielką naklejkę „Parental advisory" jak w „White America". Czego by nie mówić, Mathers najlepiej portretuje i wyszydza paradoksy Ameryki, dbając o stałą cyrkulację ironii w swoim organizmie. Antybushowskie „Mosh" wywołuje regularne ciarki na plecach.

Niespodzianką było to, że skośnooki Krush zaprosił na swoją „Message at the depth" wiecznie cierpiących, w przewadze białych emo-histeryków z Anticonu. Ci zrewanżowali mu się piosenką dla Johna Walkera, pojmanego amerykańskiego taliba. Sole napisał na swoją płytę odę do wojny z terroryzmem. Nie na darmo pozuje do zdjęć ze zbolałą miną i głową okrytą flagą. Skoro jesteśmy w klimatach „samoupodleńczych", The Grouch z kalifornijskiego kolektywu Living Legends mistrzowsko puentuje w „Give and take": „Moment, ale za co oni płacą? / Energia ziemi, co powoduje, że ją zawłaszczyli? / sterta rachunków wypełnia moją skrzynkę / numery przygniatają mnie jak matematyka / mam płacić, żeby się wykąpać? Co? / Zapłaćcie, żeby zobaczyć mój tyłek! / Płacić im, żeby opróżniali śmietnik, gdy jest pełen / płacić, by podgrzać jedzenie / płacić, by oglądać telewizję / Ale kiedy nie mam kablówki, nie ma kanałów, które można by zmieniać (...) Niedługo będziemy płacić za powietrze, kiedy już wymyślą, jak je opchnąć". Cóż dalej, El-P był jednym z nielicznych, który miał odwagę podjąć chaotyczne dzieło muzyczne Bomb Squadu, przy czym wzbogacić je jeszcze i ulepszyć. Do tego Company Flow wysnuwało teorie konspiracji nawiązujące do science fiction i Orwella oraz złośliwie wyszydzało korporacjonizm. W NYC pałeczkę przejął teraz Immortal Technique, w Europie zaś Promoe, z opiekuńczej, wydawałoby się mlekiem i miodem płynącej Szwecji. „Nie ma miłości w kraju brudnych pieniędzy / to kraj dwustronnej komunikacji / bo masz prawo powiedzieć „nie" zanim rozwalą Ci twarz" rymuje owa nieprawdopodobnie brodata postać, która wybrała formę współczesnej ascezy: nie pije, nie pali, nie ćpa, przestrzega tak radykalnej diety, że można podejrzewać, iż gryząc jabłko boi się, by zanadto nie zranić jego uczuć. Nawet, gdy nie jest na trasie, śpi na ziemi, a na trasie jest niemal zawsze, bo czuje taką potrzebę. Energię czerpie z medytacji, a priorytetową kwestią jest dla niego poczucie wolności i pokój. U siebie w kraju pseudodemokracji, który dorabia się na eksporcie broni do biednych państw i czynieniu ich jeszcze biedniejszymi (oczywiście to jego spojrzenie) jest jednak podobno non stop śledzony, szykanowany, łupiony – „jeśli nie czynsz i podatki, to dają mi mandaty / za bycie w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie / z niewłaściwym stanem umysłu". Rozgłośnie dyskryminują jego muzykę. Jak walczy z systemem? Poprzez graffiti (bo ściany nie kłamią), poprzez niszczenie ukrytych kamer, palenie flag, barykadowanie ulic i oczywiście swoją muzykę. Fantazjuje nawet na temat wzięcia króla Karola Gustawa do okupu! Gdyby wiedział, ilu jego słuchaczy (choćby w Polsce) ma w dupie co mówi, pewno zdetonowałby się w centrum Sztokholmu. Polska jest dziwnym krajem, jakby tylko Dany miał odwagę rymować rzeczy pokroju „Dla systemu jesteś konsumentem / dla tych u władzy w statystykach procentem / dla tych znanych staniesz się instrumentem / ludzie, popatrzcie, jestem kurwa człowiekiem!". Ów mc to fan Orwella i Gombrowicza, członek tworzonego z Bobkiem i Pablo trio Poema Faktu. Poszatkowane flow o zmiennym tempie, rozchwiany głos podający anarchistyczne treści na niepokojących beatach. Te dźwięki nie są polepione, raczej obficie krwawią aspirując do miana brudnego, podziemnego funku. Tu władza jest gwałtem, alkohol należy zdelegalizować, gazety spalić a telewizor wyrzucić przez okno. Zespół robił w drugiej połowie lat 90. silne wrażenie, Noon wyciągnął nawet cut z jego undergroundowej kasety (!) „Konflikt wydaje się być nieunikniony". Stał on się podstawą refrenu Grammatikowego „Płaczę rymami". Jakiś czas później wydanie nowej produkcji Poemy zaryzykował Blend. Hip-hop to dla mnie najpierw muzyka, dopiero potem manifest, więc nie przepadam, ale nie sposób nie docenić. Zwłaszcza, że dookoła bieda panie, bieda. Mamy może z cztery ważne utwory tego typu: „Powiem" Hansa, „Protest" Włodiego, „Sępy" Kasty i (!) „Monopol" Ascetoholix. Owszem, jest Łona, ale ze swoją aluzyjnością, inteligenckim podejściem w stylu Młynarskiego czy Lipińskiej (godnym pochwały) ma małą siłę przebicia, trafiając raczej do mam odbiorców rapu, niż samych odbiorców. Skoro Pih wspomina, że Tokarczyk strzelił sobie w twarz, a SLD chciało dać prawo do adopcji pedałom, czemu nie pomówi o tym więcej z tradycyjnym ogniem? WWO już na pierwszej płycie udowodnili, że nie tylko oglądają wiadomości, ale i doskonale rozumieją, co się dzieje, ale czy wynikło z tego wiele więcej ponad Jędkera wspominającego o „oszołomach z AWS"? Czemu Ostry, niby mocno polityczny raper, zawsze krąży wokół tematu, zamiast dojść do sedna i brzmi jakby poszukiwał tylko nowych, gorących nazwisk do szablonu? Przecież widzą, że mogą wywołać dyskusję, zmusić do myślenia, a nawet coś zmienić. Gdzie są nagrania undegroundowe, których twórcy nie muszą się martwić o to, że mają zbyt trudny tekst dla przysłanego zza granicy selekcjonera w tzw. „telewizji muzycznej", czy jakiegoś popowego przychlasta z rozgłośni grającej parę utworów w kółko, a nie wychodzą poza przenikliwy niczym u dziennikarza Faktu schemat „Lepper / Beger", bardziej charakterystyczny dla zoologii niż polityki.

.:Flintstone:.

PS. Napisała do mnie Aśka Tyszkiewicz, że wbrew temu, co sugerował Gorzki, nie współpracowała z nim i nie zamierza. Użyłem sformułowania „jeśli wierzyć Gorzkiemu", więc nie ma mowy o napisaniu nieprawdy, ale żeby wszystko było jasne...

bizaar bazaar

gadżety



gadżety kurtka FLIP

Zaslosowane przez firmę Control Snowboards materiały o wysokich paramelrach (5000 wodoodporności i 5000 g/m2 oddychalności) pozwolą na śmiganie po śniegu na pełnym relaksie. Kurtka FLIP jesl jednym z wielu modeli nowej kolekcji ze 100% detali polrzebnych prawdziwemu snowboardziście na stoku i na ulicy. Sprawdź w dobrych sklepach snowboardowych.



gadżety czapki MASS

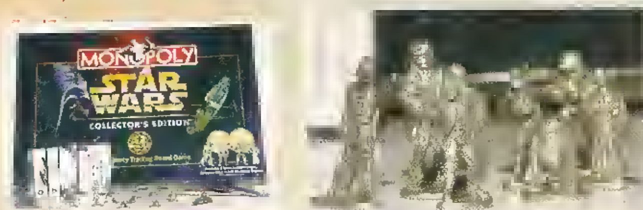
Nowa kolekcja czapek zimowych od Firmy MASS przynosi nam wiele dużych napisów, skromnych logasi, jak i innych ciekawych projektów. Co jak co, ale przy takim wyborze, każdy dobierze coś dla siebie. Calej kolekcji szukajcie w sklepach, bo oprócz egzemplarzy, które prezentujemy, jak zwykle macie spory wybór innych modeli i kolorów. Czapeczki są wykonane z milej grubej dzianiny, rozmiary są na tyle uniwersalne, że wejdą na wszystkie hiphopowe glowy.

gadżety samochody

Samochody kręcą nie tylko lacetów. Przekonały nas o tym redakcyjne koleżanki, które rozszabrowały takie czterokołowe cacka z prędkością światła. Dla nas nic nie zostało, a szkoda, bo samochodziki są pierwsza klasa. Jeśli chcecie się Jakim przyjrzec bliżej, a może nawet zaopatrzyć w jakiś model, to zapraszamy na slronę www.siuwaks.pl

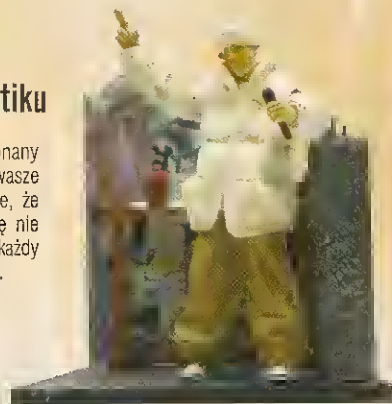


gadżety STAR WARS monopoly



Oto prawdziwa gralka dla fanów Star Wars i hazardu. Teraz już można slać się właścicielem Gwiazdy Śmierci bądź Księżyca Endor. Przentujemy wam właśnie kolekcjonerskie wydanie starej jak świat gry Monopoly. Jedyny problem polega na tym, że niestety gry tej nie można kupić w Polsce, więc namawiamy was do szybkiego wyjazdu za granicę i kupienia tego rarytasu akurat na zbliżające się święta.

gadżety EMINEM z plastiku



Taki oto Slim Shady, wykonany w całości z plastiku, może ozdobić wasze mieszkania. Wygląda jak żywy, tyle, że jest proporcjonalnie mniejszy i się nie rusza. Ale reszta jest ok. Teraz już każdy może mieć Eminema na własność...

gadżety bluza MC



Nowa bluza od firmy MC to kawałek fajnego wdzianka. Ma przyjemny, granatowy kolor, ciekawe logówki, zapinana na suwak. Klasa, wygoda i na dodatek ciepło na zimowe wieczory zapewnione.

gadżety ALIEN vs. PREDATOR

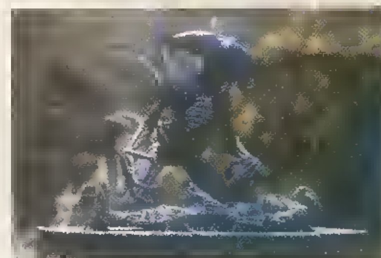


... a jak Eminem wam się znudzi, to zawsze możecie go wrzucić w sam środek krwawej, ale i emocjonującej rozgrywki pomiędzy Alienami i Predatorami. Prosto z zabawkowej wytwórni Todda McFarlane'a. Więcej na www.spawn.com

gadżety martwa kaczka

W Internecie nie brakuje dziwacznych gadżetów. Martwa kaczka, bo tak nazywa się to urocze stworzonko, lo zombiastyczny odpowiednik klasycznej żółtej kaczuszki, pływającej w dziecięcych wannach. Ta pewnie spodobała by się Timowi Burtonowi i wszystkim innym Ireakom...







Warhammer 40,000: Dawn of War
(Relic Entertainment/THQ/CD-Projekt)

Koniec roku sprzyja nagłemu wysypowi przeróżnych gier, zwłaszcza tych z dawna wyczekiwanych (i zapowiadanych od dłuższego czasu). Święta nadchodzą, więc i wszystkie teamy developerskie pracujące w pocie czoła nad grami chcą mieć wolne w Boże Narodzenie i z całych sił zasuwają, by wydać swoje dopieszczone (co niestety zdarza się coraz rzadziej) produkty. I potem biedny gracz nie dość, że ściąga miliony patchów, by gra działała normalnie, to jeszcze wydaje ostatnie grosze na miliony nowości – chyba, że ściąga wszystko z warezów:-). Ale czasami zdarza się tak, że oto dostaje nam się gra prawie że doskonała (i wtedy do gry wkracza recenzent, by troszkę namącić:-)). Prawie doskonała, bo jak wiemy, doskonały jest tylko Unreal:-).



I mówi, a właściwie pisze to człowiek lubiący raczej „poszczelać" sobie z rocketlauncherа, niż rozstawiać na mapie przeróżne jednostki, wydobywać surowce, układać plany strategiczne. Ale nie można się ograniczać, więc sięgnąłem po najnowsze dziecko Relict – erteesa osadzonego w futurystycznym świecie stworzonym w chorych (to żart) umysłach ludzi z Games Workshop – zatytułowanego Warhammer 40,000: Dawn of War... I co? I na kolana! W takim razie – i w takiej pozycji – od czego tu zacząć? Może nie od pochwał, a pewnych wad, które nie umknęły mym oczom. Więc tak: hardkorowi zwolennicy figurkowego Warhammera 40,000 na pewno mogą poczuć się lekko zawiedzeni nie trzymaniem się w grze wszystkich zasad rządzących uniwersum Warhammera – ale bądźmy wyrozumiali, nie wszystko da się przenieść w wirtualny świat gier. Poza tym są przeróżne, mniejsze lub większe nieścisłości w zachowaniu czy wyglądzie jednostek, ale ktoś nieobeznany ze światem Warhammera 40k i tak nie będzie wiedział, o co chodzi (a chodzi tylko o to, by się dobrze grało, prawda?), a fanatyk? Raczej powinien się przekonać bez większego bólu do zmian w stosunku do figurkowego Warhammera. Natomiast dość poważnym ograniczeniem – i w związku z tym zarzutem – jest możliwość gry w kampanii singleplayer tylko jedną stroną – Kosmicznymi Marines (ok, są przybajerzeni, ale chciałoby się czasem być i tym złym...). W trybie multi już wszystko wygląda normalnie: możemy grać orkami, eldarami i armią Chaosu. I to tyle, jeśli chodzi o wady – nie za wiele, prawda? Zaś zalety – krótko mówiąc, cała gra. Począwszy od interfejsu – prostego w obsłudze, przez ciekawe podejście do zdobywania surowców (jak to w erteesach) I tzw. „reliktów" (zerknijcie, jak się nazywa firma, która zrobiła tę grę...), świetnie wyważone możliwości bitewne poszczególnych stron konfliktu – widać to szczególnie w trybie multi. I to, na co zwracam największą uwagę – grafika (cóż, skrzywienie, za długo gram w przeróżne strzelanki, bądź przyglądam się takim produkcjom jak Myst, czy z naszego podwórka – Schizm). Jeśli więc chodzi o mnie, to grafa zrobiła na mnie naprawdę dobre wrażenie, weźmy takie starcia jednostek Marines z orkami – naprawdę robią wrażenie! Poza tym jeszcze te wszystkie filmiki...



Oczywiście tego typu gry sprawdzają się wybitnie w grze wieloosobowej, ale jestem za cienki, by przyciąć w Warhammera w necie:-). Ale myślę, że multi musi być co najmniej tak wciągające (pod warunkiem, że nie przegrywasz ciągle), jak i „singiel". I w końcu może Warcraft czy Starcraft znajdą godnego przeciwnika. Nie pozostaje więc nic innego, jak po prostu odpalić Warhammer 40,000: Dawn of War, tym bardziej, że na nim się pewnie nie skończy i za jakiś czas pojawi się dodatek...

.:gad:.

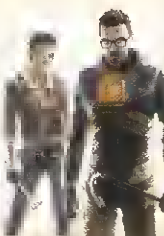


GRY



Painkiller znów ukoi twój ból

Jeśli wszystko pójdzie dobrze (a z grami różnie to bywa), to już w okolicy świąt Bożego Narodzenia rodzimy Painkiller znów będzie koił nasz ból: braku krwawych fpsów, zwłaszcza krajowej produkcji:-) oraz cierpienia wszystkich stworzeń żywych i martwych, które wejdą mu w drogę. Twórcy Painkillera, People Can Fly, szykują właśnie dodatek do swej pierwszej produkcji (całkiem udanej) zatytułowany Painkiller: Battle out of Hell. Czego możemy po nim oczekiwać? Ma być dziesięć nowych poziomów, nowi przeciwnicy, nowe giwery, nowe mapy multiplayer – czyli tradycyjnie. Mamy nadzieję, że w dodatek będzie się równie dobrze grać jak w samą grę.

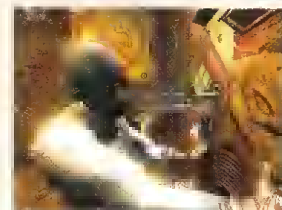


Half-Life 2 ostatni raz

Mamy nadzieję, że ostatni raz w njusach. Zgodnie z zapowiedziami druga odsłona przygód Gordona Freemana ma znaleźć się w sklepach 16 listopada – podobno także w Polsce:-). W związku z tym, gdy będziecie czytać te słowa, Half-Life 2 może już stać u was na półce, tj. pudełko, bo płytka oczywiście w kompie. Sama gierka będzie zlokalizowana po angielsku, francusku, niemiecku, hiszpańsku, włosku, koreańsku, japońsku, chińsku i... nie, polskiej wersji nie będzie.

Marvel przeciwko superbohaterom

Znane na całym świecie wydawnictwo komiksowe Marvel Enterprises zdenerwowało się odrobinę na NCSoft, koreańskiego wydawcę gry City of Heroes, online'owego erpega i pozwało go do sądu (oczywiście firmę, nie grę). Otóż według Marvela niektóre postaci z gry za bardzo przypominają niektórych marvelowskich herosów, np. Hulka, bądź mają wdzianka niczym sam Wolverine. No cóż, te zarzuty wydają się całkiem sensowne, choć mi przypadł szczególnie do gustu inny. Mianowicie Marvel zarzucił NCSoft, że gracz może nazwać postać, którą kieruje w grze imieniem bohatera komiksowego. Hmmm, szczerze mówiąc chyba w każdej grze, zwłaszcza w trybie multiplayer gracz może się nazwać jak chce... Ale dobrzy prawnicy potrafią udowodnić, że czarne jest białe, więc i z tym spece na usługach Marvela sobie poradzą.



Pecetowe kroniki Riddicka

Jeśli oglądaliście filmy „Pitch Black", „Chronicles of Riddick" i przypadł wam do gustu główny bohater, niejaki Riddick z lekko podrasowanym wzrokiem, coby lepiej widzieć, gdy się ściemni, a w dodatku słyszeliście, że jakiś czas temu na „Ekspudle" pojawiły się jego przygody, a wy akurat nie macie zabawki Billa Gatesa... to z pewnością ucieszy was informacja, że wersja pecetowa gry „Chronicles of Riddick" dostępna ma być na początku grudnia. W porównaniu z wersją xboksową zawierać będzie różne dodatki, jak np. nowe poziomy. Nie pozostaje nic innego, jak cierpliwie czekać... i mieć nadzieję, że i u nas ta gra się pojawi.



S.T.A.L.K.E.R. razy trzy!

Oczekiwana od dawna gra S.T.A.L.K.E.R.: Shadow of Chernobyl, a produkowana za naszą wschodnią granicą ma się ukazać – jak wieść niesie – w trzech wersjach. I wcale nie chodzi o wersję z bonusową płytą czy skarpetkami z logiem gry. Otóż dwie pierwsze będą się różnić obsługą DirectX. Wersja szybsza ma być dostosowana do bibliotek DirectX 8, wersja wypasiona graficznie – DirectX 9. Natomiast wersja trzecia... ma działać na 64-bitowych procesorach AMD! I ma być w ogóle super, hiper. Już od dawna optymalizuje się gry pod kątem kart graficznych, czemu by teraz nie pod procesory?



17 + 0 = 0

Takim wynikiem dodawania byłby zaskoczony każdy nauczyciel matematyki w szkole podstawowej, ale gry rządzą się swoimi prawami – właśnie dlatego 17 + 0 = 0. Czyli, że po grze Gorky 17 (oj, daaawno powstała, może ktoś ją jeszcze pamięta?) i jej kontynuacji (powiedzmy) „Gorky Zero: Fabryka Niewolników", już wkrótce doczekamy się kolejnej odsłony przygód Cole'a Sullivana w „Aurora Watching: Gorky Zero". Akcja gry ma dziać się w raczej chłodnym klimacie Arktyki. Grafika w grze zapowiada się na przyzwoitą. Miejmy nadzieję, że panowie z rodzimego Metropolis Software stworzą naprawdę przyzwoitą gierkę – a wszystko na to wskazuje.

nowe komiksy
recenzje



CZŁOWIEK W PROBÓWCE KOMIKS. ETYKA. MEDYCYNA
EGMONT

Kolejna już antologia dokonań polskich rysowników, tym razem dotycząca etyki w medycynie. Temat poważny, szeroki, ale też trudny chyba do ugryzienia, o czym może świadczyć część zamieszczonych w zbiorze prac. Większość z nich rozgrywa się w bliższej lub dalszej przyszłości, pewnie 1/3 dotyka zagadnień związanych z klonowaniem i genetyką, reszta obraca się przeważnie w równie kontrowersyjnych klimatach: eutanazja, aborcja itp. Można więc wywnioskować, że czekają nas trudne czasy, pełne złowieszczych naukowców czyhających na nasze zdrowie, lub też ludzi sprzedających własną rodzinę za pieniądze. Chyba żaden z autorów nie pokusił się o przedstawienie jaśniejszej – choćby i kontrowersyjnej – strony rozwoju techniki w medycynie. A szkoda, choć z drugiej strony owe komiksy odzwierciedlają w jakiś sposób naszą rzeczywistość, w której i służba zdrowia i nauka są systematycznie mordowane przez kolejne reformy.

Przejdźmy do tego, co w albumie najlepsze. Niestety, spośród ponad dwudziestu prac wyróżnia się zaledwie kilka. Na pewno należy do nich komiks „Z przyczyn społecznych" Kołodziejczaka i Truścińskiego, chyba najdojrzalszy z prezentowanych. Obaj panowie stanęli na wysokości zadania i stworzyli opowieść poważną i poruszającą, a jednocześnie nie rozegrali jej bazując na niskich instynktach czytelników. Podobnie Tomek Leśniak i Rafał Skarżycki, którzy do kolejnego już zbioru stworzyli historię o Beczulce, Tyczce i Pokrętku, zwłaszcza od strony wizualnej (przywodzącej na myśl dokonania filmowe niemieckich ekspresjonistów) jest to komiks naprawdę świetny. Znakomicie sprawdzają się też „Lunge" Mateusza Skutnika – dobra, mądra historia. I choć nie należę do fanów kreowanego przez autora „Rewolucji" świata, to przyznaję, że ten komiks zasługuje na pochwałę. Poza tym nieźle sprawdzili się starzy wyjadacze, w tym ludzie z ekipy „Produktu": Simson i Marian oraz KRL, autor Wilqa Bartosz Minkiewicz, a także Benedykt Szneider i Rafał Gosieniecki. Z nowych twarzy moją uwagę zwrócił Janusz Wyrzykowski – fajny komiks, proszę o więcej.

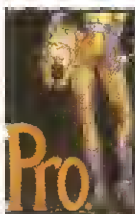
W sumie jednak to dość udany, równy zbiór, może z wyjątkiem kilku historyjek zbyt łopatologicznych, zbyt oczywistych, żeby przykuć uwagę na dłużej. Nie da się jednak ukryć, że zabrakło tu nieco odważniejszego spojrzenia na temat, chyba zbyt łatwo twórcy zawartych w „Człowieku w probówce" komiksów dali się wrzucić w schemat, być może podświadomie narzucony przez tytuł antologii. Nie jest to, broń Boże, zmarnowana szansa, ale jakieś uczucie niedosytu pozostaje. (jd)





GARFIELD JEST WIELKI GARFIELD W KUCHNI
scenariusz i rysunki: Jim Davis
EGMONT

Ciekawe, czy Jim Davis, gdy ponad 25 lat temu zaczął rysować przygody grubego, leniwego kota, przypuszczał, że stworzy popkulturowy fenomen. Wówczas nie mógł być tego świadomy, ale po prostu trafił w dziesiątkę. Garfield szybko stał się jednym z najpopularniejszych pasków komiksowych w historii gatunku, Davis do dziś co dzień rysuje jego przygody i zbija na nich grubą kasę. Ale przyznajmy, ten sukces mu się należał. Przezabawne pomysły autora, połączone z celną obserwacją życia (zarówno kociego, jak ludzkiego) i plastyczną, dowcipną kreską, dały wysokiej jakości produkt, niezmiennie fascynujący, choć przecież Davis narysował już z górą 9 tysięcy odcinków i niezliczoną ilość dodatkowych obrazków... Od dawna w Stanach ukazuje się pełna edycja Garfielda zbierająca wszystkie paski: dzień po dniu, łącznie z dłuższymi wydaniami niedzielnymi. Teraz ukazało się polskie tłumaczenie dwóch tomów serii. Dla kolekcjonerów rzecz nie do przegapienia (ponieważ polski wydawca pominął numerację tomów, to informuję, że „Garfield jest wielki" to absolutnie pierwszy zbiorek, z najstarszymi przygodami, natomiast „W kuchni" nosi numer 38), dla pozostałych – okazja do paru chwil kapitalnej zabawy. Ja osobiście mam nadzieję, że na tych dwóch książeczkach się nie skończy i rzeczywiście doczekamy się kiedyś pełnej polskiej edycji komiksów o sympatycznym kocie. (jd)



PRO
scenariusz: Garth Ennis, rysunki: Amanda Conner
EGMONT

Niepokorny Irlandczyk Garth Ennis znów uderza. Celnie, złośliwie i bez pardonu. Tym razem na swój cel wziął superbohaterów, ale w przeciwieństwie do „Hitmana", tym razem traktuje ich wyjątkowo bezlitośnie. Główną bohaterką „Pro" jest dziwka, która zostaje przez tajemniczego kosmitę obdarzona supermocami, dzięki czemu ma możliwość wstąpienia w szeregi Ligi Honoru. Pozbawiona wszelkich ograniczeń (klnie jak szewc, zabija swoich przeciwników, a na dodatek używa mocy do wykonywania swojego, hmmm... zawodu) nie zyskuje aprobaty towarzyszy z Ligi, ale dostaje jeszcze jedną szansę... Ten króciutki komiks to prawdziwa petarda. Obnaża nieścisłości i hipokryzję opowieści o superbohaterach, wyszydza ich nieskalane charaktery, złośliwie parodiuje najsłynniejszych herosów komiksowej Ligi Sprawiedliwości. Ennis nie po raz pierwszy dowiódł swojego talentu, choć nie sposób ukryć, że niektóre jego spostrzeżenia nie są do końca świeże. Ale i tak to świetna rozrywka, narysowana doskonale przez Amandę Conner, parodiującą oczywiście „superbohaterski" styl ilustracji. Aż chciałoby się więcej, ale Ennis jest chyba zbyt cwany, żeby zrobić kontynuację, bo wtedy wpadłby w pułapkę, którą sam zastawił. Polecam, ostrzegając, że to komiks zdecydowanie dla dorosłych, nie tylko ze względu na bardzo liczne wulgaryzmy. (jd)





MEGATOKYO tom 1
scenariusz i rysunki: Fred Gallagher
MANDRAGDRA

Manga trochę oszukana, bo jej twórcą i autorem jest Amerykanin. Co więcej, pierwotnie był (i nadal zresztą jest) to komiks internetowy, którego wszystkie odcinki można bez kłopotu obejrzeć na stronie www.megatokyo.com. No to można się zastanawiać, jaki jest sens publikowania takich komiksów w wersji książkowej. Ano duży, i to pomijając fakt, że nie każdy ma dostęp do Internetu – to nie nasza wina, że nie mieszkamy w cywilizowanym kraju. Otóż zbiorek opatrzony jest sporą ilością odautorskich komentarzy, wyjaśniających inspiracje, motywy, zagadnienia i wszelkie tego typu sprawy związane z Megatokyo. Gallagher dołączył też sporą ilość próbnych szkiców i rysunków, a na dodatek ułożył komiksy według innego klucza, niż ukazywały się w sieci. Dlatego warto przeczytać ten sympatyczny komiks, nawet jeśli znacie go już z wersji www. To po prostu kawałek fajnej, lekkiej ale i nieglupiej rozrywki. (jd)



EMILIA, TANK I PROFESOR ERYK – OSTATNI SZRAMA 2
scenariusz i rysunki: Filip Myszkowski
ZIN ZIN PRESS

Sympatycznych, choć dość dziwacznych bohaterów – Emilię, Tanka i Profesora – znają na pewno dobrze czytelnicy „Produktu". Albumowym debiutem trójki był „Eryk – ostatni szrama", którego kontynuacja niedawno się ukazała. Eryk, po odbyciu stosownej kary opuszcza więzienie całkowicie zresocjalizowany, ale wskutek działań podstępnego Lepskatora szybko wraca na ścieżkę zła, co oczywiście prowadzi do ponownej konfrontacji z E, T i P. No dobra, nie jest to przesadnie ambitny komiks. I wcale taki nie miał być. Jest zabawny, świetnie, dynamicznie narysowany (Myszkowski jest jednym z naszych najciekawszych artystów komiksowych) i czyta się łatwo i przyjemnie. I o to tak naprawdę w tym wszystkim chodziło. (jd)



ALIEN VS. PREDATOR DRESZCZ POLOWANIA
scenariusz: Mike Kennedy,
rysunki: Roger Robinson, Dustin Weaver
DOBRY KOMIKS

W swoim czasie ukazało się u nas sporo komiksowych starć pomiędzy tytułowymi kosmitami. Teraz pojawił się w miarę świeży kawałek, a to przy okazji premiery filmu „Obcy kontra Predator". Wbrew sugestiom wydawcy komiks nie jest oparty na wątkach filmowych, a jedynie przedstawia kolejną awanturę pomiędzy Alienami, Drapieżcami i ludźmi. Niestety awanturę mocno schematyczną. Rzecz – podobnie jak wiele komiksów z cyklu AVP – dzieje się na odległej planecie, którą rasa Predatorów wykorzystuje jako poligon doświadczalny w polowaniach na xenomorfy. Wtem lądują tam ludzie ze swoimi dalekosiężnymi planami, ale dostają wpierdol i marzenia zmieniają się w koszmar. Znamy? No pewnie, prawie wszystkie AVP polegają na tym prostym schemacie. Komiks tylko i wyłącznie dla najbardziej zagorzałych miłośników serii. (jd)



LIGA OBROŃCÓW PLANETY ZIEMIA
scenariusz i rysunki: KRL
EGMONT

Czytelnicy „Produktu" na pewno całkiem dobrze znają dokonania KRL-a, więc teraz mają okazję do radości: pełnometrażowy, kolorowy album, którego tytuł już sugeruje, że mamy do czynienia z parodią opowieści superbohaterskich. Oto grupka przyjaciół z osiedla, którzy niespodziewanie dowiadują się, że ich ojcami są kosmici, a oni sami są obdarzeni niezwykłymi mocami. A ponieważ kosmici planują opanowanie naszej planety, szybko zawiązana Liga Obrońców Planety Ziemia staje do walki... Niby pierwsze plansze nie zapowiadają nic specjalnego, ale im dalej, tym lepiej. Komiks jest zabawny, absurdalny i relaksujący. Narysowany jakby od niechcenia, niby mechanicznie kadrowany (wszystkie plansze mają identyczny układ ramek), a jednak przemyślany. Jeśli wczujecie się w konwencję (szczególnie dotyczy to rysunków, KRL potrafi robić o wiele lepsze ilustracje), to powinniście być zadowoleni. (jd)

KOMIKS

nowe filmy
recenzje



TROJA

reż. Wolfgang Petersen
WARNER

Amerykańscy producenci filmowi odkryli prawdziwą kopalnię złota: epopeje historyczne (bądź – jak w tym przypadku – historyczno-mityczne). Wkrótce ekrany kin zaroją się od wielkich bohaterów, herosów i półbogów, na razie jednak możemy się przyjrzeć temu, co Wolfgang Petersen zrobił z homerycką „Iliadą". Opowieść jest powszechnie znana, więc nie ma sensu jej streszczać, ale trzeba powiedzieć, że reżyser sobie poszalał. O choćby tak, że na ekranie akcja rozgrywa się (a przynajmniej mamy takie wrażenie) w ciągu dwóch tygodni, podczas gdy wojna trojańska trwała bodaj 9 lat. No i fakt, że historia filmowa jest całkowicie pozbawiona ingerencji bogów, tak istotnych w eposie Homera. I to po prostu czuć. Nie będę wnikał też w realia historyczne, od tego są specjaliści, jednak nie tak wszystko powinno wyglądać, jak przedstawił to Petersen, choć rozmachu i drobiazgowości odmówić „Troi" nie można.

Niestety Hollywood mocno rozrzedził też fabułę, w której przecież tkwi ogromny potencjał. Momentami film jest mdły, nijaki, czasem po prostu nudny, zwłaszcza jak na historię, w której naparzają się tysiące ludzi. Zdecydowaną zaletą „Troi" są aktorzy. Co prawda główna rola Achillesa została niezbyt szczęśliwie obsadzona – Brad Pitt nie poradził sobie z postacią mitycznego bohatera, geniusz pokazując w jednej zaledwie scenie, gdy wyzywa Hektora na pojedynek. Ale na drugim planie dzieje się trochę dobrych rzeczy. Wspomniany Hektor to najlepsza jak na razie rola w dorobku Erica Bana („Hulk"), wybitną kreację Priama, króla Troi, stworzył irlandzki aktor Peter O'Toole. Świetny jest Sean Bean jako Odyseusz, sprawił, że chciałbym zobaczyć porządnie zrealizowaną „Odyseję" z nim roli głównej. To jednak zbyt mało, żeby uznać film Petersena za dzieło udane. Warto go mimo to obejrzeć, zwłaszcza w wydaniu DVD, na którym otrzymamy sporą ilość dodatków, tym razem znacznie ciekawszych od dania głównego. **(jd)**



OBYWATEL KANE

reż. Orson Welles
MONOLITH

O tym filmie powiedziano i napisano już wszystko, badano, analizowano i komplementowano go na wszelkie możliwe sposoby. Nic w tym dziwnego, to niezaprzeczalna klasyka kina, przez wielu krytyków uznana za jedno z najważniejszych dokonań w historii X Muzy. Co ciekawe, był to debiut pełnometrażowy dwudziestosześcioletniego Orsona Wellesa, który, mimo bardzo bogatej i pięknej kariery filmowej, takiego sukcesu już nigdy nie odniósł. Wszystko w tym filmie jest dopracowane w szczegółach. Od konstrukcji, opierającej się na retrospekcjach, poprzez aktorstwo, misterną reżyserię, aż po odważnie stosowane techniki filmowe, których wtedy (film powstał w 1941 roku) nie używał na dużą skalę jeszcze nikt. Wciągająca fabuła (oparta na faktach z życia magnata prasowego Randolpha Hearsta, który zresztą groził Wellesowi procesem), maestria wykonania, prawdziwe dzieło filmowego geniusza. Każdy, kto swoje zainteresowanie kinem traktuje poważnie, znać ten film po prostu musi. Reszta – powinna. **(jd)**



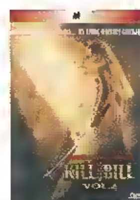
KSIĄŻĘ CIEMNOŚCI

reż. John Carpenter
MAYFLY

Najlepszy okres swojej twórczości John Carpenter przeżywał w latach 70. i 80. Wtedy powstały takie filmy, jak „Halloween", „Coś" czy „Ucieczka z Nowego Jorku". „Książę ciemności", nakręcony w 1987 roku, w zasadzie ten „złoty" okres kończy, później Carpenter zaczął powielać własne pomysły i gubić się w możliwościach, jakie dawały coraz bardziej wyrafinowane efekty specjalne.

„Książę...", choć nie osiąga poziomu najciekawszych dokonań reżysera, warty jest uwagi. Mamy tu grupę naukowców, którzy w opuszczonym kościele odnajdują ukrytą przed wiekami esencję zła, pilnie strzeżoną przez tajemnicze Bractwo Snu. Teraz jednak Szatan – bo jak się okazuje, to on we własnej osobie był więziony przez Bractwo – szuka nowych ofiar, dzięki którym będzie mógł wrócić w cielesnej powłoce na świat. No cóż, roi się tu od nieścisłości, ryzykownych pomysłów rodem z fantastyki lat 40., np. Szatan ma tu postać zielonej cieczy i przetrzymywany jest w szklanym pojemniku – chyba tylko Carpenterowi takie patenty mogą ujść na sucho, ale jednak to film, który wciąga. Ma swoje niezaprzeczalne plusy, w tym niepokojącą atmosferę, charakterystyczną muzykę, której autorem był sam reżyser i kilka kapitalnych rozwiązań. Nie da się jednak ukryć, że to przede wszystkim seans dla tych, którzy, tak jak ja, tęsknią za wysoką formą Carpentera.

Aha, niestety należy się ochrzan dla dystrybutora, który zazwyczaj dokłada wszelkich starań, żeby kolejne wydania dvd były jak najlepiej dopracowane. Tak jest i tym razem, ale puszczenie literówki na okładce, to spora wpadka. Dla przypomnienia: „książę" pisze się przez „ę" na końcu. **(jd)**



KILL BILL VOLUME 2

reż. Quentin Tarantino
MONOLITH

Sporo ciepłych słów poświęciliśmy najnowszemu filmowi QT przy okazji jego premiery w kinach, teraz więc krótkie przypomnienie: zakończenie opowieści o Pannie Młodej, która budzi się po czteroletniej śpiączce i szuka zemsty na tytułowym Billu (swoim byłym chłopaku i szefie jednocześnie) i brygadzie płatnych zabójców, do której sama niegdyś należała. Kawał dobrego, świeżego kina, a przyjemność jeszcze większa, gdy ogląda się obie części filmu pod rząd. Naprawdę warto. Z dodatków otrzymujemy niewiele, trochę materiałów z planu, wywiady i tego typu konfekcja, ale ogląda się je całkiem fajnie. **(jd)**



CZŁOWIEK SŁOŃ

reż. David Lynch
VISION

David Lynch znany jest raczej z filmów ekstrawaganckich, dziwacznych, budzących rozmaite domysły widzów i krytyków. Zdarza się jednak, że nakręci obraz kameralny, o przejrzystej fabule i strukturze. Taki jest właśnie „Człowiek Słoń", oparty na faktach z życia Johna Merricka, dotkniętego nieuleczalną chorobą, deformującą kości czaszki. Trafia pod opiekę doktora Fredericka Trevesa, który z odrzuconego przez społeczeństwo Merricka czyni ulubieńca salonów wiktoriańskiej Anglii. Faktycznie, bardzo nie lynchowski to film, głęboko humanistyczny, wręcz filozoficzny. Na osobną pochwałę zasługują aktorzy, którzy dają tu z siebie wszystko. Wspaniałe kreacje stworzyli Anthony Hopkins, John Gielgud, a przede wszystkim John Hurt w roli tytułowej. Choć ukryty przez cały czas pod szpecącą maską, daje prawdziwy aktorski popis. Piękny, głęboki i wzruszający film, nakręcony z ogromnym wyczuciem dowód wszechstronności artystycznej reżysera. **(jd)**

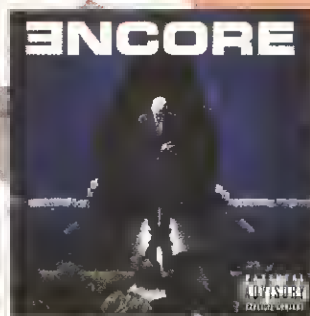
NEWSY

Czoło wszystkim. No to lipa – Bush został prezydentem USA na kolejne 4 lata. Pewnie będzie to „politycznie niepoprawne", gdy stwierdzę, że Amerykanie nie grzeszą, moim zdaniem, zbytnią inteligencją, ale co tam, muszę frustrację swą wyładować jakoś... Zresztą, my jako naród też nie jesteśmy specjalistami w wybieraniu właściwych ludzi do kierowania naszym krajem. Zaraz, zaraz, a czy w ogóle są u nas tacy? Abstrahując od tego niewątpliwego problemu, ciekaw jestem, czy kiedyś polscy raperzy zaangażują się w politykę w takim stopniu, w jakim miało to miejsce w Stanach podczas minionej kampanii przed nieszczęsnymi wyborami. Na razie pod tym względem górą jest... Paweł Kukiz ze swoją ostatnią płytą. Czy to nie brzmi jak wyzwanie? Pozdrawiam!

Listopad okazuje się bardzo bogaty, jeśli chodzi o **nowe polskie produkcje**. Od 4 listopada możecie już zakupić „Dobrą Częstotliwość", czyli producencki album Praktika. Ukazał się nakładem labela Embargo Nagrania. Na promującym singlu „Jestem Tu" pojawia się Dizkret, partnerujący Praktikowi przy ich wcześniejszym wspólnym projekcie, którego efektem była płyta „IO". Dwa lata po poprzednim albumie Borixona „Mam Pięć Gram" 6 listopada weszła do sprzedaży płyta „Rap Daje Mi Siłę". Promuje ją singiel „Sprawdź To Działa". Twórcami bitów są przede wszystkim Bezik i Teka (Rafpak), zaś za skrecze odpowiada DJ Kostek. 8 listopada mieliśmy z kolei dwie premiery. Projekt Kanał Audytywny zaoferował nam dawkę ambitniejszego muzycznie hip-hopu na „Płycie Skirtotymicznej". Gościnnie na płycie pojawia się Leszek Możdżer, fanom hip-hopu znany ze współpracy z Grammatikiem i Fenomenem. Tego samego dnia nakładem Camey Studio pojawiła się płyta producencka Ośki „Przez $ Jak...", a na niej goście tacy jak Tede, Pezet, Teka, Kołcz, Mes i Numer Raz. 18 listopada, co zapowiadałem miesiąc temu, Asfalt Records wydał „Jazzurekcję" O.S.T.R.-a. Tydzień później zaś (czyli za parę dosłownie dni) możemy się spodziewać nakładem tego samego labela koncertowej płyty Tworzywa Sztucznego zatytułowanej „Na Żywo w Mózgu" (jest to nagranie koncertu w bydgoskim klubie z maja tego roku), natomiast Embargo szykuje się do premiery tak długo oczekiwanej nowej płyty Grammatika pt. „3". Od 15 listopada możecie się natomiast zaopatrzyć w solową płytę Donia. Jej tytuł to „Monologimuzyka", a wspomagają rapera m.in. Hans, Duże Pe i Owal. Warto jeszcze wspomnieć o dwóch październikowych produkcjach, które ukazały się po zamknięciu poprzedniego numeru „SLG". Pierwszą z nich jest reedycja płyty Noona „Bleak Output" z bonusowymi kawałkami, druga zaś to producencki krążek DJ'a K-Deta „Instynkt" z gościnnym udziałem choćby Proceente, Ciecha czy Rufina, a promuje ją kawałek „Brązowy Cukier" z Kalim na mikrofonie.



nowe płyty recenzje



PŁYTA MIESIĄCA
EMINEM
ENCORE
AFTERMATH

Co na pewno zostanie napisane o tej płycie? Że Eminem robi cały czas to samo. Że znowu obraził tych, którzy mu podpadli. Że wciąż po chamsku stosuje swoją metodę na robienie hitów, a pierwszy singiel z Encore brzmi prawie identycznie, jak pierwszy singiel z Eminem Show. Że to wszystko o kant dupy potłuc. Że nie można zrozumieć, jak takie coś może być masowym fenomenem. Pieprzcie się serdecznie, ten album jest genialny.

Przede wszystkim, to nie jest cały czas to samo. Owszem, Em obrażał i obraża nadal. Ale przynajmniej patyczkuje się coraz mniej. W zakłamanym amerykańskim społeczeństwie, w którym skądinąd całkiem rozsądna reguła politycznej poprawności stała się karykaturą wykorzystywaną do prowadzenia procesów o odszkodowanie i politycznych gierek, mówi to wprost. A że nazywa gejów pedałami? A tak z ręką na sercu, to kto z was nigdy nie użył słowa „pedał"? Wolność słowa i poglądów działa w dwie strony – i wcale nie trzeba być od razu faszystą, jeżeli coś wydaje się obrzydliwe. I przestańcie się w końcu przejmować atakiem na Michaela Jacksona. Gotów jestem się założyć, że wiele osób odetchnęło, że ktoś w końcu zasugerował pewne rzeczy wprost. O ile istnieje coś takiego, jak sugerowanie wprost...

A „Mosh"? Pewnie zaraz pojawi się zarzut, że to kolejny populistyczny gest pod publiczkę. Że pierdolnięcie w Busha to łatwy sposób na sprzedanie kolejnych milionów egzemplarzy. Może nawet ktoś powie, że Em chciał zostać Michaelem Moorem rapu. A może to Moore jest Eminemem quasi-dokumentu? Zresztą posłuchajcie słów tego kawałka, pod publiczkę czy też nie (nie będę się upierał, w głowie Ema nie siedzę), treść jest odpowiednia.

Kilka słów o muzyce. Ja zwykle w przypadku płyt Eminema, zajął się nią sam, kilka kawałków oddając Dre'owi. Często pojawia się zarzut (zwłaszcza jak obok stoi Flintstone), że Eminem już tak wyeksplorował swoje patenty na robienie muzyki, że właściwie wszystko brzmi tak samo. Trochę w tym przesady, ale z pewnością jest producentem o bardzo charakterystycznym brzmieniu i osobistych patentach tak ulubionych, że momentami faktycznie nużących. I pod tym względem mogę tę płytę pochwalić, gdyż Em trochę się z własnych klimatów odmulił. Spotkałem się już z opinią, że teraz brzmi, jak... Dre. Właściwie to sam tę opinię wymyśliłem... Ale tak na poważnie, jest to zdecydowanie Em-producent kombinujący więcej i niepowielający własnych patentów tak przesadnie, by wkurzać Flintstone'a.

Oczywiście nie brakuje zabaw z utworami innych artystów. „Like Toy Soldiers" wykorzystuje spore partie megahitu sprzed lat, śpiewanego przez latynoską gwiazdę jednego sezonu – Martikę. Ciekawe, czy będzie come back tej pani. Z kolei prawdziwym przegięciem jest kawałek „Crazy In Love", wykorzystujący fragmenty utworu „Crazy On You", koszmarnego rockowego aktu z lat 80., Heart. W wyniku tej, niewątpliwie odważnej kombinacji powstało coś naprawdę... śmiesznego. Cóż, to po prostu kolejny dowód na to, że hip-hop beaty można robić w oparciu o naprawdę wszystko...

By zakończyć wątek muzyczny, a już nie wdawać się w kolejne przykłady, dwa zdania. Brzmi to wszystko do kupy świetnie, choć skaczące nastroje wymagają od słuchacza pewnego opanowania. Żeby się nie rzucić z okna podczas obniżki formy – ta może się pojawić na przykład po tym, jak po „Crazy In Love" usłyszymy „One Shot 2 Shot", nota bene, jeden z lepszych utworów Ema z D-12, jakie kiedykolwiek powstały.

O tym, że Em atakuje, już pisałem. O tym, że ma poczucie humoru, wszyscy wiedzą. Chore, bo chore, ale... Gdy do spółki z Obie Tricem, Statem Quo (newcomer w Shady Records, na razie mocno surowy) i 50 Centem rozprawiają o... dziewczynach w jednym z najlepszych na płycie kawałku „Spend Some Time", można się pośmiać. Dziewczyny niekoniecznie muszą, ale... Z kolei o tym, że potrafi być wzruszającym sukinkotem miał nas ochotę przekonać w dialogu z potomstwem, „Mockingbird". Prawie mu się udało, ale potem, na koniec, dołożył dwa zdania. Wzruszające naprawdę.

Michael Jackson został pojechany strasznie. Głównie w teledysku, ale tekścik „Just Lose It" też jest konkretnie dwuznaczny. Zresztą tu cały czas aż kłębi się od dwuznaczności, dziwnych porównań, chorych kombinacji słownych. No i ta technika – możecie nie lubić Eminema, nie mówcie jednak przypadkiem, że ten facet nie potrafi rymować. To już jednak było napisane tyle razy. A propos rymów, to warto zwrócić uwagę na genialną zwrotkę 50 Centa w genialnym „Never Enough", w którym pojawia się jeszcze Nate Dogg.

Dobra, nie chce mi się więcej pisać o tej płycie. Słuchajcie jej, oglądajcie historyjkę z okładki i wkładki. To będzie naprawdę dobrze zainwestowany czas. Czas spędzony z genialną płytą genialnego psychola. **kwl**



MORAL/GANO
NIENAGANNIE NIEMORALNA PROPOZYCJA
TONAMI

Jestem pod wrażeniem. Zwłaszcza tego, jak zmienił swoje stilo Gano – jest teraz bardziej płynne, mniej w nim tak wyraźnych akcentów, które – nie ukrywajmy – bywały denerwujące. Jest dobrze. Moral też nie zawodzi, fajnie, z oryginalnym flow nawija. To w ogóle jest płyta, która od początku robi w głowie dobrą jazdę. Nowoczesne inspiracje w podkładach, słychać, że zaoceaniczna jazda ma wpływ, momentami nawet spory, ale to nie zarzut, gdy ktoś opiera swoje pomysły o dobre patenty. Sporo tu melodii, prostych, wpadających w ucho, nieźle podbijających słowa. Tematyka szeroka – trochę blingowej fikcji, trochę z dystansem o samych sobie, trochę przekazanych w przystępnych słowach tematów ulicznych. Sporo humoru, acz nienachalnego, całkiem nieźle skomponowane skity, wnoszące coś nowego do materiału, co nieczęsto się w Polsce zdarza. Dobre w tej płycie jest to, że kolejne kawałki może nie wynikają z siebie tematycznie, ale wszystko układa się w spójną całość. Słucha się tego naprawdę nieźle. Czy Moral do spółki z Gano podbiją nieobliczalny polski rynek hh? W każdym razie powinni na nim jakoś zaznaczyć swoją obecność, bo materiał jest nienaganny:).

RECENZJE MUZYCZNE

NEWSY



Zabawna plotka obiegła Internet w ubiegłym miesiącu. Pojawiły się mianowicie zdjęcia oraz krótki filmik, na którym **Lloyd Banks** uprawiał seks z... innym facetem:). Wszystko okazało się pomyłką, gdyż postacią do złudzenia przypominającą rapera okazał się niejaki Ty Lattimore, aktor pornograficzny. Sam Banks był, rzecz jasna, zaskoczony. Skomentował: „Nie mogę uwierzyć, że ludzie mogli w ogóle myśleć, że to ja. To tak, jakbym nagrał kawałek z Murder Inc." Hm, osobiście wolałbym jednak nagrać nawet całą dyskografię dla Irva Gottiego, ale to kwestia pewnych priorytetów;).



Digable Planets, grupa słynna z hitu „Rebirth Of Slick (Cool Like That)", zjednoczyła się na powrót i pracuje nad nowym albumem. Butterfly, Doodlebug i Ladybug nie chcą zostać „one-hit wonderem", stąd decyzja co do nagrania. Brzmi dziwnie, biorąc pod uwagę, że wspomniany kawałek latał w... 1993 roku. Póki co, nie jest znany tytuł i data premiery płyty.

11 listopada nakładem Fat Beats ujrzał światło dzienne szósty album weterana **Edo G**. Jego tytuł to „My Own Worst Enemy". Producentem całości został Pete Rock, a na mikrofonie pojawiają się Diamond D, Masta Ace oraz Krumb Snatcha. Płyta zawiera tylko 10 numerów, gdyż artysta nie zgadza się z tendencją do wydawania albumów, w których obok singla czy dwóch pełno jest wypełniaczy.



Cam'ron okazuje się niezłym klamczuszkiem. Jak pamiętacie (lub też nie, i tak przypomnę), w zeszłym miesiącu pisałem o zapewnieniach tegoż rapera, iż przesunięcie premiery „Purple Haze" na 7 grudnia jest ostateczne i żadnych kolejnych opóźnień nie będzie. Widocznie się chłopak nie sprężył, bo obecnie oficjalnym terminem debiutu jest już 21 grudnia. Się poczeka, się zobaczy... Jako okoliczność łagodzącą można jednak przyjąć fakt, że Cam równocześnie pracował wraz z Jimem Jonesem, Freekym Zeekym i Juelzem Santaną nad albumem The Diplomats zatytułowanym „Diplomatic Immunity 2". Ukaże się on 23 listopada nakładem KOCH Records.



Jak informowałem miesiąc temu, **Jay-Z i R. Kelly** wyruszyli we wspólną trasę koncertową promującą ich nowy wspólny album. Wyszło z tego niezłe zamieszanie. Trasa została przerwana, a Kells pozwał do sądu Hovę, żądając 75 milionów dolarów odszkodowania. Każdy z artystów ma oczywiście inną wersję wydarzeń. Ze względu na brak miejsca nie będę przytaczał kolejnych argumentów wysuwanych przez obydwie strony, ale wierzcie – dużo tego się nazbierało. Decydującym wydarzeniem był koncert w NY, podczas którego R. Kelly zszedł ze sceny, tłumacząc, że nie może kontynuować występu, gdyż ktoś z publiczności groził mu bronią. Tłum osłupiał, Jay-Z również, ale show trwał dalej, gdyż do rapera dołączyli inni wykonawcy, chociażby Foxy Brown czy będący wśród widzów Usher. Dodatkowo, gdy Kelly schodził ze sceny, jeden ze znajomych Hovy rozpylił mu gaz prosto w twarz. Jigga podsumował zachowanie koncertowego partnera słowami „I don't need that nigga", po czym stwierdził, że to był jego ostatni występ z Kellym. Obydwaj artyści udzielili następnie wywiadów dla radia Hot 97, w których przedstawiali swe racje, wylewając kubły pomyj na siebie nawzajem. A tak miało być miłutko...



FROM FIRST TO LAST
DEAR DIARY, MY TEEN ANGST HAS A BODYCOUNT
EPITAPH

Pierwsze punkty inkasują za sam tytuł płyty. Młoda ekipa z Los Angeles realizuje się we wrzaskliwym emo, pełnym pasji, agresji HC i metalowych brzmień. Gros utworów From First To Last to utrzymane w wyścigowych tempach (brawa dla perkusisty!), rytmicznie połamane (znów brawa dla perkusisty!) czady z pełnymi goryczy tekstami wykrzyczanymi desperackim głosem przez wokalistę. Z tego kanonu wyłamuje się bardziej melodyjny „I Liked You Better Before You Were Naked On the Internet" (swoją drogą, kolejny świetny tytuł), akustyczna balladka „Emily", która wyciśnie łzy z oczu niejednej emo girl oraz instrumentalna miniaturka „Kiss Me, I'm Contagious".

Jeżeli ten kalifornijski kwintet podąży w kierunku utworów takich jak świetny „Secrets Don't Make Friends" i nie zrezygnuje z urozmaiceń, jestem skłonny dopisać nazwę From First To Last do prywatnej listy zespołów-pewniaków. W końcu tylko na takie stawia ich wydawca... /sr/



POKER FACE
S/T
SHING RECORDS

Melodyjny hard core w stylu H20, Vision czy Good Riddance skojarzony z motorycznym, rock'n'rollowym punkiem w stylu Social Distortion – w takim klimacie utrzymany jest pierwszy album warszawskiego Poker Face, jeden z najciepiej przyjętych debiutów na scenie niezależnej ostatnimi czasy.

Poker Face ma potencjał, siłę i styl. Dynamiczne, przebojowe piosenki zespołu podporządkowane są trzem kluczowym słowom wypisanym z tyłu okładki: „truth, love, hate". To oznacza, że pozostajemy w świecie korzennego rock'n'rolla, w którym królują gitary, ryzyko i szydercze uśmiechy. Czasami warszawiacy przywołują w ten sposób ducha lat 50., złotych czasów r'n'r i rockabilly, ale nie pozostawiają przy tym najmniejszych wątpliwości, że oto jesteśmy w Polsce na początku XXI wieku i że korzenie grupy tkwią także na scenie HC. Kuba, charyzmatyczny wokalista Poker Face wykłada łobuzerskie credo zespołu w „My Life" i „R'N'Roll Sinner". A jeżeli nie obchodzi cię, co pokerzyści mają do powiedzenia, to nie znajdziesz u nich sympatii i dadzą ci to jasno do zrozumienia kawałkiem „Move Your Ass". Może więc lepiej posłuchać... Ja w każdym razie chylę czoła przed Poker Face. Ponieważ to bardzo dobra płyta. /sr/



ANALOGIA
ESENCJA CZYSTA
WIELKIE JOŁ

Spodziewałem się po Analogii bardziej hardcore'owego, brudnego materiału tymczasem zaskoczony zostałem różnorodnością. Kaszalot sięga po znane, częstokroć łatwo rozpoznawalne sample i nie ma w tym nic złego, bo sporo z nimi robi. Po pierwsze, najczęściej są solidnie cięte, po drugie, dochodzą do nich dodatkowe próbki, wystarczy posłuchać sobie choćby „Daje rytm" i zwrócić uwagę, ile dzieje się na dalszych planach, po trzecie, sporo jest przejść, wyciszeń, itp. zabiegów urozmaicających, po czwarte, Kanye West i Trackmasters samplują kanony i robią z nich hity.

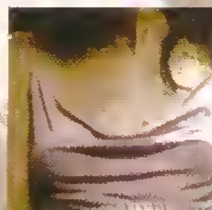


■ Jakby opisana wyżej afera nie wystarczyła, jest i kolejna. Każdy chyba widział teledysk do singla **Eminema** „Just Lose It". Widział go też Michael Jackson, główny adresat niewybrednych żartów rapera. I tu niespodzianka – królowi popu i operacji plastycznych video się nie spodobało i wystosował prośbę do telewizji muzycznych o nieemitowanie go. Apelu wysłuchała stacja BET. Michael miał nadzieję, że w jej ślady pójdą inne, ale tak się nie stało, więc swą frustrację postanowił odreagować pozywając Eminema do sądu, a przynajmniej takie miał plany w chwili zamykania tego numeru SLG. Tymczasem ciekawe, jak zareaguje na kolejny teledysk rapera George Bush, który jest bohaterem klipu do kawałka „Mosh". Video (swoją drogą bardzo interesujące), przedostało się do internetu, toteż można je było obejrzeć już pod koniec października. Eminem prowadził kampanię nawołującą do niegłosowania na Busha, a „Mosh" to jej punkt kulminacyjny. Szkoda tylko, że wszystko na darmo... Ciekawostką jest fakt, że Ema poparł m.in. nie kto inny, tylko sam Moby, któremu raper poświęcił niegdyś kilka nieprzyjemnych wersów na „Without Me".

■ Na rok więzienia skazany został niejaki Dwight Grant. No i co z tego? A to, że bardziej znamy tego pana jako **Beaniego Sigela**. Podczas kontroli drogowej w 2002 roku Beans wyskoczył z samochodu i zaczął uciekać, po drodze wyrzucając pistolet, którego ze względu na wcześniejsze wybryki nie wolno było mu używać. Ponadto w jego

No więc Kaszalot też robi hity, jego podkłady to idealne na koncerty rozpierdalacze rodem ze złotej ery rapu. Jest wszechstronny – w (za długim) numerze z Warszafskim Deszczem (!) sięga po funkową pętlę, w kawałku z Fu, Peją i Sokołem (!!!) uzyskuje brzmienie rodem z drugiego WWO za pomocą prostej perkusji i głębokiego basu, chilloutowe „Pokój człowiek" sprawia wrażenie, jakby miał do dyspozycji cały żywy band. Rap Benia i RDQ pokazuje lata wyrabiania flow i doświadczenie, trzyma równy poziom, choć można odnieść wrażenie, że celniejsze linijki miewa ten pierwszy (w tym takie kozaki jak „Na co przykleiłaś te rzęsy, na butapren? / daj spokój dziewczyno, i tak nie jesteś wampem"). Oczywiście trzeba lubić takie głosy, zdecydowanie bliższe fanom Grup Home, niż Ice Cube'a czy Chali Tuny. Co do treści, panowie nie nauczają, co nie znaczy, że nawijają wtórnie i o niczym – powiem szczerze, że nie słyszałem wcześniej kawałka o hmmm... „redystrybucji dóbr". Na pochwałę zasługują również skrecze (Wojak, Deszczu, Romek).

Ma to wszystko sens, charakter, energię a nawet jest ładnie opakowane. Jedyne zastrzeżenie to miks wokali, w które nadto trzeba się czasem wsłuchiwać i brak (poza chwilką w skicie) beatboksu, wizytówki RDW. Kolejna dobra płyta z silnej jak nigdy północy. flintstone (cs)



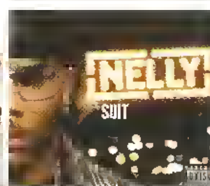
GOTAN PROJECT
INSPIRACIÓN ESPIRACIÓN
YA BASTA!

Nie jest to bynajmniej nowa płyta mistrzów tanga, lecz zbiór remiksów kompozycji z płyty „La Revancha del Tango" zebrany przez lidera Gotan Project, Phillippe'a Cohena Solala. Wiadomo jak fabrykuje się przystępny remiks z myślą o częstej emisji w radiu – doklejamy house'owy rytm, jakąś nachalną melodyjkę i jest hit. Cohen Solal trzymał się od takich konceptów na bezpieczną odległość. Ideą albumu było, zgodnie z tytułem, przedstawienie inspiracji i aspiracji Gotan Project. Te pierwsze słyszalne są w autorskich remiksach lidera grupy, wykorzystujących wiele klasycznych argentyńskich nagrań powstałych między latami 40. a 70. Niektóre z nich odratowano ze starych płyt winylowych, przez co emanują niezwykłym urokiem. Aspiracją Gotan Project jest z kolei doprowadzenie do muzycznej konfrontacji różnych stylów. To założenie realizuje m.in. remiks autorstwa Anti-Pop Consortium, które połączyło tango z hip-hopem, przydając całości surowego brzmienia lo-fi. Peter Kruder flirtuje z elektroniką, Pepe Bradock dorzuca też brzmienia dubu, ale najmocniejszym punktem płyty okazuje się mroczny, wykorzystujący dźwięki jazzu i miejskiego folku remiks popełniony przez Calexico. To jest podróż do ciemnego i miotanego emocjami serca tanga, emanująca mrocznym klimatem zakazanych alejek Buenos Aires.

„Inspiración Espiración" słucha się jak eklektycznego setu w wykonaniu sound systemu, dla którego tango jest punktem wyjścia do poszukiwań obejmujących niemal każdy obszar muzycznej kultury. Wrażenie jest naprawdę znakomite. Wspomnieć należy też o dodatkowym kompakcie, dołączonym do albumu, zawierającym premierowe nagranie Gotan Project „La Cruz del Sur" oraz specjalny film video pt. „Sentimentale" nakręcony przez Priscę Lobjoy odpowiedzialną za oprawę wizualną koncertów formacji.

Zawsze uważałem, że tango (podobnie jak flamenco, salsa...) jest muzyką tak bardzo autentyczną i komunikatywną, że porusza nie tylko latynoskie serca. A jeżeli jego wykonawcy odznaczają się tak twórczym i wizjonerskim podejściem, jak to, które cechuje Gotan Project, to tym większa będzie jego siła oddziaływania. /sr/





NELLY
SUIT
SWEAT
UNIVERSAL RECORDS

Jak się już nie ma pomysłu na to, co by tu jeszcze udziwnić, to się wydaje dwie osobne płyty w tym samym czasie, podobnie się je nazywa, okładki do siebie nawiązują i w ogóle... Nelly w tej chwili jest taką maszynką do robienia pieniędzy, że czekamy, kiedy zacznie grać w filmach. Cóż, trzeba to wyeksploatować do oporu, bo nigdy nie wiadomo, co będzie się podobało w przyszłym sezonie. Trzeba jednak przyznać, że te dwie produkcje to jak na razie najlepsze płyty w dorobku tego niewątpliwie uzdolnionego młodego Afroamerykanina. Przede wszystkim pozbył się choć na momenty tej denerwującej czkawki, która była elementem jego flow. Niestety, nie pozbył się banałów w opowiadanych historiach, ale na to raczej nie należało liczyć. Nie należało też liczyć na to, że nie pojawią się na niej goście; wszak goście są od jakiegoś czasu solą zamorskich produkcji rapowych sygnowanych przez znanych wykonawców. No i Nelly zrobił to w ten sposób, że na 24 tracki, które znajdują się na obu płytach, tylko w sześciu nie ma gości. A ci pochodzą z różnych bajek – od Mobb Deep i Missy Elliot, przez Snoopa, Mase'a, Jazze Pha, aż po Christinę Aguilerę, z którą nagrany kawałek, „Tilt Ya Head Back", oparty o fragmenty „Superfly" Curtisa Mayfielda, jest nota bene całkiem do przyjęcia, żeby nie napisać, że fajny.

Koncept na dwie płyty jest następujący – Suit to więcej wczuwki, przejmujących bujanek, rozprawek lirycznych, pościeli;), natomiast Sweat to balanga, energia, klubowe rytmy weekendowe. Z dwóch płytek dałoby się wyciąć jedną nawet dość wypasioną, ale ten pomysł najprawdopodobniej nie był nawet rozważany. Ogólnie jednak nie jest to materiał, na który można przesadnie narzekać. Ot, takie popowe podejście do robienia hiphopowych hitów. Na weekendy się nadaje.



RED LIGHTS FLASH
FREE...
A-F RECORDS

Austriacki Red Lights Flash jest pierwszym zespołem spoza USA zwerbowanym przez wytwórnię A-F Records należącą do członków grupy Anti-Flag. Debiutancki album zespołu przynosi całkiem udany zestaw punkowych petard, łączących melodię z hardcore'ową furią. W tym, co robią Austriacy słychać na pewno echa Good Riddance, Hot Water Music i Strike Anywhere, ale Red Lights Flash jest na dobrej drodze do wypracowania własnego stylu. A że członkowie zespołu nie cierpią na deficyt oleju w głowach

RECENZJE MUZYCZNE

NEWSY

aucie znaleziono pewne popularne zioło. To nie koniec problemów rapera, gdyż czekają go jeszcze procesy za usiłowanie zabójstwa pod filadelfijskim barem oraz za uderzenie mężczyzny w twarz.

■ Oto lista nagrodzonych w najważniejszych kategoriach podczas tegorocznych **Source Hip-Hop Music Awards**, których rozdanie miało miejsce 10 października. Artysta roku – Ludacris; grupa roku – Ying Yang Twins; singiel roku (solo) – „Right Thurr" Chingy; singiel roku (grupa) – „Lean Back" Terror Squad; singiel roku (współpraca) – „Damn" Youngbloodz ft. Lil Jon; album roku – „College Dropout" Kanye West; producent roku – Lil Jon; artysta roku R&B – Usher; artystka roku R&B – Alicia Keys; artysta roku dancehall/reggae – Elephant Man; teledysk roku – „Through The Wire" Kanye West; niezależny album roku – „Konexion" Freddie Foxxx.

■ Def Jam zamierza wycofać z dystrybucji płytę **Shyne'a** „Godfather Buried Alive" z powodu słabej sprzedaży. Po zainwestowaniu 4 milionów dolarów w pozyskanie rapera do wytwórni oraz w promocję płyty, ta sprzedała się w 350 tysiącach egzemplarzy, co zapewniło zwrot tylko 1,3 mln dolarów. Shyne nie przejmując się tym orzekł, iż jest szczęśliwy, że jego pierwszy album przysporzył mu dużej popularności i nie obchodzi go sprzedaż. Dowcipniś. Tymczasem polskim wykonawcom hiphopowym życzę serdecznie choćby tak „marnej" sprzedaży, jaką miała płyta Shyne'a, choć może przy mniejszych nakładach finansowych ze strony labeli.



■ **X-zibit** wydaje 7 grudnia płytę zatytułowaną „Weapons Of Mass Destruction". X porusza na niej w kilku numerach tematy polityczne. Należy on do grona raperów, którzy, delikatnie mówiąc, nie popierają polityki zagranicznej Busha, stąd ta inicjatywa. Album ma być jednak zróżnicowany i poświęcony różnej tematyce. Wśród producentów znajdą się Timbaland i Hi-Tek, a na mikrofonie usłyszymy Bustę Rhymesa.



■ Szykuje się kolejna ścieżka dźwiękowa do gry komputerowej zawierająca kawałki hiphopowe. Podwójny album z numerami ilustrującymi grę „**Grand Theft Auto: San Andreas**" zawierać ma takie klasyki jak „How I Could Just Kill A Man" Cypress Hill, „I Don't Give A Fuck" Tupaca czy „Rebel Without A Pause" Public Enemy. Ponadto znajdą się tam numery m.in. Slick Ricka, Erica B. & Rakima, Compton's Most Wanted i Ricka Jamesa.

■ Raper **Immortal Technique**, o którym nieco więcej możecie przeczytać w artykule Kady, swój następny album wyda na początku 2005 roku nakładem Babygrande Records. Pierwsze dwie płyty Techa naładowane były politycznymi, społecznymi i historycznymi nawiązaniami, a wydano je tylko w podziemiu. „Middle Passage", bo tak zwie się nadchodzące wydawnictwo, ma różnić się od nich szerszym podejściem do spraw – raper chce przekazać więcej „ludziom na ulicach".

.:Grabiszczy:.

można przekonać się dzięki lekturze zaangażowanych, inteligentnych tekstów. Zresztą nastał dobry czas dla politycznego punka, ale to temat na osobną dyskusję... Trzynaście utworów i videoclip do jednego z nich. Jest dobrze, powinno być jeszcze lepiej. Sugeruję śledzić losy tego zespołu. /sr/



ROCK AGAINST BUSH VOL. 2
V/A
FAT WRECK CHORDS

Zmagań muzyków z Naczelnym Ranczerem USA ciąg dalszy. O oprawę dźwiękową tej walki zadbały tym razem: Green Day, Bad Religion, Operation Ivy, The Lawrence Arms, Dropkick Murphys, Flogging Molly, Only Crime, Foo Fighters, Lagwagon, Sugarcult, Rancid, Sleater-Kinney, The Unseen, Yellowcard, Dillinger Four, Jawbreaker, Bouncing Souls, Mad Caddies, The Dwarves, Sick Of It All, No Doubt, Useless I. D., Autopilot Off, The (International) Noise Conspiracy, Donots, Hot Water Music, Thought Riot i No Use For A Name. Krążek rozbrzmiewa punk rockiem, hard core'em, emo, ska, irlandzkim folkiem, power pop i alternatywnym rockiem, których wysoką jakość gwarantują wymienione wcześniej nazwy. Dodatkowa płyta DVD zawiera teledyski (m. in. Alkaline Trio i Bad Religion), skecze (komicy przeciw Bushowi) oraz fragmenty demaskatorskich filmów dokumentalnych, których polska telewizja na pewno nie wyemituje.

Płyta bomba, a jako że wybory prezydenckie w USA tuż, tuż, pozwolę sobie na jeszcze jedną refleksję – brak charyzmy jest chyba mniej tragiczną przypadłością niż brak mózgu. /SBTN/

Od redakcji: recenzja została napisana jeszcze przed wyborami prezydenckimi w USA, które (wybory, nie Stany) skończyły się wiadomo czyim zwycięstwem.



NOCONCRETO
NOCONCRETO
EMBARGO NAGRANIA

Nie wiem, czy Noconcreto ma być w założeniu licznego składu zespołu polską odpowiedzią na Linkin Park, Limp Bizkit i typ podobne zespoły. Nie wiem też, czy ma zamiar podbić polski rynek w taki sposób, w jaki wyżej wymienione zdobyły rynki światowe. Jeśli odpowiedź na obie moje wątpliwości brzmi „tak", to mogę od razu dorzucić: to się nie uda. Debiutancki album Noconcreto to idealny przykład na to, jak wziąć do kupy siedmiu facetów, którzy – co słychać – grać potrafią i nagrać płytę, której słuchanie przyprawia o ból zębów. Niby jest mocno, ciężko, czasem delikatniej, dorzucone skrecze, zmiany tempa... Słowem, wszystkie elementy, które teoretycznie można skleić w całość spod szyldu „nu-metal". Teoretycznie, bo w praktyce nie wyszło. Wszystkie kawałki są nagrane na jedno kopyto, bez pomysłu, bez siły, bez jaj. Wokaliści zawodzą na całej linii, nie sprawdzają się ani w śpiewie, ani w krzyku, ani w swoistym pseudo-rapowaniu. A jeśli komuś mało, to może dobić się tekstami. Doprawdy, odkrywcze zdania w rodzaju „Kabona, która raz jest, a raz jej nie ma" czy „Patrz mi prosto w oczy, kiedy mówisz do mnie / Patrz mi prosto w oczy, kiedy mówisz, co mówisz", spowodowały, że zatęskniłem do bełkotliwej poezji Głacy ze Sweet Noise. Nie od dziś wiadomo, że do nagrania dobrej płyty trzeba nieco więcej niż dobrych chęci. Mam jednak wrażenie, że Noconcreto zabrakło nawet tego. Szkoda czasu, pieniędzy i nerwów. A także talentów muzyków, którzy, jestem o tym przekonany, byliby w stanie nagrać naprawdę dobrą, potężnie brzmiącą i fajną płytę. (jd)



BORIXON
RAP DAJE MI SIŁĘ
CAMEY STUDIO

Druga płyta Borixona to pozycja, do której wracam. To kwestia tego, że ten raper potrafi dobrać sobie pod siebie przebojowe beaty i pojechać na nich skrajnie prosty tekst bez cienia zażenowania, jest zupełnie bezpretensjonalny. Trzecie solo: "Rap daje mi siłę" jest najspokojniejsze i najmniej kontrowersyjne w jego karierze. Ale BRX ma wciąż przy sobie swoje podstawowe atuty.

Bałem się beatów Bezika, bo jest ich sporo, ale niemal zdążył on już zgubić dance'owe, pnoumatikowe zacięcie. Jest toporny, ale strawny, czasem nawet efektowny. Z produkcji można się wiele nauczyć. Do tej pory nie wiedziałem, że Teka jest entuzjastą peruwiańskich piszczałek. Na nich oparł jeden beat, oprócz tego dał dwa ciężkie syntetyki. Co ciekawe, Ośka również sięgnął po jakieś fletnie rodem z Andów. Normalnie Ameryka (Południowa). Najjaśniejszym punktem płyty są "Słowa droższe od pieniędzy". Podkład Nolte (razem z Cameyem wprowadzają na album delikatność) oddycha, cieszy swoją pełnią. Kiedy Borixon rymuje na nim "To jest to, co mogę Ci dać / wszystko to, co mogę Ci dać / słowa droższe od pieniędzy, czystość / to jest nasze miasto, to jest nasz hip-hop" jest przejmujący i przekonujący. Weteran z Kielc dojrzał, w autotematycznych tekstach nie porusza zbyt wielu problemów, nie wykazuje złożoności, ale wywołuje u słuchaczy sympatię. To już dużo. Wyszła nam z tego wszystkiego przyjemna płyta. flint (cs)

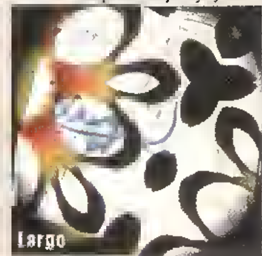
Ps Chciałbym pogratulować LWWL cytatu roku: "Wciąż się opierdalam, nie uczę, nie pracuję, razem z chłopakami, razem z chłopakami!". Brawo.

#nielegalna akcja eselgie

Długo nie było Akcji na łamach, przyszło sporo płyt, zmieścimy się z opisem tylko cząstki tych dobrych odrabiając zaległości.



Najwięcej pochwał za płytę **Puenty** i płytę **eSKaPe** (obie z Lubina) winien zebrać Creon. Ma fantastyczną rękę do sampli, łączy je z perkusją tworząc numery pełne siły, klasycznie brzmiące, zmuszające do kiwania głową wypasy. Porównać można ten styl do bangerów Tabba, ale jest równiejszy, a przede wszystkim cięższy. Do tego Creon dobrze skreczuje i wybiera dobre cuty! Co do mc's – eSKaPe jest poważny i wczuty, ale niestety brzmi jak raper który z przekory rymuje offbeatem, nie umiejąc wcześniej nawijać pod werbel. Raperzy z Puenty: Primo, Łasuch i Ściecha rymują, swoje dość standardowe, ale sensowne, zaskakujące czasem ciekawą, ciętą metaforą teksty twardo, z wigorem, gubiąc się jeszcze trochę na szybszych beatach. Ta pozycja nie zdziwiłaby mnie na legalu, ale póki co oficjalne są tylko remiksy Creona na dwukompaktowej edycji Trzeciego Wymiaru.



Druga najbardziej zapadająca w pamięć płyta również związana jest z TW. Bowiem to na płycie chłopaków oficjalnie debiutowała **Largo**, i to w bardzo dobrym stylu. Teraz nadszedł czas na album. Dobre, przebogato aranżowane, fajnie brzmiące beaty dla wyrobionych uszu (czyżby żywy zespół?). A na nich dziewczyna uprawiająca coś pomiędzy rapem a śpiewem, panująca nad głosem i flow, bardzo sprawna technicznie, piekielnie dynamiczna, a tekstowo dobra na tyle, by wreszcie ucieszyć ucho pełnym spektrum odmienności kobiecego światopoglądu. Wielkie brawa, to ma poziom Ani Sool i Lilu w najlepszych momentach obu zdolnych pań. Jedna prośba – żeby nie było więcej utworów po angielsku.

„Szalona epka" **Styla i Dezinte** to rozczarowanie, zwłaszcza biorąc pod uwagę jakość poligrafii, miksu i masteru, choinkę patronatów i zaproszonych gości (Ciech, Młody Łyskacz, Lilu). Sporo przesłabych sampli jakby z kompaktów mamusi (Deep Forest? Jak można...), z którymi niewiele jest zrobione. Imprezowa płyta pojechana bez panczlajnów, bezczelności, za to z sileniem się na luz, którego zupełnie brak.

Tejp przysłał epkę producencką „Na fonii". Pozostaje mieć nadzieję, że pójdzie w lepiej mu wychodzącą dynamiczną stronę i ograniczy ilość grobowych, patetycznych sampli. Zaprosił za to ciekawych i nieznanych mi wcześniej raperów – zwłaszcza Projekt 103 i 3pe wybijają się dzięki dużej wrażliwości, inteligentnym tekstom. Mają też pomysły na (wymagające dotarcia) flow.

„Sample ciszy ep" to dzieło trójmiejskiego duo **Magnes**. Raper Dornin to obserwator zwyczajności z leniwym, lekko egzaltowanym flow. Najbardziej cenię u niego to coś własnego, co wkłada w rymy – kto jeszcze ma porównania w stylu „jestem na środku pustkowia jak litera 'k'? Scp klei jazzowo-chilloutowe beaty. Na plus: łagodność, spokój i odpoczynek, którą tchnie płyta. Na minus: słabiutkie brzmienie. Część utworów cyka, mam tylko nadzieję, że nie z winy niechlunego cięcia próbek.

Wirone i **Hawuer** są z Pyskowic. Przysłali lp „Woda w proszku, sztućce instant i kurczak w aerozolu". Wirone ma naturalny luz w nawijce, jest błyskotliwie złośliwy, oryginalny i ma duże poczucie humoru, a gdy podaje 77 powodów by żyć, nawet rozczula. Dostaje się głupim dziewuchom, rap scenie, napinaczom i wielu innym. Hawuer potrafi wyjąć fajny sampel i zrobić na tym bujający beat. Irytuje tylko miks, w wokal trzeba się wsłuchiwać zwłaszcza, że mc powinien siedzieć w beacie trochę mocniej. Ale i tak to dobra zabawa.

Na koniec „Audiomax" prezentowanego już u nas kieleckiego **Dialektu**. To już piąty album! Ci co lubią, dostrzegą, że baaardzo specyficzny Misza się wyrabia, coraz ciekawiej gra głosem, ci, co nie lubią i tak nie polubią. Wciąż ma wariackie pomysły na opowieści, ale jest nieco spokojniejszy. O dziwo, najbardziej w ucho wpada liryczne „Dom koło domu". W beatach (Inwencja, czyli Danysz+Misza) wciąż mamy dużo funku, ale i eksperymenty idące zarówno w stronę orientu jak i Jamajki. Zawsze jest profesjonalnie - bas, sample, perkusje, a nawet skrecze od DJ'a z Wielkiej Brytanii. Świetne brzmienie!

.:Flint (CS):.



IMMORTAL TECHNIQUE

bez błogosławieństwa mediów

Panuje powszechne przekonanie, że artyści istnieją dzięki mediom. To w końcu im zawdzięczają swoje błyszczenie na firmamencie gwiazd. Immortal Technique zdaje się zaprzeczeniem takiego myślenia. Dwie płyty, których rozprowadzanie zawdzięcza swojemu zmysłowi marketingowemu i pomocy kilku ludzi, sprzedały się niemal w ilości, za którą w Polsce raperzy odbierają złote płyty i która dla wielu rodzimych wykonawców jeszcze długo pozostanie barierą nie do pokonania. „Załatwiam wszystko sam, pracuję z ludźmi, zajmującymi się tym, czego ja nie mogę zrobić. Nie muszę nikomu płacić za wiązanie moich butów" – twierdzi.

Poszukiwanie prawdy

Rap, breakdance i malowanie graffiti nie były mu obce już w wieku dziewięciu lat. Wcześnie zaczął aktywnie działać na hiphopowym polu. Z biegiem czasu coraz bardziej angażował się w rymy. Na początku był freestyle. Immortal nie stronił od najróżniejszych słownych bitew i nierzadko wychodził z nich zwycięsko. Nie miało to wtedy nic wspólnego z polityką. Po pewnym czasie przyszła jednak refleksja. Pomyślał, że nie może rozwijać się bez pisania kawałków z jakąś konkretną koncepcją. Zastanawiał się, „dlaczego nikt nie mówi prawdy?". Paradoksalnie, dość istotny wpływ na powstanie pierwszej części rewolucyjnej serii „Revolutionary vol. 1" miało więzienie. „Przeciwko mnie toczyło się wiele postępowań, bo byłem niedojrzały. Nie lubiłem się kłócić, ale kiedy ktoś okazywał mi brak szacunku, to było wyraźne wyzwanie i musiałem zareagować" – tłumaczył. Kiedy zamknięto go za napaść, miał dużo czasu na myślenie i czytanie. To wydarzenie zmieniło też jego pogląd na siły rządzące światem. Powstał nowy Carino.

Liryczna dawka rzeczywistości

Mieszanka miejskiej poezji, wojowniczych hymnów, melodii i politycznych esejów, skąpana w bitach – to środek wyrazu zbuntowanego Portorykańczyka wychowanego w Harlemie. Jest agresywny, ale mówi przy tym jasno i wyraźnie. Jego polityczne i społeczne komentarze wypełniają rzeczywiste informacje i brutalne punchline'y. Tworzy głęboko zaangażowany, „wykształcony, hardkorowy, prawdziwy hip-hop". Mimo, że jest dobrze znany środowisku hiphopowemu, underground roztacza nad jego szczerymi wypowiedziami mgiełkę milczenia. „Jeśli sprawisz, że głos jest cichszy, powstaje iluzja, że sprawy, które poruszasz są mniejsze, niż w rzeczywistości" – wyjaśnia. Nie zniechęca go to jednak do dalszego piętnowania w utworach tego, co złe. „Muzyka to ścieżka dźwiękowa do świata. Od getta do najbogatszej dzielnicy" – definiuje. „Mówię w imieniu tych, którzy mówić nie mogą, zresztą tak robię nie tylko ja – jest wielu mc's, którym naprawdę zależy na ich społeczeństwie i nie kierują się trendem czy presją otoczenia".

Porusza kwestie rasizmu, podziału na klasy społeczne, kwestie wewnętrznej i ogólnoświatowej polityki – wszystko to spina klamrą i definiuje jako skutek jednej niszczącej siły: „Polityka jest częścią wszystkiego, szczególnie muzyki, czy ludzie o niej rymują czy nie". Sprowadza do wspólnego mianownika rzą, media i kościół. W swoich tekstach stawia je pod murem obok innych osobistych więzień człowieka, jakimi są: nienawiść, obojętność, uzależnienie i strach. Poza rolą rapera pełni też funkcję dziennikarza i telefonisty, który aplikuje prawdę w postaci gorzkiej pigułki – często trudnej do przełknięcia: „My dick is like my music but harder to swallow" – rapuje. Jak widać, nie waha się przed użyciem dosadnych sformułowań i celnie trafia w sedno.

MEDIA: „Wyłącz wiadomości i czytaj, czytaj, czytaj" – to najpewniejszy sposób na pozostanie świadomym w świecie rządzonym przez skorumpowane media. W jednym z utworów padają zarzuty: „Wydają miliony dolarów na kampanie PR", „próbują cię przekonać, że są uczciwe i równe", „są jednymi z największych ignorantów i rasistów". To między innymi media odpowiedzialne są za ogólnie panującą znieczulicę. „Czemu ktoś miałby sobie zawracać głowę głodnymi i bezdomnymi, szczególnie kiedy nie zna wartości ludzkiego życia? Nie ma niczym nieumotywowanej pomocy z wyjątkiem tej sztucznej, która tak naprawdę nie wynika z poświęcenia czegoś czy współczucia. W Biblii bogacz zapytał Jezusa o zbawienie, na co ten kazał mu sprzedać wszystko, co miał i iść za nim. Człowiek odszedł, nie mogąc tak po prostu opuścić swojego dobytku. Ludzie mają trudność z wydawaniem pieniędzy, nawet jeśli mają więcej, niż mogliby kiedykolwiek wydać. To staje się obsesją. Pamiętaj, pieniądze nie są źródłem wszelkiego zła. To MIŁOŚĆ do pieniędzy, do martwego obiektu – właśnie ona psuje i zniewala duszę".

RZĄD: Jego stanowisko w sprawie obecnej polityki Stanów Zjednoczonych wypływa praktycznie z każdego wersu. „Myślę, że każdy, nawet zatwardziały anarchista może poświęcić 15 minut ze swojego harmonogramu na początku listopada i spróbować pozbyć się imperatora Busha" – nawoływał przed wyborami Immortal Technique. Biorąc pod uwagę, że sprawy przybrały inny obrót, kolejna płyta przynajmniej po części, nie powinna treściowo zaskoczyć. W „The Cause Of Death" Amerykę nazwał „krajem sponsorującym bomby zrzucone na własne dzieci". Znalazło się też miejsce na opinie dotyczące wojny w Iraku. „Chciałbym wychować moje dzieci, żeby wyrosły na żołnierzy / Lecz wtedy generał będzie decydował kiedy ich życie się skończy" – gorzkie słowa padają w każdym kolejnym zdaniu. „Zimna wojna się skończyła, ale świat cały czas staje się zimniejszy" – mówi IT. Ziemię obserwowaną z perspektywy rapera „wystrzały pocisków targają jak deszcz meteorytów". „Matki próbują wykarmić dzieci, ale nowobogaccy wyrzucają je z mieszkania – generacja dzieci urodzonych bez opieki zdrowotnej, bezdomnych rodzin wyrzuconych ze społeczeństwa" – to obraz jak widzi na co dzień.

KOŚCIÓŁ: Swoje poszukiwania dotyczące katolicyzmu rozpoczął w wieku kilkunastu lat. Szczególnie zwrócił uwagę na to, „jak został użyty, żeby pokonać i zniszczyć moich ludzi. Nie tylko żeby podporządkować ich psychicznie, ale by zastąpić rdzenną kulturę latynosów i czarnych wierzeniem w białego Boga". Doszedł do wniosku, że dawne i obecne poczynania władz kościoła „nie mają nic wspólnego z Jezusem czy jego przesłaniem i nie mają nic wspólnego z miłością czy Bogiem. Mocno wierzę w Boga, ale nie mam powodu by ufać kościołowi, który nie potrafi nawet zająć stanowiska wobec zachowań własnych księży. Założę się, że gdyby więcej kapłanów i biskupów mogło się ożenić jak rabinowie i imamowie, o wiele mniej młodych chłopców padałoby ofiarą molestowania".

Inwestycje na przyszłość

Ktoś kiedyś napisał: „Do Immortal Technique dobrze się płacze. Za dobrze". Nie sposób nie pochylić czasem głowy nad tekstami, które w istotny sposób potrafią dotknąć słuchacza. Wtedy jednak wiadomo, że intencje nowojorczyka realizują się w pełni. IT chce zmusić do dyskusji, do refleksji. Choć wizja świata w jego utworach maluje się w czarnych barwach, raper próbuje namówić do pozytywnych rozwiązań. Nie zamierza rapować o getcie, lamentując jak mu źle i niedobrze. Wychodzi krok naprzód, poddając analizie otaczający go świat i próbując znaleźć sposób, by go naprawić. „Inwestuj w rzeczy, których ludzie nie mogą odebrać. Niech ktoś z twojej rodziny zdobędzie stypendium. Nikt nie może wrócić i powiedzieć 'jesteś idiotą, oddaj mi swoje wykształcenie'. To coś, co będziesz miał do końca swojego życia. Ja w to zainwestowałem i obecnie dokładnie wybieram, w co inwestuję w przyszłości".

Refleksja nad refleksjami

Przypominają mi się notatki z podstawówki i liceum, kiedy na języku polskim dokonywaliśmy analizy utworów literackich. W dyktowanych przez nauczycieli zdaniach zawsze było miejsce na formułkę: „wiersz skłania do refleksji", co rzadko pokrywało się z rzeczywistością. Dopiero porównując tak zwaną literaturę piękną z 'brzydką' hiphopową liryką IT pojawiają się mimowolne przemyślenia. Zamiast kontemplować obcą nam, przebrzmiałą wieki temu problematykę, należałoby skupić się na „tu i teraz". Tak jak Immortal Technique...

.:Kada:.

dead prez

coś więcej niż hip-hop



Oglądając jakikolwiek program poświęcony muzyce rap ciężko uznać ją za zaangażowaną politycznie. Dominują kawałki albo o ciężkim życiu na ulicy albo o dobrej zabawie. W swoich videoclipach większość wykonawców otacza się luksusowymi rzeczami, myśli o zabawie a politykę i polityków ma głęboko gdzieś. Mówię oczywiście o chwili obecnej, bo w czasach świetności Public Enemy rzecz miała się trochę inaczej. W tej chwili zwykli ludzie widzą nieco inaczej tę muzykę, ma ona wizerunek wybitnie nastawiony na konsumpcję. Nie ma się co oszukiwać, Amerykańscy wykonawcy lubią przepych.

Istnieją jednak zespoły, które krytykują w swoich kawałkach taki styl życia i prezentowania hip-hopu. Na pewno do takich ludzi należą Sticman i M-1 czyli Dead Prez, bardzo jak na tę muzykę osobliwy projekt cieszący się jednak szacunkiem na całej scenie.

Aż trudno uwierzyć, że tych dwóch typów wyglądających na naprawdę „złych, wydziaranych murzynów" poznało się na uniwersytecie i to nawet nie w Nowym Jorku tylko na... Florydzie. Tam właśnie po wielu przygodach trafili dwaj posiadający różnoraką przeszłość przyszli raperzy. Skumali się oczywiście dzięki podobnemu kolorowi skóry i wspólnym pasjom, jakimi były muzyka i nauka. Obaj ponadto wywodzili się z biednych domów, M-1 urodził się w Nowym Jorku na Brooklynie i wiele razy zmieniał miejsca zamieszkania. Miało to wpływ na jego edukację, uczyć mu się zwyczajnie nie chciało, wolał robić to, co jego koledzy z dzielnicy. Wszystko uległo zmianie, gdy zetknął się z tym, co głosił Malcolm X. Jak sam mówi, zmieniło to jego życie. W jego świadomości pojawiły się inne priorytety i zaczął zupełnie inaczej patrzeć na świat. Zmiana podejścia do nauki zaowocowała dostaniem się na uniwersytet. Jednak szkoły nie wspominają oni najlepiej, w kawałku „They school" bezwzględnie krytykują cały amerykański system edukacji. Według nich wszystko było oparte na kulturze białych, w której nie było miejsca dla nich – ciemnoskórych.

Osoba Malcolma X i przykre doświadczenia z lat szkolnych wywarły swoje piętno na ich tekstach. Nawołują biedną czarną ludność do rozwoju i postępu. Nie godzą się z postrzeganiem ludności pochodzenia afrykańskiego jako albo biednych rzezimieszków albo głupawych rozweselaczy tłumów. Głoszą bardzo ostre w swojej formie i treści rewolucyjne teksty. Rap jest dla nich sposobem na przekazanie ich poglądów. Nie wiadomo, czy gdzie indziej zdołaliby takie prawdy głosić – jawnie sprzeciwiają się monopolistycznym zabiegom wielkich koncernów i ekip rządzących państwami. Na własnej skórze doświadczyli błędnych decyzji tych instytucji – o tym właśnie rapują. Taka była cała pierwsza długogrająca płyta Dead Prez „Let's get free". Praktycznie każdy kawałek na płycie był dającą do myślenia krytyką sytemu. To był prawdziwy ewenement jak na muzykę kultury hip-hop. Tematy poruszane na płycie przypominały raczej kawałki punkrockowe.

Do wydania ich pierwszego długogrającego krążka walnie przyczynił się Brand Nubian. Wszystko stało się po tym, jak zobaczył i usłyszał ich w Nowym Jorku, gdzie Sticman i M-1 przenieśli się z Florydy. Pomógł dwójce newcomerów podpisać kontrakt z wytwórnią Loud, z którą związani byli wtedy m.in. Mobb Deep czy Wu Tang Clan. U nich właśnie wydali pierwszy, wspomniany już album „Let's get free". Tematy poruszane na płycie były przeróżne, ale wartości w nich dominujące były wspólne – życie w zgodzie z przyrodą, poczucie własnej godności i wspólna harmonia. Jednak nie mieli oni już litości dla tych, którzy sprzeciwiali się temu. Głównym celem ich krytyki stali się biali ludzie odpowiedzialni za rządy w Ameryce. Jeden kawałek poświęcili temu, że nie czują się Amerykanami ani Afroamerykanami, tylko Afrykanami, a z ich przypadkową ojczyzną wcale nie czują się związani. Nienawiść do systemu była bardzo widoczna. W bardzo prosty, ale zarazem inteligentny sposób dzielili się swoimi przekonaniami, ważne było, że przy całej swojej bardzo „oświatowo-naukowej" misji byli bardzo autentyczni i przekonywujący. Nie pokazywali się na teledyskach z gołymi panienkami, obwieszeni złotem, tylko jako bardzo groźni rewolucjoniści. Niezapomniany jest ich klip do kawałka „Hip hop", będący zarazem krytyką teledysków na tzw. „wypasie z dziwkami", jak i rewolucyjną pieśnią ludzi wychowanych w biedzie. Najważniejsze dla nich jest to, żeby z tej biedy się wydostać – dzięki pracy i doskonaleniu siebie. Oprócz tego, że był on faktycznie bardzo radykalny w przekazie trzeba przyznać, że został bardzo dobrze zrobiony, brzmienie było idealne i było idealnym tłem dla opowiadanych historii. Warstwa muzyczna była typowa dla twardych, nowojorskich produkcji, taki klimat miała cała płyta. Jednak jak już wspomniałem wcześniej, Dead Prez nawijają również o życiu w harmonii z naturą, w tym wypadku przekaz ich jest bardzo pozytywny, bardzo różniący się od „politycznej strony ich twórczości". Z równą pasją jak o rewolucji potrafią rapować o wegetarianizmie i odrzuceniu ciężkich używek. Czym innym jest dla nich marihuana, która jako naturalne zioło jest przez nich jak najbardziej akceptowana. Jeden na kawałek na „Be healthy" jest poświęcony zdrowemu trybowi życia i bezmięsnej diecie, do której również należy palenie ganji. Według nich taki rodzaj odżywiania oczyszcza umysł.

Po wydaniu pierwszej płyty Dead Prez stali się szybko znanym zespołem. Choć promocja ich albumu nie była duża i wszystko odbywało się na undergroundowych zasadach, szybko zyskali swoich fanów dzięki swoim radykalnym i – co ważne – dobrym produkcjom. Zyskali status niezależnego i bardzo zaangażowanego zespołu. Oczywiście wiele też było krytyki zespołu ze względu na bardzo negatywny stosunek do białych, którzy w ich kawałkach byli obwiniani za całe zło świata. Teksty, mimo że były prawdziwe, dla niektórych okazały się zbyt radykalne, a wizja świata Dead Prezów wypaczona i rasistowska.

Pomimo tego dalej mieli szacunek w tzw. kręgach i rzesze swoich wiernych, hardcore'owych odbiorców. Jakież było zdziwienie, gdy pojawiło się nagle drugie oblicze twórczości Dead Prez. Ich następna płyta długogrająca „RBG – revolutionary but gangsta" była zupełnie inna niż jej poprzedniczka. Choć tytuł albumu zapowiadał jeszcze większą i bardziej hardcore'ową dawkę krytyki systemu, zawartość była nieco inna. Po pierwsze, zmienił się klimat muzyczny płyty. Po stuprocentowo ulicznej i hardcore'owej płycie (jaką była „Let's get free") nagle wypuścili oni produkt, w którym aż roi się od gwiazd znanych niemalże z kolorowych pism – Jay Z, Stevie Wonder czy Bone Thugs and Harmony. Zmiany pojawiły się również w muzyce. Po stuprocentowo hiphopowej pierwszej płycie Dead Prez wydali drugą, w której słychać przeróżne gatunki muzyki – rock and roll, blues, soul, co może było niezłe samo w sobie, ale do Dead Prez niezbyt chyba pasowało. Nagle okazało się, że nasi rewolucjoniści ziomują się z głównym przedstawicielem mainstreamowego rapu, wielkoustym Jayem Z. W swoich tekstach nadal byli ostrzy, lecz przez koneksje trochę stracili na wiarygodności, jakby trochę ugrzecznili się – a szkoda, dużo lepsi byli jako hardcore'owi rewolucjoniści.

.:Galileo:.





Hooligan W Duszy Polaka



"Nienawiść do policji, tak zostałem wychowany,
Ten, kto z nimi trzyma, na zawsze jest przegrany,
Nienawiść do policji, tak zostałem wychowany,
HWDP, HWDP"

Hemp Gru, "Nienawiść"

HWDP. Jeden z najbardziej rozpoznawanych przez młodych ludzi skrótów, symbol nienawiści do policji i niezależności od „systemu". Rozpowszechniany w tekstach ulicznego nurtu hip-hopu, na murach, na ciuchach.

W mediach czasem pojawia się bardziej „ortograficzna" wersja skrótu: „CHWDP". Nie jest ona jednak poprawna, biorąc pod uwagę jego źródło. Czy widział ktoś mianowicie jeszcze kilka lat temu „chuja" napisanego na murze właśnie w takiej formie? Nie sądzę. Obok „DUPY", to właśnie „HUJ" był słowem bazgranym wszędzie, gdzie się dało, przez nastoletnich młodzieńców. Taka wersja się przyjęła w ogólnej świadomości i stąd jej obecność w skrócie HWDP.

Skąd wzięło się zawołanie „chuj w dupę policji"? Tego nie wiadomo, ktoś wymyślił i się przyjęło. Gdyby twórca wiedział, jak potoczą się losy wymyślonego przez niego hasła i miał przy tym zmysł marketingowy, dziś mógłby być bogatym człowiekiem, choć nie należy przypuszczać, żeby akurat na tym zależało mu najbardziej. Wiadomo natomiast, kto jest odpowiedzialny za popularyzację tego jakże nośnego dziś hasła. To Wilku, jedna z legend naszej sceny hiphopowej, który to postulat buntu zawarł po raz pierwszy w kawałku „28.09.97" z płyty „Skandal" Molesty. „Wszyscy mówią, że HWDP jest moje, a to nie jest tak, że to jest mój pomysł. Tak naprawdę, ja tylko zebrałem to do kupy, słów nie wymyśliłem. To jest jak odzew – ja rzuciłem, a ludzie odbijają. Zobacz, jak wielu ludzi się z tym identyfikuje. Tak jak podnoszę rękę w górę i mówię „Hemp Gru", tak kto chce, też podnosi i mówi „Hemp Gru". Gdy mówię „HWDP", to kto czuje, powtarza. Jak na koncercie – albo odpowiadasz „elo", albo stoisz przy barze i pijesz piwo, nie musisz tego robić. Nie zmuszam nikogo, żeby nienawidził policji, żeby krzyczał HWDP. Uważam się co najwyżej za twórcę skrótu, a nie całej ideologii. Są ludzie, którzy mieli gorsze doświadczenia ode mnie. Ja tak naprawdę jestem tylko głosem."

A jak było z sytuacją, która sprowokowała całą historię? „Wiadomo, że to nie wyszło z niczego, samo z siebie."- mówi raper. „Ja jestem wychowany w takim, a nie innym środowisku, a tu nigdy policji na podwórku ani w domu się nie lubiło. Na dany czas, kiedy był „dwudziesty ósmy dzień wrześniowy" – wiadomo, tę historię każdy zna – dostaliśmy wpierdol i taki cały obolały pomyślałem, że trzeba z nimi pocisnąć. Wymyśliłem sobie ten skrót akurat, to znaczy nie wymyśliłem – złożyłem go do kupy, bo chyba każdy wiedział, że skrót od „chuj w dupę policji" to HWDP. Nie rymowało się „chuj w dupę policji", nie szukało się rymów do „policji", tylko HWDP i było krócej. No i poszło, że HWDP to moja jazda, a że ludzie czują to samo, co ja... Ja przecież naprawdę nie jestem nikim specjalnym. Dostałem wpierdol od policjanta, pytam, za co mnie bije, a on mówi „za chęć do życia". No to chyba mam prawo czuć to, co czuję. HWDP to moja prywatna jazda i nie zamierzam nikomu mówić „nienawidźcie policji". Ja mówię „nienawiść do policji, tak zostałem wychowany". To nie jest tak, że ja robię jakąś rzecz, ktoś na to patrzy i ma robić tak samo."

Od tego czasu HWDP weszło silnie w skład terminologii młodzieżowej. Trudno na niektórych osiedlach znaleźć mur, na którym ktoś nie wysmarowałby sprayem, kredą, smołą lub czymkolwiek innym tego hasła. W sprzedaży znajdują się opatrzone nim ubrania. Osoby noszące bluzy lub t-shirty z napisem HWDP bywają przy tym narażone na nieprzyjemności ze strony policji (co jest w jakiś sposób zrozumiałe) oraz straży miejskiej (co natomiast zrozumiałe jest zdecydowanie mniej, nie jest to wszak HWDSM:). Zakładając tego typu ciuch można zostać ukaranym mandatem lub nawet gorzej. Wilku: „Za to przecież zastrzelili typa. Strzelił ktoś w plecy komuśtam za to, że miał taką koszulkę, bo chłopaczyna niby miał jakąś przeszłość kryminalną. Do moich kumpli też się przyjebali za koszulki, biją za tatuaże na łydce. Ale wiadomo HWDP, to HWDP, zawsze nas będą za to cisnąć."

Kwestia kluczowa: co tak naprawdę oznacza HWDP? Czy stanowi ono jedynie manifestację odrębności pewnej grupy osób, czy tkwi w tym może głębsza ideologia? Czy chodzi tylko o brak sympatii do facetów w mundurach, czy jest to wyraz rozczarowania całokształtem rzeczywistości i związanej z nim bezsilności? „Za wszystkim chyba stoi coś więcej. Jeśli ktoś rzuca slogany, a nie wie, o co chodzi, to jest to jakaś bzdura. Każdy ma jakąś jazdę w głowie. Lepiej, że mówię HWDP, niż miałbym mówić „bądź pedałem". Jak ktoś mówi „bądź pedałem", to jest dla mnie bardziej chore, niż to, gdy miałbym powiedzieć komuś, żeby lubił kogoś, kto robi krzywdę innym. Wiesz, o co chodzi."

Mówi się, że każdy kij ma dwa końce. Sprawa stosunku do HWDP też jest daleka od jednoznaczności. Państwo, choćby i nieudolnie rządzone, nie może się przecież obyć bez policji, tym bardziej, że społeczeństwo jest i tak zastraszone. Zdecydowana większość ludzi wolałaby przecież znaleźć się raczej w sytuacji sam na sam z patrolem policji niż z grupą łysych osiłków w sportowych uniformach. „Wiadomo, że babcia boi się bandziorów, którzy stoją na klatce i wyrywają wszystkim innym babciom wokoło torebki, nawet gdy wiedzą, kim one są. Gdy ja widzę takich łbów, to ja sam ich leję i nie potrzebuję do tego policjanta, bo policjant tej babci tak naprawdę sam też nie pomoże, bo oni rzadko kiedy pomagają."

Zatem państwo bez policji, bo ona i tak nie jest potrzebna? To nie byłoby hasło popularne choćby w siedzibie PiS-u. Recepta jest trudna i do zrealizowania niezbyt możliwa, przynajmniej póki co. Wilku: „Życie to jest życie i nie mówmy tylko, że jest zajebiście, bo jest też chujowo i trzeba rozwiązywać to, co jest chujowe. Ludzie są różni i trzeba ich uczyć, żeby byli świadomi tego, co robią, żeby nie popełniali złych uczynków. Dać im warunki takie, żeby nie potrzebowali kraść. Uświadamiać im, żeby nie musieli zabijać innych ludzi. Niech kontrolują swoje życie i nie sprawiają kłopotu innym i wtedy żadna policja nie będzie potrzebna. Nikt nikogo nie będzie okradał i tak dalej. Teraz póki co, jest to utopia, przedstawiam taką utopijną jazdę. Oczywiście tak mogłoby być, ale tak nie jest, bo ludzie tego nie chcą. Człowiek, jeśli byłby dobry, jeśli miałby w sobie zasady i przestrzegałby bożych przykazań, to żaden policjant nie byłby mu tak naprawdę potrzebny. Ludzie są jednak z natury źli i pan policjant tak naprawdę też jest złym człowiekiem, bo ma swoje lęki i obawy, które rozładowuje na ludziach, których w danym momencie zatrzymuje."

Warto zastanowić się, czy popularność postawy HWDP nie zaczęła zataczać zbyt szerokich kręgów. Czy dwunastolatek wypisujący to hasło na ścianie swego bloku i święcie wierzący, że każdy policjant to „ścierwo", dobrze rokuje na przyszłość? Czy jest na to rada? „Nie o to chodzi, żeby budować więcej więzień, tylko żeby budować więcej szkół, żeby ludzi dokształcać. Dlaczego na przykład dają kary dla rodziców, których dzieci opuszczają lekcję, chodzą na wagary? Ja bym tu ukarał nauczyciela, na którego lekcje uczeń nie przychodzi, bo się boi i w ogóle nie czuje tej jazdy. To jest gorsze, bo taki nauczyciel jest wyraźnie nieodpowiedni i źle kształtuje jednostkę od małego. I właśnie dlatego to dziecko nosi na przykład koszulkę z napisem HWDP. Czyli ja jestem większym autorytetem niż nauczyciel. To z jednej strony dobrze, z drugiej nie. Ja w sumie nie jestem złym człowiekiem. Staram się walczyć o swą świadomość. Chcę, żeby ta moc sączyła się ze mnie i jeśli będę dobrym przenośnikiem, to niech ludzie czerpią, bo oprócz tego, że mówię HWDP, mówię jeszcze wiele innych rzeczy. I niech to też zauważają – że nie tylko mam mały palec, ale że mam dwie ręce."

Wilku nie ma ochoty nikogo nakłaniać do przyjmowania takiej postawy, jaką prezentuje on sam. Twierdzi, że każdy, kogo spotka ze strony policji coś niemiłego, pojmie, o co chodzi. Wydaje się, że mamy do czynienia z dwoma różnymi środowiskami, którym trudno się nawzajem zrozumieć, a już na pewno w kwestii podejścia do policji. Jest ulica i jest świat, który się tej ulicy boi. Zgadzają się z pewnością w jednej sprawie: „Niech policja łapie tych, którzy na przykład okradają ludzi ze zboża. Wiesz, Orlen, czy kurwa coś w tym stylu." Na ulicy „ten, kto z nimi trzyma, na zawsze jest przegrany": „Ja żyję na ulicy i tutaj tak jest. Policja to kurwy i czynią ludziom źle – rozłączają rodziny, zabierają dzieciom ojców i matki. Policja jest częścią systemu, ale przecież ten policjant też jest chyba „pseudoczłowiekiem" i też ma rodzinę i wie, co to znaczy przytulić dziecko, a co znaczy wykręcić komuś za nic rękę albo w środku nocy wyważyć komuś drzwi i zabrać go na komendę czy do więzienia. A tam też śpi matka, małe dziecko, sąsiedzi wokół i jest hardkor."

Wilku mówi na koniec rozmowy: „Nie nienawidzę ludzi, tylko ich złe uczynki i o to w tym wszystkim chodzi, bo sama nienawiść w sobie jest chora i trzeba ją wyrzucić. Ważniejsza jest miłość i wybaczenie. Bóg wybaczy wszystkim." Nawet policji?

.:Grabiszczy:.

W oczekiwaniu na nowy album Hemp Gru (oficjalnej daty wydawnictwa jeszcze nie ma, wbrew temu, co anonsują niektóre hiphopowe serwisy), możecie ściągnąć sobie z www.hempgru.pl nowy teledysk grupy.

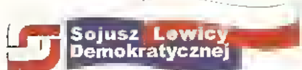
Jako że bieżący numer „Ślizgu" w dużej mierze poświęcony jest określonej tematyce, postanowiłem dotrzeć do kilku znanych osób z naszej politycznej sceny i zapytać je, co sądzą o hip-hopie i jego przejawach, czy w ogóle wiedzą cokolwiek na temat tej kultury, z czym i z kim ją kojarzą. Wyniki były różne. Najbardziej zaskoczył mnie Józef Oleksy, którego asystent zdradził, iż Marszałek puszcza czasem hip-hop w swym służbowym aucie, natomiast Romana Giertycha oficjalnie mianuję najmniej wyluzowaną postacią w polskiej polityce.

Oto efekty naszej sondy:



Józef Oleksy,
SLD, Marszałek Sejmu RP:

Hip-hop? To oczywiście przede wszystkim muzyka. Wiem, że niektórym kojarzy się wyłącznie ze zbiorem cokolwiek niezrozumiałych tekstów, ale przecież rap powstał już bardzo dawno temu na nowojorskich ulicach. Kiedyś dla pierwszych raperów było to czymś wspaniałym – mogli śpiewać, kiedy tylko chcieli, każdy mógł tworzyć swój styl lub też ściągać od innych i mnie się to podoba jako pewien naturalizm. Natomiast co mi się nie podoba, a nawet martwi to fakt, że dziś hip-hop coraz bardziej się komercjalizuje. Ważniejszy staje się wymiar marketingowy niż szczerość. Niegdyś rap powstawał spontanicznie, na ulicy, nie potrzebne było studio i mikrofon. Teraz zamiast przekazu mamy zabawę i zewnętrzne atrybuty bogactwa. W Polsce nie do końca jest tak samo, ale i u nas widzę podobne niebezpieczeństwo dla hip-hopu. Ta kultura to oczywiście nie tylko sama muzyka – to także graffiti czy taniec. Skąd mam taką wiedzę na ten temat? Moje dzieci słuchają muzyki młodzieżowej, rozmawiam z nimi o niej i sam też się nią interesuję.



Piotr Gadzinowski,
poseł SLD,
znany ze swych liberalnych poglądów:

Hip-hop kojarzy mi się z muzyką, z Kalibrem 44, z Kielcami, ze scyzorykami, z „latającymi nożami". Zewnętrzne atrybuty hip-hopu to krótkie włosy, obszerne ubrania, spodnie z krokiem w kolanach, specyficzny chód i ruchy rąk, ręce tancerek w rytm tańca hinduskiego. Bardzo lubię przede wszystkim hiphopowe teksty. Uważam, że jest to autentyczna poezja, taka uliczna. Jeśli chodzi o używki, to jestem człowiekiem liberalnym i uważam, że wszystko, co jest sprzedawane legalnie, powinno być używane. Co do narkotyków zaś, to jak wielokrotnie mówiłem, tak – ale tylko miękkie, sprzedawane pod kontrolą. W ogóle, jeśli chodzi o narkotyki, to jest to problem do dyskusji, a nie do zakazów. Graffiti? Są moim zdaniem dwa jego rodzaje. Od będącego komunikatem, w stylu „Ruscy nie – Rosjanki tak" czy „Księża na księżyc" aż po graffiti plastyczne, które można zobaczyć np. na Służewcu, widziałem je nawet w pewnej galerii na Śląsku. Inni wykonawcy? Jest Peja, w ogóle jest obecnie cały wysyp zespołów, ale problem z hip-hopem polega na tym, że ulega on niestety tym samym wpływom, co cała muzyka – po prostu komercjalizuje się. Zauważam w tej chwili różnych naśladowców, epigonów, którzy kreują bunt – nie są autentyczni, tylko właśnie kreują. Jest tak ze względu na to, że hip-hop stał się biznesem, a zawsze jest tak, że biznes zabija prawdziwą intencję.



Janusz Korwin-Mikke,
prezes Unii Polityki Realnej:

Hip-hop? Mnie kojarzy się ze staniem na głowie i okręcaniem się na około głowy – takie bardzo ciekawe ćwiczenie gimnastyczne. Ja takiej muzyki nie słucham, ale każdy słucha tego, co lubi, de gustibus non disputandum est. Hiphopowca kojarzę tylko ze spodniami opuszczonymi do kolan. Graffiti z hip-hopem nie kojarzę, gdyż bardzo dobrzy graficiarze byli już, gdy hip-hopu jeszcze nie było na świecie. Nie widzę zatem związku między jednym a drugim, ale bardzo lubię graficiarzy pod warunkiem, że malują np. na starych budynkach PKP, a nie na nowych budowlach. Mój stosunek do hip-hopu jest zupełnie ambiwalentny. Jak mówiłem, każdy robi to, co lubi. Jak ktoś lubi tańczyć na głowie, to jego sprawa. Są różni ludzie – jedni lubią skateboarding, inni lubią triathlon, ktoś trzeci lubi rozwiązywać równania różniczkowe, a czwarty lubi bobslejem jeździć...



Renata Beger,
posłanka Samoobrony:

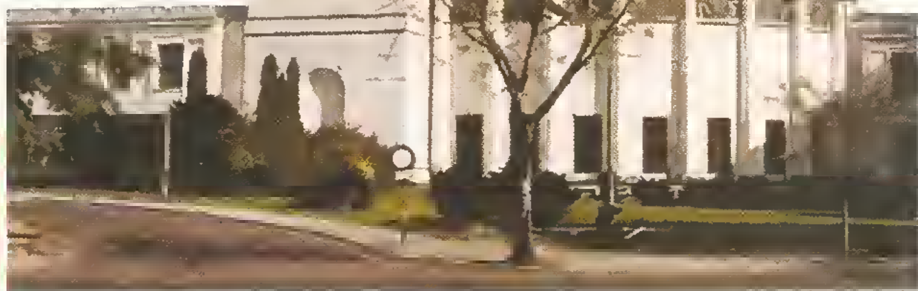
Hip-hop kojarzy mi się z młodzieżą, choć w muzyce młodzieżowej nie za bardzo się orientuję. Nie wiem, czy nie należało by sobie też tego skojarzyć z chłopcami, którzy noszą szerokie spodnie. Trafiłam? To jeszcze nie jestem aż taka stara w takim razie. Co jeszcze? To swoboda, zabawa, to luźne zachowania. Na pewno nie usłyszy pan ode mnie, że zachowania nietaktowne, ponieważ nawet, jeżeli takowe są, to myślę, że jest to wina również starszych osób, starszego pokolenia, które to nie potrafi odpowiednio tej młodzieży zainteresować pożytecznymi rzeczami, książkami, aby miała ona okazję wykazać się. Mój stosunek do hip-hopu jest obojętny, ponieważ nie zagłębiałam się zbytnio w ten rodzaj kultury. Myślę jednak, że jeżeli akceptuje to młodzież i akceptacja takiego, a nie innego stylu nie przynosi krzywdy drugiemu człowiekowi, to wszystko jest w porządku.



Roman Giertych,
poseł Ligi Polskich Rodzin:

Dziękuję, ale na tematy niepolityczne nie lubię rozmawiać.

.:przygotował (GRB):.



politycy o hip-hopie




hans 52DĘBIEC

więcej w sieci na stronie:
www.slizg.com.pl



W kawałku „Siła" rymujesz „Tu rządzą świnie a słaby ginie w tej szarej machinie", w „Kęsie" przywołujesz słowa „Nie kradnij! Rząd nie lubi konkurencji". Nie uważasz, że utwierdzasz młodych w bierności, która w konsekwencji pcha kraj w jeszcze gorsze wybory?
Zacznijmy od tego, czy my mamy wpływ na losy państwa? Czy politycy są otwarci na potrzeby ludności? Ja mam wrażenie, że jest zupełnie odwrotnie. Że w sejmie od początku lat 90. obserwujemy te same postacie, które od czasu do czasu zmienią barwy, tych samych konformistów i oportunistów, którzy nie zrobią nic ponad to, żeby stwarzać pozory jakiejkolwiek działalności. Rząd to zamknięty krąg układów i zależności. Wybory do parlamentu europejskiego tego dowiodły. Nowe partie takie jak Zieloni czy APP Racja nie miały szans na pojawienie się na listach wyborczych we wszystkich okręgach, bo rządzący wybudowali im mur. Nowe partie musiały zebrać 10 tys. podpisów na okręg, partie przy korycie nie musiały NIC. We własnym okręgu nie miałem na kogo zagłosować, nawet wybór mniejszego zła był niemożliwy. Chciałem napisać na stronie i zachęcić ludzi do bojkotu wyborów, aby jeszcze bardziej ośmieszyć rząd w oczach świata i jeszcze dobitniej dać im do zrozumienia, że nie „coś", ale „wszystko" jest nie tak. Bo to my z naszych podatków płacimy im pensję i to oni są „zatrudnieni" przez nas, aby reprezentować nasze interesy, ale chyba nikt już o tym nie pamięta.

Jakiś czas temu dwójka emitowała program, w którym tradycyjnie niechętni politykom mc's, mówili akurat o tych, do których są przekonani. Eldoka komplementował Kwaśniewskiego, Sokół Balcerowicza, Wujek Samo Zło Zytę Gilowską, a Vienio Korwina-Mikke. Są tacy politycy, którym byś zaufał?
Kwaśniewski to Piętaszek na usługach Busha – Robinsona. Kiedy słyszę Busha: „Aleksander Kuaznesky and Poland is our best partners", mam ochotę rzucić doniczką w telewizor, zapewne tak samo jak wszyscy ci, którzy zapłacili, a nie dostali wizy lub zostali cofnięci z lotniska. Nasz polski Piętaszek dostaje od Wielkiego Brata pięć 30-letnich samolotów transportowych... Do wyremontowania. Turcja tylko za udostępnienie na czas wojny przestrzeni powietrznej wynegocjowała od USA odszkodowanie 5 miliardów dolarów. Piętaszek walczy za darmo w nie swojej wojnie i jeszcze czasem w dupę go kopną, żeby pamiętał, gdzie jego miejsce. Oprócz faktu, że jedynym sąsiadem, który w całej historii nic nigdy nam nie zrobił jest Morze Bałtyckie, robimy sobie wrogów w świecie islamskim w imię walki o ropę i większy obrót koncernów zbrojeniowych USA. Narażamy na szwank dobrą współpracę z Unią Europejską – czyli sramy we własne gniazdo. Tak... Faktycznie jesteśmy najlepszym sojusznikiem USA. Zyta Gilowska to polityk, który za autorytet polityczny stawia sobie Matkę Teresę z Kalkuty i Papieża, a od przywódców religijno-politycznych do Iranu już niedaleko. Na punkcie religijnym Polska staje się coraz bardziej zabobonna i fanatyczna, coraz bardziej zaciera się granica między polityką a religią. A Korwin-Mikke, bardziej kojarzy mi się z publicystą, pisze ciekawe rzeczy i ma bardzo radykalne poglądy. Tak, ufam politykom, ale tym, którzy jeszcze nie rządzili.

Tyle się u nas dzieje: w komisjach, resortach, ministerstwach, w kuluarach. Mamy barwne życie parlamentarne, a światek hiphopowy reaguje na to wszystko z opóźnieniem o ile w ogóle. Wymieniają tylko te same slogany, względnie biorą sobie nazwiska do porównań, brakuje wnikliwego, krytycznego spojrzenia. Jak myślisz, dlaczego?
Kiedy włączam TV to mam wrażenie, że tematyka to już tylko Martini, bikini, kokaina i chillout. Są wyjątki, ale jak to się mówi – potwierdzają regułę. Dzieje się szybko i dużo, płytę robi się długo i powoli, być może stąd opóźnienia. „Powiem" poszło na składankę, bo nie chciałem, żeby straciło na aktualności czekając, aż skończę płytę. Można odnieść wrażenie, że hip-hop opanowuje chyba koniunkturalizm, staje się on rozrywkową papką, bo nie rozrywkowych kawałków nikt nie puszcza. Miał być głosem pośród krakania wron, a okazuje się, że zaczyna „krakać tak jak one". Jest z pewnością wiele wartościowych płyt, które niestety nie zagoszczą w mediach. Poza tym, być może, wynika to z tego, że dorosłem przez ostatni czas, ale cała ta kultura wydaje mi się coraz bardziej płytka, pusta, bezideowa i coraz mniej wartościowa, a hiphopowcy to najczęściej duzi chłopcy, którzy chcą żyć jak raper, zapominając o tym, żeby żyć jak mężczyzna.

„Edukujcie dzieciaki, nie wsadzajcie do paki". Po pierwsze, coraz więcej nie chce się uczyć, wręcz nie pozwala się nauczyć czegokolwiek. Po drugie, za co? Tylko bogate państwo może pozwolić sobie na opiekuńczość.
Chwila... Za nasze pieniądze, do dyspozycji administracji jest 50 tys. służbowych samochodów, podczas gdy w Wielkiej Brytanii prawo do takiego luksusu ma kilka najważniejszych osób, a posłowie przyjeżdżają na obrady za własne pieniądze nawet autobusem! Przecież na to jest tak wysoka dieta poselska, żeby było go stać na własny samochód! W Polsce niektórzy posłowie w ciągu roku „służbowo" pokonują drogę z Ziemi na Księżyc i z powrotem, rekordziści prawie 700 km dziennie, oczywiście za nasze podatki, bo państwo w całości pokrywa koszty. Z wyliczeń wydatków „reprezentacyjnych" jakie ponoszą niektóre kancelarie, wynika, że zjada się tam 100 pączków dziennie, wypijając w ciągu roku prawie 400 kg kawy i wygadując rocznie z jednego telefonu komórkowego 20 tys. złotych. Do tego żadna organizacja kościelna nie ma obowiązku rozliczania się z jakichkolwiek pieniędzy i nie płaci podatków. Nikt nie wie, ile pieniędzy z budżetu przeznaczonych na taki np. Caritas trafia do biednych, a ile ląduje w pojemnych kieszeniach sutanny. Budowy kościołów finansowane są w dużej części z budżetów lokalnych i miejskich – czyli nadal z naszych podatków. Stać nas na płacenie ZUS-u księżom, stać na pensje biskupie, stać nas na pensje dla katechetów i księży uczących religii, w końcu stać nas na pielgrzymki papieskie, których koszta liczone są w milionach złotych. Dlaczego nie płaci za to bogaty Watykan, niech utrzymuje sam swoich urzędników. Stać nas na wojnę z Irakiem, która w tej chwili pochłonęła już grubo ponad 500 mln zł. Stać nasze państwo na wiele rzeczy, a w szczególności na to, aby deptać tych najsłabszych. Tak jak powiedział Jacek Kuroń „trzeba korzystać z dobrodziejstw gospodarki kapitalistycznej, ale w taki sposób, aby nie zapominać o tych najsłabszych, którym należy się pomoc". Pieniądze są, ale trzeba zmusić darmozjadów do tego, by przeznaczane były na właściwe cele, bo to oni są dla nas i trzeba im o tym przypomnieć.

Polska jest krajem trudnym do życia, ale póki co do twojej czarnej wizji „państwa policyjnego" trochę jej chyba brakuje?
Te określenie jest prowokacją artystyczną. Trochę brakuje.. ale czy aż tak dużo? Trzeba uświadomić sobie parę spraw. Policja, byle krawężnik, może podeptać twoje prawa obywatelskie, kiedy tylko będzie miał na to ochotę – co da ci walka o sprawiedliwość, kiedy zostaniesz pobity podczas przesłuchania? Co dała walka o sprawiedliwość rodzicom zabitego w 1998 roku Przemka ze Słupska. Co da walka o sprawiedliwość rodzicom z Łodzi i Poznania? Policja wyposażona jest w ogromne uprawnienia i za normę zostało przyjęte, że te uprawnienia w dowolny sposób przekracza.

Muzyka rockowa potrafiła być w Polsce bardzo krytyczna i uszczypliwa wobec kleru, tymczasem raperów mamy bardzo konserwatywno-narodowych. Jak myślisz, dlaczego?
Nie mam pojęcia. Być może z tego samego powodu, co reszta społeczeństwa usilnie łącząca wiarę w Boga z ogromnymi gmachami z cegły i marmuru, oraz szamanem w pozłacanej sukience. Nie wiem jak można ufać organizacji, która podstawę wiary, jaką jest Pismo Święte, umieszczała na indeksie ksiąg zakazanych. Później dowolnie zmieniała jej treść, wyrzucając niewygodne fragmenty lub je zmieniając, jak np. wyrzucenie drugiego przykazania z dekalogu, które zabraniało tworzenia i modlenia się do rzeźb. W efekcie z dziesiątego przykazania zrobiono dwa: „nie pożądaj żony bliźniego", „ani żadnej rzeczy która jego jest". Czasem mam wrażenie, jakby nikt o tym nie wiedział, bo z założenia katolik ma nie znać Pisma, ma grzecznie słuchać papieża i nie myśleć za dużo na własną rękę. Przeprowadzano przecież nabożeństwa po łacinie, aby uniemożliwić zrozumienie. Wmawiano ludziom, że tylko duchowni będą zbawieni, aby kupczyć odpustami i sakramentami, które to sprzedaje się nadal, ukrywając cennik pod przykrywką „co łaska". Jezusową miłość bliźniego realizowano paląc ludzi, książki i wszelką wolną myśl na stosach Inkwizycji, stosując słowa Papieża Innocentego którego [sic] „Mordujcie wszystkich, Bóg wśród nich rozpozna swoich". Gdyby nie znajomości w duchowieństwie spalono by też Mikołaja Kopernika, bo przeczył „nieomylnym" stwierdzeniom, że Ziemia jest w centrum. To wszystko fakty historyczne.

Maleńczuk i Staszewski wyrośli na czołowych krytyków trzeciej RP. Maleńczuka pozdrawiasz, z Kazika wysamplowałeś fragment: „Jak bardzo skurwisz się, by sprzedać swą muzykę". To ciekawe pytanie, zwłaszcza po tym, kiedy Pudels pojawił się w „Idolu", a twój numer znajduje się na płycie dołączanej do „Naj".
Media... Trzeba mieć do nich odpowiednie podejście. Ja już dawno przestałem dzielić media na hiphopowe, nie hiphopowe, dobre i złe itd. Media to media, wszystkie nastawione są na zwiększenie oglądalności lub „czytalności". To wszak Ślizg, w jednym z numerów wstawił na okładkę TDF-a z Kukulską, zwiększając nakład tego numeru i oplakatowując duże miasta, aby reklamować ten numer. Po co? Aby trafić do hiphopowego odbiorcy? Czy aby poszerzyć grono odbiorców? Na szczycie każdego medium jest szef mający w dupie artystów, bo kiedy radio ma słabą słuchalność, spadają wpływy z reklam, więc takie radio będzie puszczać tylko to, co zwiększy tę słuchalność. Gazeta napisze o tym, o czym chcą przeczytać ludzie itd. itd.
Maleńczuk był jurorem w Idolu, czemu? Może mu się nudziło. Ja byłem gościem poplisty, rozmawiałem z gospodarzem Idola Maćkiem Rockiem, czemu? Bo zostałem zaproszony. Nie widzę tu nic dziwnego. Występ w Idolu zmienił lub zmieni muzykę Maleńczuka? Kawałek w „Naj" zmienił lub zmieni moją muzykę? Nigdy nie nagrałem i nie nagram kawałka za pieniądze, kawałka sponsorowanego, czy też kawałka, który jest 4-minutową telewizyjną reklamą odzieży. Kiedy przy kolejnej płycie, minie rok, albo więcej od jej premiery i zgłosi się gazeta X płacąca mi za jednorazowe umieszczenie kawałka z MOJEJ płyty, na płycie dołączanej do gazety, prawdopodobnie też się zgodzę. Bo wydając płytę, sprzedaje się swoją muzykę i najważniejsze, aby nie zachłysnąć się tym wszystkim i nie zapomnieć o tym, żeby to nadal była TWOJA muzyka. Wtedy wszystko jest w porządku i nadal z całą pewnością i przekonaniem możesz pytać, cytując słowa Kazika „Jak bardzo skurwisz się, by sprzedać swą muzykę?", na dokładkę dedykując jeszcze Track 7 z płyty Ice-T „Home Invasion".

.:pytał Flint (CS):.

Pełna, dwukrotnie dłuższa wersja: www.slizg.com.pl

RAP polityczny

Rzeczywistość w „The Message" Grandmaster Flasha maluje się przygnębiająco. Wszędzie szkło, ludzie szczający na schodach, którym nie zależy już na czymkolwiek. Szczury w salonie, karaluchy poza nim. I brak możliwości wyrwania się z piekła. Trudno pojechać do pracy, bo na stacjach kolejowych wciąż zdarzają się strajki. Kiedy nie ma cię w domu, ludzie terroryzują twoją żonę domagając się hajsu za świadczenia. Wracasz, i w telewizorze nie możesz zobaczyć nawet walki Sugar Raya, jedyne na co możesz popatrzeć, to stara wariatka za oknem, chciwie wyżerająca nadpsute resztki jedzenia ze śmietnika. Twój syn ma nauczyciela zakładającego, że nic z niego nie będzie. Boi się przejść obok parku po zmroku. Za to imponują mu ci wszyscy alfonsi i dilerzy. Rzeczywistość getta. „Twoje oczy zaśpiewają pieśń głębokiej nienawiści". Ale siedem lat później Public Enemy nie uderzało już w ton bezsilnej skargi, wręcz nagrywało pobudzające do działania hymny w rodzaju „Fight the power", który został wykorzystany w najlepszym i zdaniem wielu najbardziej istotnym filmie Spike'a Lee – „Do the right thing". „Nasza wolność wypowiedzi to wolność... albo śmierć" rymuje Chuck D. Rap muzyka ma począdkować łańcuch zmian, jest pierwszym objawem nadchodzącej dumy, owym „czarnym CNN"... Grandmaster mówiący o kondycji czarnej Ameryki został uznany za pierwszy polityczny głos w hip-hopie, Chuck D i jego „wróg publiczny" pozostał głosem najważniejszym.

Czarna stal w godzinie chaosu

Public Enemy – czarni jak cholera, twardzi jak cholera, chaotyczni za sprawą producenctów z Bomb Squad dbających o regularne konwertowanie harmonii w zgiełk i melodii w brud, łączących głęboki funk ze zniekształconymi, chorymi próbkami. Piekielnie charyzmatyczni, a zarazem groteskowo rozpięci między przywódczym tonem Chucka, błazeństwem Flavor Flava i nieprzewidywalną skrajnością Professora Griffina. Tytuły takie jak „Rebelia bez przerw", „Głośniejsi od bomb", „911 to żart", „Płoń Hollywoodzie, płoń" najlepiej zdradzają charakter utworów, mówiących o braku zaufania do mediów tworzących fałszywe zamieszanie, piorącej mózgi masówki telewizyjnej kultywującej rasistowskie stereotypy i wyzwalającej strach przed kolorowymi, o służbach wywiadowczych monitorujących czarnych obywateli, o Afroamerykanach sprzedających sobie nawzajem narkotyki i tropiących ich „dzikich policyjnych bestiach", o poborze do wojska jako formie nowoczesnego niewolnictwa. „It Takes a Nation of Millions to Hold Us back" (1988) i „Fear of Black Planet" (1990) były jak potężne sierpowe wymierzone w zakłamanie i nieświadomość. Kolejne ciosy miały już jednak coraz mniejszy oddźwięk. Chuck D oskarżał wytwórnie płytowe o to, że zaczęły promować gangsterkę, by przypadkiem biali i czarni nie zdolali odkryć faktów, ale to nie takie proste. We wkładce do największych hitów N.W.A., czytamy, że panowie „wyzwolili tę formę sztuki pokazując, że czarny artysta może przedstawiać każdy punkt widzenia, niezależnie od tego, czy ma przeciwko sobie władzę, i wciąż docierać do białych i czarnych społeczności na całym świecie". Jeden z (rzeczywiście dość prymitywnych i brutalnych) „czarnuchów z charakterem" Dr. Dre, w kawałku „Day the Niggas Took Over" zasugerował, że zamieszki w Los Angeles to modelowy przykład prezentowania siły czarnych i zaapelował o jednoczenie się gangów w słusznej sprawie. Na stronach „The Source" M1 z rewolucyjnych Dead Prezów (ikona, o której specjalnie nie piszę, odsyłając do osobnego artykułu) nie mógł nachwalić się Ice Cube'a. Mówił, że bez jego „Turn Off The Radio" zespół nigdy nie nagrałby „Radio Freq", że Cube wynalazł termin „uliczna mądrość", ukrywając przekaz pod tym, co szorstkie i czyniąc go przyswajalnym i atrakcyjnym dla mas. Szybko pojawili się nowi bohaterowie łączący turię rap-gangsterów ze świadomością „wroga publicznego". Do najwybitniejszych należy Paris, twórca jak sam mówi „promurzyńskiego radykalnego rapu", osoba z nieprawdopodobnym fonograficznym pechem czyniącym z niej notorycznego bohatera drugiego planu. MTV zablokowało klip promujący pierwszy album „The Devil Made Do It" (1990), rzecz pełną ciekawie opowiedzianych historii, sampli z przemówień Malcolma X, odwołań do Czarnych Panter. Znalazł się na niej nawet utwór pod tytułem „Ucieczka z Babilonu" zakończony specyficznym dekalogiem, do którego realizacji dążyć mają czarni, zakładającym m.in. budowę skromnych schronisk dla biednych, pełne zatrudnienie, zwolnienie z więzień niesłusznie skazanych Afroamerykanów, oraz miejsca dla takowych w sędziowskiej profesji. Kontrowersje wokół „Cop Killa" Ice-T przyczyniły się do tego, że do mediów nie przedostał się również drugi LP „Sleepin With Enemy" (1992). To nie był moment na utwory takie jak „Kawa, ciastka i śmierć", w którym P opowiada o mordowaniu białego gliniarza, w zemście za gwałty na czarnych dziewczynach. Nie pomógł z pewnością poświęcony Bushowi seniorowi track „Bush Killa". „Moja tolerancja maleje / może dlatego, że Irak nigdy nie nazwał mnie czarnuchem" rymuje mc, pytając w refrenie „kto powstrzyma czarną partyzantkę" i okrzykując się zabójcą ówczesnego prezydenta USA. Wojna nie była jedynym powodem frustracji. „Wiesz, nigdy nie byłem niewolnikiem butelki / a wszystko, co widzę na ekranie, to model czarnego śmiecia / pasywnego, zniewieściałego transwestyty / który narzuca styl życia / I czasami już tracę nadzieję / bo tu wszystkie dzieciaki chcą pracować dla białych, gdy dorosną". Częściowym triumfem okazało wydane własnym sumptem „Sonic Jihad" z 2003, ukochane dzieło artysty. Z wizytą pojawia się Public Enemy i Dead Prez, a dostaje się wielu, w tym Bushowi juniorowi, który został wyśmiany perfidnym kolażem fragmentów własnych wypowiedzi. Paris tłumaczy, że to taka sama manipulacja jak ta, której dokonały media, pokazując rzekomo tańczących z radości po ataku na WTC muzułmanów. „Tak, Ameryka dostała to, na co zasługuje" – kwituje reelekcję prezydenta. Jego zdaniem dała zresztą czarnym niewiele ponad niewolnictwo i AIDS. Oraz pseudo bohaterów a la Giuliani, który dla P-Doga (sam uwielbia się tak nazywać) wciąż ma na rękach krew Amadou Diallo, czarnego z zachodniej Afryki, który zainkasował 41 kul, za... chęć wylegitymowania się i sięgnięcie po portfel do tylnej kieszeni spodni. Kool G Rap, Pos (De La Soul), Common, Pharoahe Monch, Sporty Thievz, Shabaam Sahdeeq, Rah Digga, Talib Kweli i Mos Def złożyli Diallo hołd utworem „One for love" na epce „Hiphop For Respect" wydanej przez Rawkus. Ale nie tylko prawa strona sceny politycznej ma utarczki z raperami, głośna była sprawa Sister Souljah, i jej atakowanego przez Billa Clintona albumu „360 Degrees Of Power". Rzeczywiście szczuła czarnych na białych, ale zdaniem recenzentów w tak marny sposób, że prezydent zrobił reklamę nabuzowanej panience bez przyszłości. Paris o swoją przyszłość jest tak czy owak spokojny, ma wyższe wykształcenie ekonomiczne i czerpie z tego niezłe profity. „Biorę ten gówniany kapitalistyczny system, biorę te gówniane firmy i bawię się nimi, aż jestem w stanie wyciągnąć z nich hajs". W wolnej chwili produkuje nowy album PE. A trzeba przyznać, że ma do beatów niezłą rękę: zawsze stanowią bogaty kolaż podszyty solidną dawką niepokoju, ostre werble i miażdżący bas harmonijnie łączy się z syntezatorami zaaranżowanymi po kalifornijsku, dynamicznymi samplami, strzępkami przemówień.







Piękna Walka

Kiedy jedni wrzeszczą „Chodźmy walczyć", drudzy szepczą „najpierw przypomnijmy sobie kim jesteśmy, dorośnijmy mentalnie". Stetsasonic zaczęło. „Południowa Afryka nie jest wolna, my również nie" uświadamia zespół w kawałku „A. F. R. I. C. A" (1986). Angola, Zimbabwe, Mozambik, Zambia, Tanzania i Botswana – wszędzie tam przelewane są litry krwi i czas zacząć się tym przejmować. W tym samym roku Run-D. M. C. uderzyło swoim błogosławiącym Muhammada Ali i Malcolma X „Proud to be black", a Krs One, członek Boogie Down Productions, kontynuował tendencję. Po śmierci Scotta La Rocka uległ metamorfozie z prekursora gangsterki w wielkiego nauczyciela, inspiratora silnie oddziaływującego ruchu „Zatrzymać przemoc". Sygnowane logo BDP „By all means necessary" (1988) i „Ghetto music: Blueprint of hip-hop" (1989) mówią o zbrodniach czarnych na czarnych, brutalności organów ścigania, ale przede wszystkim każą wziąć głęboki oddech zciśnieniowanym, kładąc nacisk na duchowość i edukację. Co ciekawe, Chris Parker wziął się też za pisanie historii nieco bardziej czarnym atramentem, kwestionując np. białą rasę wielu postaci biblijnych w sposób wyraźnie wskazujący na znawstwo Pisma Świętego i chęć dyskusji, nie zaś na tanią prowokację.

Rok 1990 objawił różne drogi w batalii o świadomość. Poor Righteous Teachers to spokojny, choć miejscami ponury w wydźwięku głos socjologiczny zadziwiająco mocno zabarwiony religijnie, zdradzający siłę, w którą rosną czarni muzułmanie. X-Clan pozwala sobie wyobrazić, co by było, gdyby Mickiewicz był Murzynem i żył współcześnie: mamy postać „afronauty" – ciemnoskórego pielgrzyma-tułacza, mamy umiłowanie folkloru Czarnego Lądu, jest

afromesjanizm, a nawet swoista (bo sięgająca Egiptu) wersja sarmatyzmu i trochę mistyki. 2 lata później nieprawdopodobnie kolorowo, proetnicznie ubrany kolektyw Arrested Developement wypuścił cudowną płytę, przeplatając plemienne bębny z ciepłym brzmieniem żywych instrumentów i nasycając ją słowami mądrości. Raper Speech oddał hołd żywicielce ziemi, ukorzył się przed siłami natury, a zarazem podał rękę bezdomnym („Mr. Wendal"), z gracją przebrnął przez mroczną historię do dziś nieżyczliwego kolorowym południa, wspominając, że wspina się na drzewa, na których wieszano jego przodków („Tennessee"), a nawet formułował zgrabne metafory, jak choćby ta, w której uświadamiał, że kiedy da się człowiekowi, rybę będzie jadł cały dzień, a kiedy nauczy się go łowić – będzie jadł zawsze. „3 years, 5 months and 2 days in the life of..." (1992) było lekcją pełną życzliwości, miłości do człowieka, do życia. Hip-hop dostał swojego Św. Franciszka. Od dłuższego czasu miał już jednak legion apostołów – Native Tongues, supercrew zrzeszające Queen Latifah, Monie Love, Jungle Brothers, De La Soul i A Tribe Called Quest. „Korzenie Native Tongues Posse to przede wszystkim walka rasowa i tzw. filozofia afrocentryczna. Przekaz głównie dla czarnych, specyficzny ubiór. To drugie rzucające się w oczy jak tyłek Jennifer Lopez. Wiecie – dready, koraliki, rzemyki, emblematy z napisem „I Love Africa", stroje i image ala Mswati III król Suazi. (...) Zdaje się jednak, że największą zaletą NTP była po prostu zwyczajność. Bardzo ludzki sposób myślenia, nie prosty, ale normalny, taki jak mój, twój i przeciętnego szaraka z ulicy (..) Przyciąga muzyka. Niezmiennie radosna, wpadająca w ucho, chciałoby się powiedzieć „lekka, łatwa i przyjemna", doprawdy nie mając nic złego na myśli. Mocno funkowa na początku, równie silnie jazzowa później" pisał w swoim eseju Destructo, znawca tematu. Wspaniałe są dokonania tzw. dzieci NTP – Bush Babees, Slum Village, Commona, i duetu Blackstar (nazwa historyczna, tak nazywała się pierwsza zarządzana przez czarnych stocznia) skupiającego Mos Defa i Taliba Kweli, najbardziej oczyszczającej rzeczy jaka przytrafiła się muzyce lat 90. „Rzeczy, które mówimy z Kwelim w różnych, ukazujących się nagraniach, wywodzą się z naszej miłości dla tradycji i ubogich ludzi w tym kraju oraz żywotności ducha nieustannie pchającej nas naprzód" mówi o genezie zespołu Mos Def. Dwóch subtelnie radykalnych ludzi stanowiących wypadkową poetów i wioskowych wieszczy, przekornie płynących swoim flow poza beatem, zasługujących na wziętą z ostatniej płyty Taliba etykietkę „pięknie walczących". „Czarny z wiedzą jest niebezpieczniejszy od czarnego ze spluwą / sprawiają, że broń jest łatwo dostępna, by utrzymać nas głupimi" mówi Kweli, ale chwilę potem zastanawia się, co powiedzieć synowi, który ma wyrosnąć na praworządnego człowieka i wciąż jeszcze wierzy, że gliniarze są w porządku. A co będzie, kiedy dowie się, że psy wspierają dilerów narkotyków, kiedy tym chce się tylko donosić na konkurencję. Jak wytłumaczy mu się, że nie złapano morderców Biggiego i Paca? Taki jest właśnie ten mc, gniewny, ale wciąż umiejący się uśmiechać, przyjmować miłość, dawać miłość. Otwarty, stawiający mądre pytania, zamiast dawać głupie odpowiedzi. „Starasz się zmieniać świat? / wybacz mi, kiedy będę się śmiał" rymuje. „Starasz się głosować i brać udział we władzy / a ci pierdoleni demokraci zachowują się jak republikanie (...) Nazywają mnie politycznym raperem / nawet po tym, kiedy powiedziałem, że nie chce mi się z tym pieprzyć". Owszem, Kweli mówił o tym w „The Proud" płytę wcześniej. Być może skończyło się romantyczne poczucie misji, które spowodowało, że kupili z Mos Defem bankrutującą księgarnię, występowali w szkołach, dotarli ze swoim słowem nawet na Kubę. Rewolucja jest już dla niego jedynie czymś osobistym, zachodzącym w człowieku. Co innego z The Coup...





Marksizm i hipokryzja

„Walka z systemem nigdy nie była tak tajna" głosi slogan reklamowy The Coup - niegdyś tercetu, dziś już tylko duetu składającego się z Bootsa Rileya i jednej z lepiej rozpoznawanych za deckami kobiet – Pam The Funkstress. I jest to święta racja! Owszem, słuszne są opinie krytyków mówiących o nasyconym humorem portrecie afroamerykańskiej klasy robotniczej ze szczyptą socjalizmu (Common nagrał dla odmiany utwór „Communism", ale ów ustrój służył mu raczej za metaforę). Najważniejsze jednak, że debiutanckie „Kill my landlord" (1993), a zwłaszcza „Genocide & Juice" (1994) to radosna, melodyjna, przebojowa muzyka oparta na pętlach i samplach, a następnie wypełniona przez świetne flow ludzi mających dobre, przykuwające uwagę głosy. Ale to trochę ponad wakacyjny regulator depresji. A nawet dużo ponad. Okładka „Party music", ostatniego albumu grupy, przedstawiała ją na tle wybuchających wież World Trade Center. Nie było mowy o talibach, detonator w ręku trzymał sam Boots. Oczywiście zrobiono ją przed 11 września i musiano zmienić. To nie koniec zmian – zespół gra teraz funk-rock z żywym bandem. Pozostały za to lewicowe sympatie, wielkie afro na czaszce lidera i niesamowity talent do narracji (nieraz bardzo abstrakcyjnej) porównywany jedynie ze Slick Rickiem i Ice Cube'em. Redaktor Washington Post, które uznało „Party music" za płytę roku, nie mógł się nadziwić, że uśmiechnięty, przyjacielski, beznadziejnie zakochany w swojej córeczce typ, po trosze mól książkowy, tłucze się ze skinheadami i był siedem razy aresztowany za wszczynanie zamieszek. Na pewno wpłynął też na to ojciec marksista, któremu Malcolm X w osobistej rozmowie wytłumaczył, iż rewolucyjne podejście to jedyny sposób pozwalający wpływać na społeczeństwo i nie odejść od zmysłów. Samo Oakland, dom Czarnych Panter, również sprzyjało przyjmowaniu skrajnych politycznych postaw. Ale Bootsa nie interesował zwykły chaos, raczej konkretne plany zakładające darmowy kwaterunek i opiekę medyczną, demokratyczną kontrolę pracowniczą nad zyskami przysparzanymi przez ich firmę oraz nacjonalizację wszystkiego w zasięgu wzroku. W USA to średnio możliwe, ale nie opuści kraju, ponieważ amerykańskie imperialistyczne macki i tak sięgnęły już wszędzie. On jest zaś częścią systemu, żeby niszczyć go od środka.

Zwolennicy tonu mniej naiwnego, nieco cynicznego a przede wszystkim piekielnie inteligentnego sięgnąć powinni po Disposable Heroes of Hiphoprisy, duo powstałe 14 lat temu w San Francisco. Dwóch członków industrial jazzowego The Beatnigs – Michael Franti i Rono Tse postanowili zadziałać na nieco innym polu, robiąc prosty, a zarazem głęboki hip-hop przy wsparciu żywych instrumentów. Z czasem Franti założył Spearhead (mięciutki, niebanalny wokalnie, choć łatwo przyswajalny jazz z elementami hh, idealny do wieczornego odprężenia po pracowitym dniu), a Tse posłużył wsparciem trzonowi przyszłego Living Legends. Wcześniej (1992) było jednak „Hypocrisy is The Greatest Luxury".

Autor zastanawia się na nim, kiedy gubernator Kalifornii Wilson przyśle tajną policję, by odesłać jego długowłosą siostrzenicę do obozu pod którymś z absurdalnych zarzutów typu „hodowla trawy", na co jeszcze nałoży podatki i tak pomagając ominąć je najbogatszym, itd. Telewizja to dla niego „narkotyk nacji", mówi o 150 kanałach niczego, na których uzależnione od nich dzieci widzą 1500 morderstw zanim skończą 12 lat, a to czy mają ładne zęby w ustach liczy się bardziej od słów, które z tychże ust wychodzą. W „zjednoczonych stanach nieświadomości" potworne staje się zabawnym, samochody i pasta do zębów zaczynają być postrzegane jako obiekty z podtekstem seksualnym, a obywatel zabity przez armię własnego państwa ginie w tzw. „przyjacielskim ogniu". „Dlaczego większość ludzi myśli, że środkowa Ameryka oznacza Kansas, socjalizm oznacza „nieamerykański", a Apartheid to nowe lekarstwo na ból głowy?" pada pytanie i jest ono retoryczne. Idziemy dalej. To, co wielu raperów uważa za walkę z systemem – karmi go. Obwieszone złotem gangsta-czarnuchy „dla ochrony nie czują" i są po „psychicznej chirurgii plastycznej", dzięki czemu wpisują się w stereotypy. Ale to nie obchodzi słuchaczy, przecież możemy wyobrazić sobie idealne społeczeństwo, a nie możemy utrzymać zwykłego związku, proste, hipokryzja jest największym z luksusów. Żyjemy w świecie w którym orientujemy się, że ktoś krzyczy w momencie, w którym przestaje to robić...

A wy?

Ostatnio świadomość się budzi. Brutalny do granic możliwości, wykozaczony, mocno komercyjny Jadakiss zaskoczył wszystkich singlem „Why", gdzie poruszył parę naprawdę niewygodnych tematów. Ukazał się nawet remix z Commonem. McWhorter konserwatywny komentator zaatakował ze wściekłością – „to nie intelektualista, to raper (...) musi mówić głupie rzeczy". A wy, ile jeszcze pozwolicie z siebie drwić i dać się spychać na margines, kiedy chcecie powiedzieć coś ważnego? Ile jeszcze pozwolicie świadomości spać?

.:Flint (CS):.

Korzystałem z artykułów Destructo i Primo (CS/Skwer). Zdjęcie Promoe: Cess (CS)

Na zdjęciach od lewej: Blackstar, Speech, Michael Franti, The Coup, Chuck D, Paris, Promoe



Najprawdopodobniej zupełnie niepotrzebny wstęp, który właściwie nie jest wstępem

Na pewno jest dość zakręconym typem. Rozmawia z tobą o jednym temacie, płynnie, lecz nieoczekiwanie przechodzi do następnego. Zresztą spróbuj przerwać Adamowi, gdy mówi. To sztuka i kawałek, raczej nie udaje się, gdy znasz go zbyt krótko. Po jakimś czasie uczysz się tempa jego wypowiedzi, może nawet będziesz w stanie przewidzieć, w którym momencie weźmie oddech (to nic pewnego) – wtedy być może uda ci się wtrącić jakieś zdanie. Być może, bo szczerze pisząc, to nie wydaje mi się. Adam po prostu lubi mówić. Pozytywne w tym jest to, że wie, co mówi, a słuchanie go sprawia przyjemność.

Czujesz to na koncertach. Gdy rozmawia z publicznością, jest trochę mniej samolubny. Widać, że miałby ochotę ponawiać tak długo, jak tylko by się dało, ale wie też, że koncert wymaga dialogu. Ludzie, którzy tylko przyjdą, żeby posłuchać sobie jednym uchem, drugie otworzyć na rewelacje zioma, którego nie widziało się dokładnie dwa dni, a które donoszą o tym, że Mała znów spruła się z połową podwórka, w międzyczasie wypiją cztery piwa, cztery wódki i w końcu wyjdą, choć koncert jeszcze trwa – cóż, ci się nie liczą. Statyści się nie liczą. Ostry robi wszystko, by takich sytuacji było jak najmniej. A więc dialog. Dopieprza z grubej rury nielubianym politykom, analizuje sytuację w kraju, na scenie hh, cały czas pytając się ludzi pod sceną, co o tym sądzą. Rozmowa trwa w najlepsze. No, ale trzeba w końcu coś zagrać. Koncertowy materiał w obłędnym tempie. Nie oszczędzają się chłopaki z Tabasko, zdecydowanie najlepsi hypemeni w tym kraju. Z tyłu atmosferę podgrzewa Haem. Koncerty O. S. T. R.'a to wydarzenie. A jak się ma farta, to jeszcze po koncercie będzie sesja wolnego słowa, może na granych w obłędnym tempie drum'n'bassowych beatach?

Koncert w Warszawie, trasa Ślizgerów. Ostry przerywa i „wywołuje do tablicy" Lwa Rywina oraz premiera Millera. Lew się nie stawia, Leszek również, próbuje więc zaprosić jego żonę. Żona w ukwieconej badziewnymi napisami kiecce również się nie melduje. No to teraz jest czas, żeby trochę pokrzyczeć o byłym już premierze. Jest ostro... Ekipa produkująca koncert łapie się za głowę. To musi wyjść do prasy, będzie zamieszanie. Ale gdzie tam. Pojechani politycy są nieobecni, a publiczność świetnie się bawi. Będzie co wspominać.

***

Adam był dzieckiem muzykalnym. Muzykiem jest nie tylko z racji wykonywanego zawodu, ale także z racji wykształcenia. Skrzypek z papierami. Rozmawiam z moją przyjaciółką, specjalistką od PR w stacji telewizyjnej, osobą muzykalną, pewnie niedługo usłyszymy jej mocno funkującą płytę. Siedzimy przy kawie, a ta narzeka mi na polski rap. Że nudny, że wszystko na jedno kopyto, że producenci nie mają pojęcia o podstawach muzyki, a raperzy też nie mają. Że to wszystko prowizorka, amatorka i słuchać się tego ogólnie nie da. Macie dosyć? Ja miałem, ale jej ciężko przerwać, jak już zacznie. W końcu, choć mógłbym przedstawić długą listę, mówię: O. S. T. R. Na chwilę się ucisza, ale po chwili mówi: Ale to muzyk z wykształceniem, to jest inna rozmowa. I znowu zaczyna swoją litanię krzywd doznanych od polskich raperów...

Ostry jest muzykiem. No, to z pewnością ma wpływ na jego produkcje, ale także na flow, na eksperymenty z nim. Zauważyliście, że tak naprawdę na każdej płycie słyszymy trochę innego Adama? Żeby tam trochę... Przeskok między pierwszym a drugim albumem był spory. Dziś, gdy jestem po wielokrotnym przesłuchaniu Jazzurekcji, słyszę innego Adama, niż na Jazzie W Wolnych Chwilach. To nie są jakieś radykalne zmiany, poznasz faceta bez problemu, ale on doskonale bawi się tymi zmianami. Moja przyjaciółka twierdzi, że to wynika z muzycznego wykształcenia. Nie wiem, ciężko mi ocenić. Zresztą, czy ma to jakieś znaczenie?

Może tylko fajna wydaje się myśl, że jest w naszym kraju facet z oficjalnymi papierami na grę na skrzypcach, który robi rap. No i skrzypce pojawiają się na jego płytach. Nie tylko w formie sampli, ale jako zagrany instrument. No i wejdźcie sobie w wolnej chwili na www.asfalt.pl i obejrzyjcie fotki Adama. Na jednej pozuje właśnie ze skrzypcami. Taki delikatny instrument w rękach faceta, który w swoim ostatnim singlu wypowiedział wojnę „kurwom, co ukradły hip-hop", a jakiś czas temu wypowiedział wojnę polskim politykom.

***

Polscy politycy pewnie niespecjalnie się tą wypowiedzianą wojną przejęli, zapewne nawet o niej nie wiedzą, bo w końcu walka z Ostrym nie przyniesie im pieniędzy. A czy polityków interesuje coś innego poza hajsem i władzą? O, właśnie zaczynam mówić jego słowami. No, może nie do końca, bo ja to wszystko muszę poskracać. Ale Adam polityków nie lubi bezkompromisowo. Za co ich w sumie lubić?

Spotkałem się z opiniami, że to populizm. Że taka retoryka jest popularna, że ludzie lubią, jak pojedzie się osoby nielubiane. A kto lubi polityków? Nigdy właściwie nie zapytałem się Ostrego o to, czy aby przypadkiem nie jest populistą. Spotkaliśmy się niedawno i ustaliliśmy, że nie będziemy robić kolejnego wywiadu. Gadaliśmy już tyle razy... Ten tekst tak naprawdę jest tylko wstępem do 10 przykazań. Poza tym komuś trzeba ufać. Nie, nie zadam mu tego pytania.

Może za to zadam mu inne – czy ma pełną świadomość tego, że spora grupa ludzi ufa mu, tak jak inne grupy ufają politykom. Wykręcam numer. Wyłączona komórka. Próbuję kilka razy, cały czas to samo. Jego wydawca nie ma pojęcia, gdzie mógł się podziać. Najbliżsi kumple też. Pytanie nie zostaje więc na razie zadane. Na razie. Jeszcze będzie okazja.

***

A co z tymi „kurwami, które ukradły hh"? Czy to aby też nie jest popularny temat, by przywalić wylansowanym? Tylko że w tym wypadku nie jechałby również po Redzie. Ernest już dawno zniknął z czołówek, więc to raczej prywatna opcja. Ciekawe, czy doczekamy się odpowiedzi...

***

Wiecie, jak miała wyglądać okładka tego numeru Ślizgu? Najpierw chcieliśmy, żeby Ostry rozwalił Parlament. Takim szczerym pierdolnięciem młota od ciężkich robót. Potem mieliśmy przebrać go za Mojżesza i ustawić z kamiennymi tablicami, na których widniałoby 10 przykazań. Okładka jest taka, jaka jest. Po części z naszego lenistwa, po części z prozaicznego powodu, że z Adamem ostatnio naprawdę ciężko się umówić. Wszędzie jest w przelocie, cały czas coś robi. Gra koncerty, produkuje znajomych, próbuje swoich sił również na rynku brytyjskim, gdzie jego produkcje przyjęte zostały bardzo ciepło.

***

„Stary, ja nie będę raczej pisał jakichś 10 przykazań. No co ty, ja nie będę ludziom nic dyktował, nie jestem jakimś mentorem. Ale wiesz co, może napisałbym 7 grzechów głównych polskiego hh?" – śmieje się, skręcając blunta. No bo na początku zasugerowałem mu, żeby może dziabnął 10 przykazań dla polskiego hip-hopu. Gadamy jeszcze o tym kilkanaście minut. No i w końcu widzicie przykazania, które prowadzą przez życie Ostrego. A życie Ostrego to hip-hop. Czyli jednak jakoś mi się udało...

***

W pewnym momencie zniknął na półtora roku. „Było mnie za dużo, wiesz. Już sam się z tym męczyłem, musiałem pewne kwestie przemyśleć, odpocząć. Ale cały czas robiłem kawałki" – mówi mi trochę ponad rok temu, przed wydaniem Jazzu W Wolnych Chwilach, jednej z najważniejszych płyt w historii polskiego rapu.

Teraz nie znikał. Nie musiał. Gadasz z nim i widzisz, że facet lubi to, co robi. Nie męczy go to z pewnością. 22 kawałków Jazzurekcji właśnie trafiło do muzycznych sklepów.

.:Kowal:.

01 Ideologia, do której przynależność określa sposób, w jaki żyjemy. Sam fakt, że mamy do czynienia z malowaniem, tańcem, gramofonami, producentami i emce powoduje, że ta kultura ma olbrzymie spektrum rażenia. Mózg spaja te wszystkie elementy w jedność i tym właśnie jest hip-hop.

02 Cokolwiek robisz, musisz to robić prawdziwie. Hip-hop to nie jest wpływ otoczenia – jak wszyscy, to ja też. Musisz mieć to w sercu i duszy.

03 Tradycja diggowania i idące za nią zasady, których ja nie wymyśliłem, a których trzeba przestrzegać, bo na tym polega hip-hop.

04 Podstawą jest własny styl. Cokolwiek robisz, musisz mieć własny styl. To odróżnia ciebie od innych. Tylko własny styl ma szansę osiągnięcia perfekcji, ksero pozostanie zawsze repliką oryginału.

05 Talent, który wymaga bardzo surowej samooceny. Nikt nie musi się czynnie udzielać w tej kulturze, by do niej przynależeć. Lepiej nie robić nic, niż robić coś ze szkodą.

06 Praca jest najważniejszym ogniwem, które łączy styl z talentem i wybucha jak bomba atomowa. To sprawia, że mamy ochotę jeszcze raz coś zobaczyć, usłyszeć. Bez pracy można sobie darować. Z każdym dniem powinniśmy być lepsi.

07 Instynkt i kreatywność, co pozwala poszerzać horyzonty naszej twórczości, idąc jednocześnie we właściwym kierunku.

08 Pokora wobec samego siebie jest bardzo ważna. Pozwala z godnością przyjmować porażki, jak i chroni przed popadnięciem w samouwielbienie.

09 Doskonałość jest to nieuchwytny cel, do którego każdy, który chce godnie reprezentować hip-hop, powinien dążyć. Mówię nieuchwytny, bo stwierdzenie, iż jest się doskonałym, jest jednocześnie końcem pokory, jak i pracy nad sobą, co znaczy tyle, co – daj sobie spokój. Poza tym nikt nie jest doskonały...

10 Wytrwałość i cierpliwość. Bez tych cech lepiej pozostać przy zbieraniu kompaktów, bo prawdziwy hip-hop ma małe szanse w mediach. Najważniejsza jest wiara.



O. S. T. R.
JAZZUREKCJA
ASFALT RECORDS

Kawałek szósty, „Bajera", pierwsza zwrotka Ostrego, druga Haema. Najpierw wyrymowany w szybkim tempie tekst, potem skrecze, które rozpieprzają mózg. Delikatny, choć szybki podkład. Wysmakowany, jazzowy, nowoczesny. Taka jest właśnie, krótko opisując, ta płyta. Znakomicie wyprodukowana, brzmiąca na poziomie najlepszych produkcji zaoceanicznych. Mocno zainspirowana opartym o jazz amerykańskim hip-hopem pierwszej połowy lat 90., choć jednocześnie spokojnie wpasowująca się w to wszystko, co dzieje się teraz.

Kawałek dziewiąty, „Państwo". Znowu szybko. Werbel wyznaczający rytm, na tym urywające się dęciaki. Trochę zmian tempa. Mocne słowa, znakomicie przerymowana, z ciekawymi metaforami opowieść o państwie. Tak, tym, w którym żyjecie.

Na tej płycie są 22 tracki. Właściwie o każdym z nich można by napisać długą historię. Właściwie żaden z nich nie zawodzi. Jeżeli kiedyś spotkałem się z polską płytą rapową najbliższą ideałowi, to właśnie teraz. I dlatego nie widzę sensu, by zbytnio się rozpisywać. Bo ten materiał wymaga, by usiąść nad nim samemu. Wsłuchać się i odebrać słowa Ostrego po swojemu.

To proste historie. Momentami brutalne, walące z grubej rury, bez ozdobników, bezpardonowo rozliczające świat za oknem. Radykalnie je rozliczające. Ale też nie brakuje na tej płycie delikatniejszych refleksji. Momentów zastanowienia się nad tym, co tak właściwie się dzieje i czemu akurat tak. Ostry ma z pewnością świadomość, że pierdolnąć w coś jest łatwo, ale rozliczyć to i dojść do korzeni jest już sztuką. Tej sztuki na tym materiale nie brakuje.

Bardzo ważna rzecz – styl, umiejętności, rymy. No cóż, ekstraklasa. W tej chwili z pewnością pierwsze miejsce w Polsce. I wysoka poprzeczka dla tych, którzy będą chcieli nawiązać walkę.

Produkcja również nie wymaga długich komentarzy. O klimacie już pisałem, o tym, jak ten klimat został „wprowadzony w życie", napiszę takie oto zdanie – pod względem produkcji jest to album, którego poziom nie odbiega od tego, jak to się robi na świecie. Jak to się dobrze robi na świecie.

Nie będę więcej pisał. Ta płyta musi znaleźć się na półce każdego, kto wie, o co w tym chodzi. Bo ta płyta jest właśnie tym, o co w tym chodzi... **kowal**

10 przykazań O.S.T.R.



NIE JESTEM NIEWOLNIKIEM

Odpowiedź na pytanie kim nie jest Jill Scott?

Idealiści w dzisiejszym świecie wykruszają się z prędkością światła. Konsekwencja w dążeniu do obranego celu to słuszna postawa, ale jej ostrze tępi się wraz z piętrzącymi się trudnościami. Dlaczego? Upór i brak zgody na kompromisy pozwalają być w zgodzie ze sobą, ale nie z otaczającą rzeczywistością. Zasadą złotego środka wielu ambitnych artystów jest teoria mniejszego zła. Najpierw coś pod publikę, a potem, po zdobyciu popularności, dorobieniu się kilku zer na koncie, można pozwolić sobie na zajęcie się tym, co przynosi wewnętrzną satysfakcję i o czym od początku się marzyło. Przecież tak łatwiej osiągnąć sukces. To nie bezwzględny akt oskarżenia. Jednak czy zawsze musi to być tak skomplikowana droga? Czy to przypadkiem nie niszczy pewnych cząsteczek wrażliwości i nie sprawia, że twórczość staje się bardziej wyrachowana niż spontaniczna? Dlaczego wielu artystów, wbrew własnym przekonaniom, decyduje się na taki krok? Dlaczego własne wyobrażenia o twórczości muszą czekać? Czy to kwestia wiary w swój talent? Czy może obawa przed brakiem zrozumienia ze strony potencjalnych odbiorców? Na pewno tych pytań nie musi sobie stawiać Jill Scott.

Ta pani żyje w całkowitej zgodzie z image'em poetki, obranym jeszcze na początku lat 90., kiedy to wzruszała publiczność rodzinnej Filadelfii recytacjami swojej poezji. To zwykła dziewczyna z sąsiedztwa, jak sama o sobie mówi. Bezpretensjonalna, nie przepadająca za błyskiem fleszy, twardo stąpająca po ziemi. Każdym kolejnym krążkiem potwierdza, że obrana postawa poszukiwacza bezustannie przynosi owoce. W swoim bujnym życiorysie także pukała już do wielu drzwi. Pokoju z poezją nigdy jednak za sobą nie zatrzasnęła. To integralna część jej twórczego życia. Od niej wszystko się zaczęło... Pierwsze kroki na scenie, pierwsze kontakty z publicznością. Jill odkryła w sobie także powołanie pedagogiczne. Jednak jej niekonwencjonalne podejście do edukacji nie przypadło do gustu konserwatywnym belfrom. Propozycja pomalowania ścian szkolnego budynku na różne kolory, które miały pobudzić uczniów do większego zaangażowania oraz kreatywnego myślenia, nie wprawiła w zachwyt innych nauczycieli. Idealizm Scott został brutalnie potraktowany, a ona sama bardzo szybko ściągnięta na ziemię. Natura nie pozwalała jej jednak wykonywać poleceń, do których nie miała za grosz przekonania. Teatr również nie okazał się jej życiowym powołaniem. Chociaż tam przeszła niezłą szkołę i zebrała wiele doświadczeń od pracy poza sceną (czyszczenie kostiumów, budowanie scenografii czy nawet sprzątanie toalet) do roli w sztuce dla dzieci. Po tych lokalnych perypetiach doczekała się udziału w brodwayowskim hicie 'Rent'.

Pierwszej swojej miłości nie zdradziła do dziś. To poezja zespolona z dźwiękami przyniosła jej pełnię szczęścia. Słowa towarzyszyły jej od zawsze, ale Jill sama przyznaje, że z muzyką nie obcowała od dziecka. Nie biegała na lekcje emisji głosu, tańca. Jej świat nie kręcił się wokół muzycznych tradycji przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Jednak poprzez ciągłe pisanie wierszy przekonała się, że pojedyncze słowa nie tylko mają swoje znaczenie, ale również inaczej brzmią, każde z nich to inny oryginalny dźwięk i razem tworzą różne interesujące melodie. I tak okazało się, że od liter do nut niedaleka droga. A jej początek wyznaczył Jazzy Jeff wręczając Jill kilka swoich podkładów pod koniec 1999 roku. W ciągu trzech dni napisała do nich teksty. Wykonanie przez nią „A Long Walk" zwaliło Jazzy'ego z nóg. Natychmiast pojechali do studia i z miejsca nagrali ten numer. Bez żadnych cięć, poprawek. 'Może ludzie w to nie uwierzą, ale to właśnie była pierwsza piosenka, jaką Jill w ogóle nagrała. I to, czego dziś słuchamy na płycie, to oryginalna jej wersja. Niczego nie zmieniliśmy' – wspomina Jeff. Wypalił nagranie w stu egzemplarzach i porozsyłał do znajomych w branży. Jill pozwoliła mu na to pod jednym warunkiem. Mógł wysłać piosenkę, ale bez jej zdjęcia. Chciała, żeby ludzie oceniali wyłącznie jej muzykę, nie wygląd: 'Nie chcę, by traktowano mnie jako towar, nie chcę być sprzedawana, nie jestem niewolnikiem'. Artysta długo nie musiał szukać wydawcy zafascynowanego zdolnościami Jill. Wytwórnia Hidden Beach z otwartymi ramionami przyjęła artystkę. Na pierwszy krążek „Who Is Jill Scott? Words And Sounds Vol. 1" wokalistka przygotowała wstępnie 52 numery. Wszystkie z nich lubiła, ale na krążek wybrała te, które pokochała, krótko i szczerze uzasadniając: 'Pod koniec, jeśli nikt ich nie kupi, chcę być w stanie je grać, słuchać ich nadal się nimi cieszyć'. Brak zgody na naginanie swoich przekonań do komercyjnych oczekiwań zadecydował o tym, że na jej debiutanckiej płycie o miłości nie znalazła się ani jedna płaczliwa ballada o tragicznym rozstaniu. Artystka po prostu była wówczas szczęśliwa i swoim szczęściem chciała podzielić się z innymi.

Scott pisze zawsze o tym, co przeżywa, co zauważa w otaczającej ją rzeczywistości. Nie wymyśla historyjek, które złapią za serce tłumy rozhisteryzowanych nastolatków, chociaż jej teksty często traktują o codziennych sprawach i problemach, które przeżywa każdy z nas. W tej autobiograficznej poezji przeplatają się wszystkie barwy życia: radość, humor, wzruszenie, tęsknota i smutek. A wszystko to w świetle dylematów utalentowanej czarnej kobiety z getta. Śpiewa o sobie i sytuacjach, których była świadkiem. W jej piosenkach nie ma miejsca na wymyślone, ubarwione historie wyssane z palca. To czysta prawda. Jej muzyka charakteryzuje się przepiękną prostotą. Ten talent nie jest sztukowany tanimi efektami. To odróżnia ją od światowej plejady gwiazd i gwiazdek z pierwszych stron brukowców. I nie tylko to. Także jej biografia nie jest duplikatem życiorysów czołowych komercyjnych wokalistek, od dziecięcych lat przygotowywanych do roli gwiazd. Ale też jej repertuar dateki jest od przyklejenia mu etykietki z napisem 'popowa papka'. To nie zestaw na wynos z Mc Donald's, ale danie, którym można i należy się delektować. Scott serwuje całą prawdę, często dosadnie i prosto z mostu. Ta zadziwiająca i specyficzna wrażliwość, wysublimowany smak i pomysłowość budują świat, o którym w dzisiejszej muzyce się zapomina. Temperament, niczym nie ograniczony przedstawia w całej okazałości szczególnie na koncertach. Tym, którzy nie mieli okazji podziwiać jej na żywo, polecam chociaż namiastkę – drugi dwupłytowy album („Experience: Jill Scott 826+"), na którym znalazły się kawałki zarejestrowane podczas występów.

Jill Scott ma własny, niepowtarzalny styl. Zwiewne sukienki, za duże kapelusze i miliony sposobów układania burzy loków – ten unikalny gust zainteresował wielu światowych fotografów. Nikt nie kreuje jej wizerunku, tak samo jak nikt nie narzuca jej tematów, które porusza w swoich piosenkach. Poetycki styl r&b i soul z domieszką hip-hopu, jazzu i bluesa, a także funky z lat 70. – wszystko to tworzy unikatną aurę, powiew świeżości w przesiąkniętej techniką muzyce. Naturalność i wierność samej sobie krótko kwituje: 'Czuję, że jestem kobietą, czarną kobietą, mieszkanką getta. I są na świecie ludzie, którzy czują to, co ja. Jestem pewna, że mogę się odnosić do odczuć innych osób, więc i oni mogą utożsamiać się ze mną'. Jak widać, można postawić na swoim i osiągnąć sukces pozostając w zgodzie z własnym artystycznym sumieniem. To głównie kwestia samozaparcia, konsekwencji w działaniu oraz odwagi. Kierując się tymi zasadami, artystka ma na swoim koncie już trzeci krążek „Beautifuly Human", który podobnie jak poprzednie potwierdza tylko ogromną wrażliwość i talent artystki. Znalazł się na nim utwór 'Golden', w którym Scott śpiewa o swoim wypracowanym systemie wolności oraz o roli Boga w jej życiu: „Hope He's proud of me (mam nadzieję, że jest ze mnie dumny)". Ja na Jego miejscu na pewno bym była...

.:Hania Krawczyńska:.

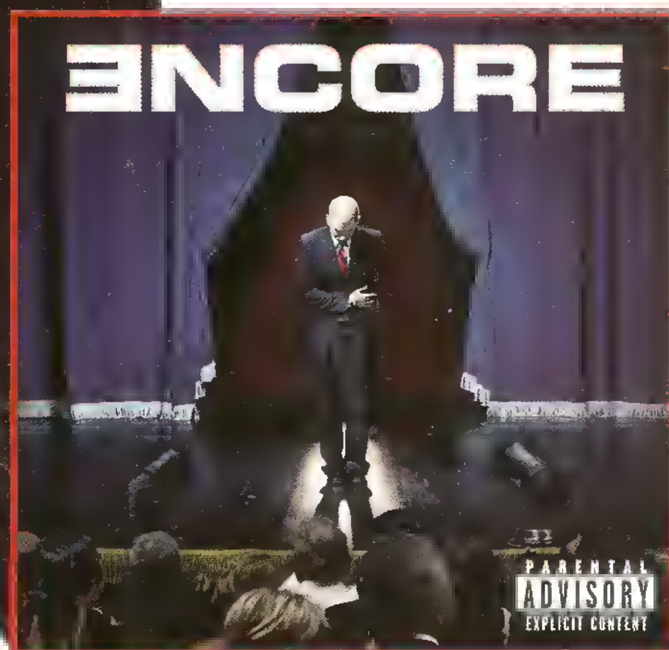


Jill Scott

RADIO eska

EMINEM

NOWY ALBUM



VIVA



ŚLIZG

PRZEKRÓJ



UNIVERSAL

www.universalmusic.pl

moral gano



Gano na oficjalnej scenie zadebiutował dość dawno. Pamiętamy kawałki na składankach Volta (w tym najsłynniejszy numer „Nie jestem kurwa biznesmenem"), pamiętamy solową płytę pt. „W samo sedno". Moral to młody, obiecujący raper z Dąbrowy Górniczej, o którym pisaliśmy kilka miesięcy temu na łamach „Ślizgu". Właśnie wydali wspólną płytę i, jak twierdzą, ukazuje ona nie tylko postęp jednego i drugiego, ale i bity, których jeszcze w polskim hip-hopie nie było. Oto Moral/Gano.

Wiem, że poznaliście się przez internet. Powiedz Gano, jak to wyglądało z twojej strony, dlaczego postanowiłeś nagrać z Moralem nie tylko jeden kawałek, do którego cię zaprosił, ale całą płytę?
Gano: Na początku, w 2002 roku, wysłał mi maila z propozycją wspólnego nagrania. Nie zgodziłem się tak od razu, kazałem mu podrzucić płytę, której później nie chciało mi się iść odebrać (śmiech). Nie miałem chyba po drodze. W końcu poszedłem, przesłuchałem i uznałem: a co mi tam, nagram. Tak powstało „Kiwaj głową". Potem Moral zaprosił mnie na koncert do Jastrzębia Zdroju, zresztą o tym, jak doszło do naszej współpracy jest kawałek na naszej płycie – „Bez szumu". Pojechaliśmy, wyszedł fajnie, potem był następny koncert, znowu następny... aż stwierdziliśmy, że skoro mamy grać te koncerty razem, dobrze byłoby mieć tych kawałków więcej. Zrodziła się idea nagrania nielegalnej EP'ki, a zaraz potem, po nagraniu trzech numerów – całej płyty.

Jak się dogadywaliście w trakcie prac nad płytą? Nie było nieporozumień, sytuacji spornych?
Gano: Jasne, że nie, Moral nie miał nic do gadania (śmiech).
Moral: Koloryzuje (śmiech). Nie byłoby żadnej współpracy bez kompromisów, wiadomo, ale rozumiemy się dobrze, mamy podobny gust muzyczny i dobrze się uzupełniamy, były jakieś lekkie spięcia, ale tak jest zawsze, standard.
Gano: Obaj lubimy fajny, żywy rap. Nie jakieś smuty ani kawałki o tym, że jest kiepsko. Taką płytę sobie już nagrałem, więc po co miałem nagrywać drugą taką samą? Nagrałem wesołą.
Moral: Dokładnie. Ja się bardzo dużo nauczyłem podczas nagrywania z Ganem. Mówił mi, co jest źle, zmienialiśmy sporo w studiu. Powstała całkiem spontaniczna płyta.

Jakie trudności musieliście pokonać nagrywając materiał?
Gano: Dojazdy, brak czasu. Ja jestem leniem i mi się nie chciało za często przyjeżdżać.
Moral: Ja musiałem się odnaleźć w studio, brakowało mi obycia, miałem tremę na początku, później się rozwinąłem i teraz lecimy na majku (śmiech), oprócz tego ja mieszkam 18 km od Katowic, czyli musiałem dojechać do Kato i potem jeszcze do IGS'a, czasami było ciężko, ale byłem odpowiednio zmotywowany i spokojnie dałem radę.
Gano: Bał się na początku studia, Igora się bał... (śmiech).

Płytę w całości wyprodukował Grafit, producent praktycznie nieznany...
Moral: Pochodzi z Katowic-Bogucic, nie jest jeszcze znany, ale powinno się to zmienić po wyjściu naszej płyty.
Gano: Mieszka dwa bloki obok mnie. Od ładnych paru lat przychodził i puszczał mi bity, ja cały czas narzekałem, dawałem mu jakieś wskazówki, aż z czasem zaczął przynosić coraz lepsze rzeczy i osiągnął odpowiedni poziom. Trwało to naprawdę parę ładnych lat, zanim podjęliśmy współpracę.

Nie myśleliście o innych producentach?
Gano: Nie. Ja mam taką akcję, że lubię robić albumy koncepcyjne. Taką płytę zrobiłem wcześniej z KRI – minimalistyczną pod względem formy jak i rapu. A teraz chcieliśmy zrobić coś innego, z Grafitem. Zrobił nam wiele różnorodnych, dobrych bitów. Mieliśmy ich spory wybór, bo z około 300 (na płycie znalazło się 15). Były spójne stylowo, a zarazem różnorodne muzycznie, wynikające z szerokich inspiracji Grafita. Słuchając płyty bez świadomości, że produkował ją jeden człowiek, nikt by nie powiedział, że to cały czas ten sam producent.

Nie przeczy to tej koncepcji, o której mówiłeś?
Nie, bo spójnością jest Grafit. Wszystkie bity wyszły spod jego ręki. To właśnie miała być nasza, trzyosobowa płyta. Nie żadna produkcja z castingu, tylko trójka ziomków pracujących nad wspólnym materiałem.
Moral: Mnie się bardzo spodobał pomysł, aby zrobić płytę w takim klimacie, bo jest to styl zupełnie inny od tego, który prezentowałem wcześniej na nielegalach. Mnóstwo ludzi jest w szoku, że płyta jest w takim klimacie, spodziewali się czegoś zupełnie innego i o to właśnie chodzi. Następną pewnie znowu zrobię inną.

W jakim klimacie, czyli w jakim?
Moral: Elektronika, choć jak posłuchasz płyty to uznasz, że jest ciepła, nie są to typowe syntetyki.
Gano: Przede wszystkim nikt w Polsce nie robi takich bitów. Wiele osób mówi nam, że płyta jest świeża, jest inna od tego, co to tej pory się ukazało na naszej scenie. I takie było nasze zamierzenie. Chcieliśmy zaprezentować coś, czego nikt jeszcze nie zaprezentował. Pokazać inny hip-hop. Można wziąć zajebiste bity od zajebistych producentów. Ale to będą po raz kolejny te same bity tych samych ludzi. A my zrobiliśmy płytę nową, świeżą, zróżnicowaną, a zarazem spójną. Taką, której się wysłucha i będzie się chciało puścić jeszcze raz.

Myślicie, że elektronika się przyjmie?
Gano: A co, mieliśmy wydać taką samą płytę, jak pozostałe 45, które wychodzi w tym roku? Kopie? Bez sensu.

A powiedzcie, skąd właściwie to przejście od spokojnych, klimatycznych kawałków, które robiliście wcześniej, do elektroniki?
Gano: Kiedyś Joka mi powiedział, że na pierwszej płycie wylałem wszystko, co leżało mi na sercu. I to jest prawda. Później moje życie uległo zmianie, poprawiło się wiele rzeczy, w życiu, w rodzinie, w hajsie, więc nie musiałem już nagrywać kolejnych kawałków o tym, że jest słabo.
Moral: Podobnie u mnie. Na dwóch nielegalach wylałem z siebie wszystkie słabości i problemy. Teraz chciałem zrobić płytę imprezową. Poza tym zajarałem się nowoczesnymi brzmieniami.

Czyli nie usłyszymy już tych emocji, które ukazywaliście wcześniej?
Gano: Są emocje, tylko inne.
Moral: Ja miałem dwa różne etapy podczas nagrywania tej płyty. Ta imprezowa część, która tkwiła we mnie, była spowodowana pewnym okresem czasu, który się skończył. Potem zaczął się trudniejszy okres i pisałem kawałki bardziej uczuciowe i to słychać na płycie.
Gano: Poznał mnie i świat zmienił się na różowo (śmiech).
IGS: Potem poznali mnie i nagrali płytę. Z zajawki na forum zrobiła się zajebista płyta (śmiech).
Gano: Dokładnie – z zajawki na forum. Nagraliśmy u mnie w domu nielegala, puściliśmy na forum taki pseudo-promomix, a potem weszliśmy do studia i nagraliśmy płytę.

A jak ewoluowała wasza tematyka?
Gano: Na płycie są kawałki naprawdę różne. Od bardzo poważnych, osobistych rzeczy, o których nie każdy raper mówi wprost, po luźne i spokojne. Tak jak nasze nastroje wahają się każdego dnia, tak i zmieniają się nastroje na płycie. Każdy z tych kawałków ma zapamiętaną w sobie daną chwilę. Każdy powstał spontanicznie, w jakimś momencie. Nie ma numeru, który został przemyślany w taki sposób, że ustalaliśmy: „nagramy kawałek o tym i o tym, powiemy to i to i spuentujemy w taki i taki sposób". Nie, wszystko przebiegało spontanicznie.

Któryś z was miał większy wpływ na kawałki?
Gano: Ja wymyśliłem większość refrenów. Przerabiałem na hity nasze wspólne pomysły (śmiech).
Moral: Część rzeczy powstawała w studiu. Pomysły ewoluowały na miejscu, w IGS Studio. Kilka tematów i niektóre szkice refrenów wymyśliłem ja, tak jakoś fajnie podzieliliśmy się tym wszystkim.
Gano: Grafit pomógł, Igor pomógł, nawet jego kot (śmiech). To jest trochę tak, jak z „Ekspedycjami". Płyta nagrana na spontanie. Myślę, że to słychać, że ten charakter wylania się gdzieś spomiędzy realizacji na najwyższym możliwym do uzyskania w Polsce poziomie.

Co jest waszym zdaniem najmocniejszą stroną płyty?
Gano: Nasz duet. Uzupełniamy się bardzo mocno, a przy tym pasujemy do bitów Grafita, które są naprawdę zajebiste. Zaryzykuję stwierdzenie, że nie było jeszcze w Polsce takich bitów.
Moral: Nowe bity, nowe flow.
Gano: No, u niektórych (śmiech).

A powiedz Gano, czy z racji tego, że na scenie jesteś dłużej niż Moral, czujesz większą odpowiedzialność?
Gano: Przecież mnie znają tylko najtwardsi hip-hopowcy. Jeśli ktoś słucha hip-hopu od dwóch lat, nie wie, kim jest Gano. Te osoby, które mnie słyszały, wiedzą, że cały czas idzie się do przodu. Bawią mnie ludzie, którzy mówili Moralowi, że lepiej by było, gdyby rapował tak, jak na swoim pierwszym nielegalu. To bez sensu, bo raper cały czas się rozwija. Nie wiem, co będę nagrywał jutro. Nagrałem tę płytę tak, jak czułem teraz. Najlepiej, jak na ten moment potrafiłem. A do tego, co powiedzą ludzie, nie przywiązuję wagi. Bo ludzie i tak będą jechać wszystko, co sobie teraz wymyśliliśmy i jeszcze kilka rzeczy, na które byśmy nawet sami nie wpadli. Jestem Gano – ok. Ale to jest Moral/Gano. Część mnie, część Morala. Mój rozwój, jego rozwój, rzecz, nad którą pracowaliśmy wspólnie. Ja, dając doświadczenie, on, dając energię. Pamiętaj, że Szet Leni to ja...
IGS: Jeden dla drugiego był po prostu inspiracją i jeden drugiego potrzebował, żeby zrobić taką płytę.

Kto jeszcze miał wkład w ostateczny kształt albumu?
Moral: Goście, którzy zaśpiewali, wokaliści. Nie mamy żadnych raperów gościnnie. Jest Stoki, Konrad Imiela i Siloe, znana z płyty HST. Plus wkład Igora.
IGS: Raczej chilloutowy, bo za konsolą siedział Grafit i on realizował materiał. Ja dawałem tylko pewne wskazówki.

Ostatnie słowo?
Gano: Cóż, dwa lata mojej, w cudzysłowie, kariery hiphopowej poświęciłem na granie w Magica i jeżdżenie po turniejach. Teraz wyszła nasza płyta, jeśli będzie hajc z koncertów... znowu sobie pojeżdżę na turnieje (śmiech).
Moral: Ja nie umiem grać w Magica i nie chce mi się uczyć (śmiech). Sprawdźcie płytę, może Was zaskoczy. Wielki pozdro dla słuchaczy i ludzi którzy szanują nas za to, co robimy.

.:Rozmawiał Keb (Czyste Słowa):.
.:Foto Kuba:.

dj SPOX scratching 08

Witam. W ostatnim czasie w Naszym Kraju odbyło się kilka imprez turntablistycznych, w tym dwie większe – ITFy oraz Vestax Extravaganza. W momencie, gdy piszę ten tekst, do Vestaksa pozostało jeszcze kilkanaście godzin, ale kiedy Wy będziecie to czytać, będą już znane wszelkie wyniki. Uznałem więc, że to niezły czas, aby napisać ogólnie o samych zawodach, organizacji, przygotowaniu do startu i kilku innych kwestiach związanych z tematem. Wiadomym faktem jest to, iż do 5-minutowej rutyny wykonywanej na zawodach niektórzy zagraniczni Dj'e przygotowują się po 6-7 miesięcy a czasem dłużej. I to widać i słychać w czasie występu. Cały set jest złożony idealnie, ma początek i koniec, kolejne sekwencje są dokładnie dobrane a wszelkie przejścia rytmiczne i wstawki tekstowe są tam, gdzie powinny być. Ciężko więc czasem będąc widzem jakiegoś polskiego show turntablistycznego odnieść wrażenie, że ma to coś wspólnego z zachodnim turntablismem. Absolutnie NIE twierdzę tutaj, że polscy Dj'e nie posiadają umiejętności na poziomie światowym, sądzę raczej, iż jest to kwestia podejścia zarówno Dj'i do swojego występu, jak i organizatorów do przygotowania imprezy. Czy przeciętnemu Dj'owi (niekoniecznie z Polski) zależałoby na przygotowaniu się do zawodów, gdyby wiedział, że:

1. nie będzie znał terminu imprezy wcześniej niż dwa tygodnie przed nią o ile nie zostanie ona odwołana, przesunięta etc. Nie daje to możliwości takiego ustawienia sobie ćwiczeń, aby wyrobić się ze wszystkimi przygotowaniami.

2. jeżeli już będzie wiedział „kiedy", to sporo wysiłku może go kosztować, jak się na dane zawody dostać. Pewnie będą jakieś informacje na stronie, lecz jest możliwość, że nie będą miały zbyt dużo wspólnego z rzeczywistością. A przydałoby się dokładnie dowiedzieć, czy ma nagrać miks, czy same skrecze, na video, czy audio, a może ze względu na jakieś tam dokonania czekać na zaproszenie, lub może czy są to mistrzostwa otwarte bez eliminacji.

3. kiedy już znajdzie się na zawodach (przyjmijmy, że w innym mieście), to znalezienie klubu czy hotelu też nie należy do spraw najłatwiejszych a jednak istotnych. Szczególnie, że organizator najczęściej już nie odbiera telefonu, nie mówiąc o odbieraniu z pociągu.

4. już na samych zawodach, kiedy znajdzie hotel, klub, upewni się, że na pewno startuje, czekają go kolejne schodki, np. zdezelowany sprzęt, brak odsłuchów, niestabilne stoły ustawione za wysoko lub za nisko...

5. kiedy uda mu się już pokazać przygotowaną rutynę, okaże się, że w pięcioosobowym jury znajduje się tak naprawdę jedna osoba znająca się na rzeczy, a pozostałe to np. brat jednego ze startujących Dj'i, reprezentant sponsora nagród znający się głównie na sprzedaży wózków widłowych, dziennikarz z zaprzyjaźnionego radia i siostra organizatora, więc wyniki mogą mieć... ehm... „nieznaczne wychylenia statystyczne".

6. a kiedy niespodziewanie uda mu się wygrać, usłyszy, że gratulacje, że super, że nagrody oczywiście dostanie... w ciągu miesiąca... że wyjazd na zagraniczne finały oczywiście jest aktualny... na własny koszt... że dyplom jest... ale się podarł i ktoś zalał go piwem... a złotą płytę otrzyma... jutro, bo w Obi zabrakło złotego sprayu.

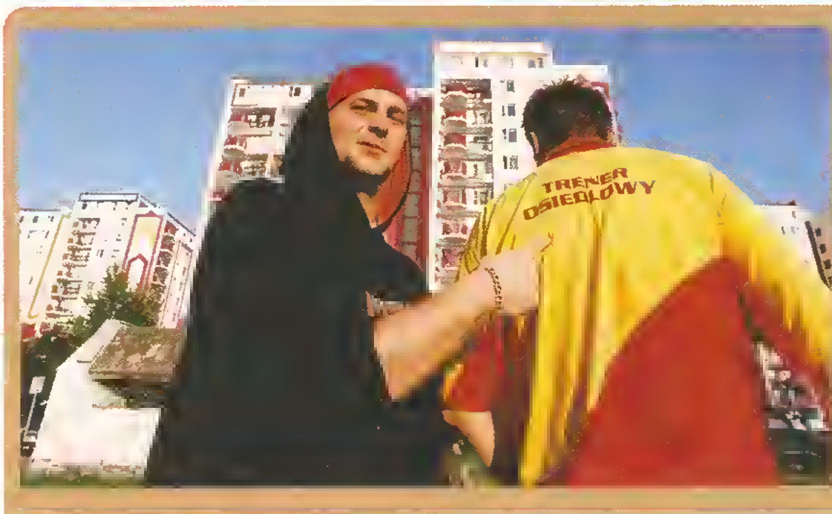
7. już po wszelakich zawodach wystarczy mu taki przykład, że nie da rady w naszym kraju utrzymać się z samego turntablismu. Ludzie jeszcze nie rozumieją, co i jak, więc nie za bardzo można liczyć na pokazy, występy etc. Jako, że wygrana zawodów niewiele zmienia trzeba wrócić do starej pracy, szkoły, życia codziennego.

No i tajnie, co? Nic, tylko zostać turntablistą. No dobra, bez przesady. Jest to najczarniejszy scenariusz, aczkolwiek wszystkie przykłady zostały wzięte z życia. Gdyby takie zawody kiedykolwiek miały miejsce, to współczuję uczestnikom i widzom. Jaka jest recepta na dobrą organizację? Współpracować z ludźmi, którzy mają doświadczenie w tego typu sprawach. Jeżeli organizujemy freestyle battle, zróbmy to we współpracy z MC's, którzy występowali już na czymś takim i są w stanie powiedzieć, co i jak ma być zrobione. Jeżeli robimy zawody Dj'skie – skontaktujmy się z Dj'ami, którzy startowali już w takich imprezach i również powiedzą, co było źle i jak należy to naprawić, jak i co jest OK i lepiej tego nie ruszać.

Wracając do Dj'i i ich przygotowania. Mimo tego, że nie startuję w zawodach już pewien czas, mam doskonałą świadomość, jak przygotowywać się do nich. Zaplanujcie swój występ dobrze. Nie ma sensu wstawiać do rutyny skreczy lub trików, których nie opanowało się do końca, ponieważ przy zdenerwowaniu na pewno się wysypią. Warto byłoby mieć konkretny początek i koniec, żeby wszystko wyglądało na zamkniętą całość. Dobrze jest mieć kilka wariantów w razie gdyby okazało się, że ktoś robi coś podobnego lub na tym samym bicie, lub chociażby po to, aby po zakwalifikowaniu się wyżej nie powtarzać poprzedniego występu. W miarę możliwości opracować rutynę tak, aby dało się ją wykonać na większości znanych gramofonów i mikserów – znacząca kwestia przy przechodzeniu z ramienia S na Proste. Nie ograniczajcie się płytami, to nie dyskoteka, można wyciągnąć każdą możliwą płytę, każde możliwe nagranie, jeżeli zrobicie z tego coś kreatywnego. Poza rękami i sprzętem użyjcie głowy (nie do walenia w mikser). Myślcie czym i jak zaskoczyć i rywali i jury. Na koniec pozwolę sobie na małą prywatną kwestię – po mojej wypowiedzi na temat kopiowania rutyn poprzez Dj'i zostało mi zarzucone, że sam „zerżnąłem" rutynę Scratch Perverts kilka lat temu na zawodach DMC, co zostało „zdemaskowane przez dziennikarza Klanu", przez co zająłem ostatnie miejsce. Jako, że nie lubię bezpodstawnych oskarżeń wyjaśniam, iż – zarzucający mi dany wyczyn nie był raczej obecny na tych zawodach, a jeżeli tak, to chyba wyszedł do toalety w tym czasie, ponieważ cały mój występ był inaczej skonstruowany niż jakakolwiek znana mi rutyna SP.

Podejrzewam też, iż osobnik ten nie za bardzo orientuje się w terminologii Dj'skiej i nie rozumie różnicy pomiędzy określeniem „rutyna" a „trik", więc wyjaśniam: „rutyna" określa cały występ ze wszystkimi zawartymi tam elementami takimi jak triki, skrecze, loopy, beat juggling. Samo określenie „trik" oznacza sztuczkę wykonaną przy pomocy gramofonu lub/i miksera niekoniecznie z użyciem skreczy. Konkretny trik, o którego „zerżnięcie" oskarża mnie nieudolnie „ktośtam" (nie podający nawet własnego imienia i nazwiska...) jest nazywany albo needle droping albo nawet trafniej needle drumming i polega albo na wystukiwaniu iglami rytmu perkusyjnego na płytach albo na uderzaniu palcami w igły również wystukując rytm. Trik ten, faktycznie wynaleziony przez Scratch Perverts, zaczyna pojawiać się w użyciu około roku 1998 (!), więc kawał czasu przed zawodami DMC, na których rzeczywiście użyłem tego triku do zakończenia rutyny. Jakieś 3 do 4 lat. W tym okresie wykorzystuje dany trik cała masa Dj'i z całego świata, a to, że w naszym kraju wykonałem go po raz pierwszy na zawodach i trafiłem od razu na zarzuty kopiowania, może świadczyć tylko o kiepskim doinformowaniu ludzi w tej branży w tamtym czasie. Dziś nikomu nie przeszkadza to, że z takich i innych trików korzystają wszyscy Dj'e na zawodach, żeby wspomnieć chociażby sprzężenia zwrotne (Feedback theory) czy Eq scratch, które również zostały wprowadzone przez Scratch Perverts tak gdzieś w 1999 roku. Tak więc drogi „kolego", zanim zaczniesz sypać oskarżeniami, postaraj się być wiarygodnym i uzupełnij sobie swoją szczątkową wiedzę. Pozdrawiam.

.:dj Spox:.





Wall-e moja dzielnica wrocław/kozanów

Wrocław to oaza zarówno dla spragnionych wrażeń kulturalnych, jak i szukających wyciszenia. Turyści najczęściej kojarzą to miejsce z olbrzymim rynkiem, panoramą racławicką, ogrodem zoologicznym i jednym z symboli miasta - iglicą stojącą przed Halą Ludową. Jednak, jak każda metropolia w naszym kraju, poza urokliwymi kamieniczkami, których podziemia skrywają kluby muzyczne czy galerie, także i Wrocław posiada swoje blokowiska, których historia i lokalizacja tylko podkreśla unikalny klimat miasta. Po jednym z takich osiedli, Kozanowie – czy, jak nazywają je hiphopowcy z tamtejszej parafii, „K.O.Z." – oprowadził nas jeden z najdłużej działających na tutejszej scenie raperów, Wall-e z K.A.S.T.A. Składu. Sam wspominał wielokrotnie, iż mieszkał już chyba na każdej dzielnicy 71 i chociaż dorastał już na Kozanowie, dzieciństwo spędził w zupełnie innym miejscu - części zwanej potocznie „Trójkątem". „Chętnie pokazałbym okolicę, w której spędziłem pierwsze lata swego życia, ale została ona wyburzona. Największa ilość wspomnień wiąże się właśnie z tamtym miejscem, niestety nie możemy go pokazać, bo już nie istnieje. Mogę jedynie rzewnie wspomnieć tamte tereny".

SERCE PARAFII

Spacer po Kozanowie zaczynamy od pętli autobusowej. To wrota na miasto: „tu dzieje się wszystko. Ludzie ze wszystkich okolicznych bloków muszą się tu spotkać, jeśli chcą wyruszyć w kierunku centrum na wszelkiego rodzaju piątkowe imprezy". Jednak sercem osiedla jest zupełnie inna miejscówka, a w zasadzie ulica - nazywa się Kolista, bo, jak sama nazwa wskazuje, „jest ułożona w kształcie koła i w myśl tej zasady wzdłuż niej zbudowano okręgi. Fakt faktem, że poza nimi nikt już nie przewidział żadnych atrakcji, za to na nich można sobie usiąść, zapalić jointa... Z jednej strony mama cię woła na obiad, z drugiej pani nauczycielka pokazuje cię palcami". Zabudowa osiedla na swój sposób przyczyniła się do poznania przez Wall-e'ego swojej dziewczyny... „Historia mojej miłości jest bardzo prosta - moja dziewczyna ma największy taras na całej parafii, ponieważ stanowi on zadaszenie klubu seniora. Ona mieszkała na parterze, a ja na przeciwko na 10-tym piętrze, lubiła się opalać... Ja o tym wiedziałem, zabierałem lornetkę i polowałem, aż w końcu ją upolowałem".

SZKOŁA

Podstawówka Wall-e'ego to jedna z kilkudziesięciu wrocławskich szkół wybudowanych w myśl hasła „1000 szkół na tysiąclecie państwa polskiego", jeszcze do niedawna nosiła numer 33, obecnie przekształcono ją w gimnazjum. Idealnie wkomponowuje się w otoczenie bloków, gdyż jest po prostu połączeniem kilku prostokątów i kwadratów. Raper mówi z uśmiechem: „Ta szkoła wychowała mnie na prawdziwego rapera. Ponieważ mama mnie podglądała zawsze, paliłem jointy za murkiem, żeby mnie nie widziała". Wall-e tak naprawdę, jak palił jointy na parafii, to nie uciekał przed policją, tylko przed mamą, która mogła obserwować osiedlową aktywność syna z okien bloku ulokowanego tuż przy szkole. Dzięki tej bliskości raper mógł biegać na domowe obiady podczas długiej przerwy, ale i zgodnie z prawami Murphy`ego spóźniać się na pierwsze zajęcia.

BOISKO

Szkolne boisko było jeszcze do niedawna najśmieszniejszym tego typu obiektem w historii Polski, ponieważ na środku rosło drzewo, na którego wycięcie nie zezwoliły władze odpowiedzialne za zagospodarowanie terenu. Siłą rzeczy po paru latach umarło, ponieważ non stop ktoś je szturchał.

Kiedy rozmawialiśmy ,na boisku trener osiedlowy grał z chłopakami w piłkę nożną. „To jest mój były sparring partner, warto wiedzieć, młodzi kozanowscy hiphopowcy, którzy podorastali, zaczęli profesjonalizować się w innym kierunku, pomyśleliśmy, żeby pracować u podstaw. To jest istotne, teraz mamy własnych ludzi w radzie osiedla. Dzięki temu mamy siłownię, wydzielone miejsca, na których możemy robić to, co chcemy. Ten człowiek nie ma własnego życia, bo stał się trenerem osiedlowym i świeci przykładem. Grał z mistrzami w zochę w pierwszym oficjalnym klubie freestyle footbag, który zresztą miałem przyjemność współzakładać, bo promowałem to jakby od zarania dziejów."

TARAS

„Na tym osiedlu rozwijały się hiphopowe znajomości. Kiedy Magiera był jeszcze skaterem, przyjechał na desce do Laski i tu zaczął się White House Records. Znajdujemy się przy najważniejszej dla rozwoju hip-hopu ulicy na Kozanowie - Dzielnej." Stoimy na betonowym tarasie nadbudowanym nad garażami wzdłuż jednego z bloków pomalowanych na fantazyjne kolory - od fioletu, przez róż do bieli („kto jest odpowiedzialny za te barwy? Trudno mi to ogarnąć, myślę, że wiedzieliby to ci, którzy pozbywali się rezerw farby"). To tu „paliły się kubły, my robiliśmy szablony w stylu „House of Pain", był rok 92-93 i cała parafia była zarażona potężną dawką rapu. Mogliśmy palić tu jointy, grać w karty, nie skłamię, jeśli powiem, że dobre milion razy były tu rozgrywane partie szachowe. Obywatel Laska robił pierwsze bity, pierwsze rapy. Od małolata pełna zajawka – kolesie w kapturach, szerokie spodnie - to było zajebiste. W tej betonowej dżungli naprawdę miałem zajawkę, że jesteśmy jednymi z pierwszych, bo wtedy wszyscy nie wiedzieli co to, kurwa, jest."

Mijamy okna mieszkań, które jakiś pomysłowy architekt umiejscowił tylko odrobinę ponad poziomem tarasu. Wall-e pokazuje na nie i mówi „Big Brothera widziałem już wiele lat wcześniej, ponieważ miałem okazję obserwować życie tych, których nie stać było na żaluzje, nie wiem, kto to zaprojektował... Ci ludzie musieli być świadkami tylu rzeczy. To jest właśnie dobre i charakterystyczne dla tej parafii - wszyscy milczeli."

PARK

„Cała moja dzielnica jest piękna, ponieważ wszędzie dookoła jest park. Po prostu środek lasu został wykarczowany. Tereny były żyzne i bardzo dobre, ponieważ hitlerowcy zrobili tu zbiornik retencyjny. To kolejny ewenement architektoniczny, w żadnym innym miejscu na świecie nikt nie zgodziłby się, żeby wybudować w takim miejscu czterdziestotysięczne osiedle. Dowodów było niemało, że mamy przerąbane. Kiedy w 1997 była powódź, na mojej dzielnicy było do 9 metrów wody.

W parku okalającym Kozanów jest stary cmentarz. Wszędzie można znaleźć groby, w większości Niemców i Żydów, oni byli tu chowani, a mimo to nikt nie uszanował ich prywatności. Kiedy budowano te bloki, myślę, że często budowniczowie natrafiali na ludzkie kości. Interesowałem się historią, więc wiem to na pewno. Znam zresztą wielu kopaczy, którzy wykopali z tych terenów różne rzeczy..."

Park w jednym miejscu przecina promenada wybrukowana jeszcze za niemieckich czasów kostką i obsadzona drzewami, które powoli zaczynają tracić kolorowe liście. Stąd wyruszamy obejrzeć jeden z zachowanych obiektów świadczących o poprzednim wykorzystaniu terenu. Wall-e kontynuuje opowieści o swojej dzielnicy... „Często jak się jest hiphopowcem na osiedlu, to ma się problemy z policją. Różne



ucieczki, te sprawy. Ważna jest więc możliwość ukrywania się. W naszym przypadku było o tyle korzystnie, że żaden policjant nie zna tego parku tak dobrze, jak my. Są tu miejsca, w których można się było ukryć, do których można było uciec, miejsca, gdzie można było coś schować. Tu były nawet takie wydrążone wielkie drzewa, w których można było się schować samemu. To jest zupełnie inna opcja, niż większość ludzi mogłaby sobie pozwolić, tu można było naprawdę zniknąć". Docieramy w końcu do odrestaurowanego pomnika anioła z wyrytą na cokole sentencją „AUCH DER SCHMERZ IS GOTTES BOTE" (także ból jest bożym posłańcem).

Oprócz cmentarza na tych terenach znajdował się jeszcze inny, znacznie młodszy, równie tajemniczy obiekt. „Za parkiem w stronę rzeki mieści się była jednostka radziecka. Oni tam sobie urzędowali, w większości zajmując stare niemieckie zabudowania, z tym, że nic nie odkrywali, nie odpompowywali wody, w ogóle ich to nie interesowało. W podziemiach jednostki (obecnej komendy policji) istnieją trakcje kolejowe, prowadzące aż do Brzegu Dolnego, gdzie wodowano pierwszą część zbudowanego w miejscowej fabryce u-boota.

BASEN

Ostatnia miejscówka to jedno z popularniejszych miejskich kąpielisk – basen na ul. Wejherowskiej. „Latem wszyscy wstają rano i przychodzą się tu przylansować. W upalne dni staje się on miejscem spotkań parafii. Każdy mógł tu przez chwilę poczuć się jak w Acapulco. Skoczyć sobie z dużej wieży na głowę, pokazać dziewczynom, że ma supergibkie ciało, zrobić 4 salta i ochlapać panny opalające się obok. Ja tu niezmiennie przychodziłem z chłopakami rapować i palić."

.:tekst Cess:.
.:foto tsf (Adrian Ciesielski/Bartek Buśko) oraz Cess:.



sztuka władania słowem

część 06

Wigor Mor W.A.

Witam wszystkich wytrwałych czytelników oraz tych, którzy pierwszy raz mają okazję rzucić okiem na mój felieton poświęcony polskiej muzyce rapowej. Szósta część odbiegnie trochę od dotychczasowej konwencji i poruszy tematykę w inny sposób.Tym razem nie będę się koncentrował na sprawach technicznych tylko mentalnych.

Długo zastanawiałem się, w jaki sposób naświetlić wam mój punkt widzenia ze strony samego rapera co do treści tekstów i ich przeznaczenia. Otóż nie będę się odnosił, przynajmniej na razie (zobaczymy jak będzie dalej) do tekstów innych twórców, tylko opowiem historię twórczego procesu na przykładzie własnym i moich współtowarzyszy z Morwy.

Jak już się domyślacie, przedmiotem dzisiejszego artykułu będą pierwszoplanowe sfery tekstowe. Z własnego doświadczenia wiem i dobrze pamiętam, że pisanie tekstów przyszło do mnie samo w sposób naturalny już bardzo dawno, bo ponad 10 lat temu. W szkole raczej nie świeciłem intelektem, dużo rozrabiałem, a z polskiego zawsze miałem problemy - przede wszystkim z ortografią. Na przekór temu zapisywanie kartek swoimi przemyśleniami, ale również tekstami o zabawie samym słowem sprawiało mi dużą frajdę. Wychowałem się na warszawskim Ursynowie, gdzie w młodym wieku wraz z grupą kolegów zawsze mieliśmy w głowach spontaniczne, wariackie pomysły. W konsekwencji nie potrafiłem usiedzieć długo w jednym miejscu.

Nauka zawsze była na końcu, no chyba, że coś wyjątkowo przykuło moją uwagę. Wynikiem mojego ciągłego beztroskiego życia był brak regularnego czytania książek, ponieważ albo byłem już zmęczony albo w głowie miałem jakieś inne pomysły. Dzisiaj też nie znajduję na to zbyt wiele czasu, ale wiem już, że oczytanie to naprawdę istotny element w twórczej egzystencji. Owszem, z życia codziennego można wiele wyłapać, ale to, co mówi telewizja czy radio, to zazwyczaj ta sama papka podana jedynie na kilka różnych sposobów. (Czasem w mediach trafi się coś ambitniejszego, ale trzeba wiedzieć, jak umieć z tego skorzystać). Przede wszystkim czytanie porusza twoją wyobraźnię, a nie podaje gotowego obrazu na tacy. Sam wyobrażasz sobie opisywane sceny, wizualny przebieg fabuły czy też wygląd bohaterów, a przy tym pochłaniasz jakże cenne literki, wyrazy, a w konsekwencji pełne zdania napisane mądrze i w dobrym stylu. (Wiadomo, że nie każda książka może się do takich zaliczać, lecz jest wielu twórców - również polskich – którzy potrafią naprawdę dawać do myślenia, a zarazem uczyć i rozwijać intelektualnie!). Im większy zasób słów tym większa oryginalność oraz bardziej sprawna wyobraźnia. Tutaj właśnie upatrywałbym kluczowego zagadnienia związanego z procesem twórczym współczesnych tekściarzy. Ludzi pozbawionych wyobraźni nie trudno poznać po ich szablonowych, niczym nie urzekających, nudnych tekstach, ale wiadomo, że od czegoś zacząć trzeba. (Z drugiej strony nawet niezły tekst słabo zarymowany jest trudno przyswajalny.) Tu zaczyna się robić problem, ponieważ młodzi twórcy mają coraz bardziej zawężony krąg tematyczny i często piszą teksty podobne do tych, które już były albo dokładnie o tym samym tylko w postaci zmienionych słów. Takie kawałki przestają kogokolwiek ruszać, ponieważ brak w tym powiewu, jakiejś nowości, świeżości no i co z tym fantem? Za dawnych czasów, kiedy dopiero rodziła się warszawska scena i wciąż przybywało nowych kawałków, wszyscy zwracali szczególną uwagę na treści tekstów innych raperów. Była taka niepisana zasada, że jeżeli ktoś użył konkretnych rymów w danym zestawieniu, to nikt inny nie powinien tego powtarzać ze względu na to, że ktoś wpadł na to pierwszy. Z czasem oczywiście to się zatarło, ponieważ nikt nie ma monopolu na słowa, ale ta lekcja była przydatna i nauczyła szukać patentów na własną rękę, wprowadzać coraz to szerszą gamę wyrazów, a nie sugerować się kawałkami innych. Słowa to tylko słowa – zawsze będą się powtarzać, chociaż na pewno wiele jeszcze nie zostało wymienionych, choćby ze staropolszczyzny, wiele słów jeszcze się narodzi, ale chodzi o to, by wykorzystywać je wciąż w nowych kontekstach. Jakiś czas temu miałem okazję poznać kilku raperów, którzy twierdzą, że wolą nie słuchać polskich płyt rapowych, gdyż nie chcą się sugerować, a nawet wręcz im się nie podoba, co robią inni. Uważają, że wyrażają samych siebie i że nie ma mowy o plagiacie. Nawet jeśli jakiś raper zrobił wcześniej coś podobnego, on przecież nie musiał tego słyszeć. Z logicznego punktu widzenia mogę się po części z tym zgodzić, ale nie rozumiem, jak można być tak ograniczonym w stosunku do innych rodzimych wykonawców?

Ja jestem wręcz zagorzałym zwolennikiem słuchania innych produkcji, ponieważ te, które trafiają w moje gusta, są w stanie pozytywnie oddziaływać na moją dalszą twórczość. Istotnym elementem są również nawiązywane koneksje przez raperów, których drogi spotkały się dzięki tej muzyce i kulturze, dzięki czemu w dalszej fazie mogą oni tworzyć zadziwiające połączenia i wzajemnie mieć na siebie bardzo korzystny wpływ. Każdy z nas widzi ten sam świat, ale trochę innym spojrzeniem. Wiadomo, że ludzkie charaktery się powtarzają. Ludzie o podobnych poglądach dobrze się rozumieją i od razu odnajdują w sobie bratnie dusze. Dlatego nie ma nic lepszego jak kilka spojrzeń na jeden aspekt, czego wynikiem jest wzajemne uzupełnianie się. Wróćmy jednak do tych, którzy dopiero zaczynają albo piszą od niedługiego czasu i nie mają jeszcze na kącie żadnych oficjalnych nagrań. Jeżeli w jakikolwiek sposób jesteście w stanie zasugerować się tym, co chcę wam powiedzieć, to pójdźcie za moją radą i starajcie się słuchać maksymalnie dużo polskiego rapu! Jeżeli nie przerobiliście klasyki, to zróbcie to natychmiast i porównajcie ją z dzisiejszymi poczynaniami raperów, którzy zaczynali dużo wcześniej. Zwróćcie uwagę, jak ewoluowały głosy, wykonanie, podziały rytmiczne i pomysły melodyczne, a przede wszystkim treść kawałków. Z perspektywy czasu nasunęło mi się kilka istotnych walorów, jakimi powinien charakteryzować się mc. Dobry raper to ten, który wciąż próbuje zaskoczyć samego siebie, a w rezultacie słuchacza. Dobry raper szuka wciąż nowych dróg swojego progresu, nowych tematów - najlepiej konkretnych wątków sytuacyjnych ocierających się o jego prywatne doświadczenia. Dobry raper poświęca każdą wolną chwilę na pracę nad stylem, kolejnym tekstem i pracę studyjną. Dobry raper to przede wszystkim dobry obserwator życia codziennego, który ma oczy dookoła głowy i widzi więcej niż potencjalny przechodzień. Dobry raper powinien być otwarty na ludzi, umieć nawiązywać kontakty, a zarazem być dobrym psychologiem.

Tak pokrótce mogę zdefiniować podstawowe cechy rapera, a wiadomo, że jeszcze kilka by się znalazło. Na koniec chciałbym w skrócie opisać własny i Morwowy rozwój rapowy.

Jedną z naszych filozofii związanych z nazwą zespołu jest fakt, że przy użyciu drzewa Morwy powstała w Chinach pierwsza na świecie kartka papieru. Ta przenośnia oznacza, że zawsze przekaz naszych kawałków stawialiśmy na pierwszym miejscu. Pierwsza płyta, jaką napisaliśmy, nie obfituje może w jakieś wybitnie nietypowe tematy, ale chodziło nam właśnie o to, by były one adekwatne do tytułu płyty „Te słowa mówią wszystko". Na tamten czas chcieliśmy podzielić się ze słuchaczami tym, co nas motywuje, tym, co nas smuci, czym jest dla nas pojęcie szczęścia, tym, co nas ze sobą cementuje, tym, jak rozumiemy pojęcie życia i śmierci, tym, jaki mamy stosunek do polityki, jak postrzegamy płeć piękną, jak odnosimy się do pieniędzy, a w rezultacie na ile jesteśmy konsekwentni w tym, co robimy. Pierwsza płyta to był dopiero punkt wyjścia w naszej twórczości, więc podeszliśmy do tego tematu w miarę ostrożnie, z góry jednak tego nie planując.

Z tego miejsca nasuwa się jedna rzecz. Tematy zawarte na nagrywanej płycie powinny ze sobą w jakikolwiek sposób współgrać tworząc jedną całość. Rozmieszczenie tematyczne też robi swoje i stopniowo wprowadza słuchacza w świat danego twórcy. Dlatego, moim zdaniem, płytę powinno się słuchać od A do Z - tylko wtedy można stwierdzić, na ile jest dobra w całości i czy jest spójna.

Druga nasza płyta „Morwa Drzewo", była już krokiem odważniejszym, zarazem stanowiącym konsekwencję poprzedniej. Myślę, że pod kątem treści utworów nasz styl ewoluował. Każdy nagrał solówkę, co do tej pory nie miało wcześniej miejsca, oprócz kawałka „Alter-ego" Łyskacza z pierwszej płyty.

Na tym albumie pojawiło się również więcej wątków sytuacyjnych, a także głębszych metafor, których zadaniem było wspomniane uruchomienie wyobraźni słuchacza. Zawsze liczyliśmy się z tym, co chcemy przekazać naszym odbiorcom, ponieważ nigdy nie chcieliśmy zostać źle zrozumiani.

Jesteśmy tak samo ludźmi z krwi i kości, dlatego liczymy się z ogromem odpowiedzialności, jaki na nas spoczywa. Nasza trzecia płyta jest skierowana do Wiernych Słuchaczy polskiego rapu bez względu na wiek i czas, w jakim każdy poczuł do niego zamiłowanie. Nie bez powodu czujemy się współodpowiedzialni za rozwój tej kultury w naszym kraju i dobrze nam z tym.

W roku 2005 na dziesięciolecie naszej pracy planujemy wydanie aż 4 płyt. Wszystkie projekty są już w zaawansowanym stadium rozwoju. Wszystkie informacje na ich temat pojawią się już wkrótce na naszej stronie www.morwa.pl. Dodatkowo będą tam do ściągnięcia wszystkie artykuły „sztuki władania słowem", które do tej pory napisałem.

Co będzie dalej, tego nie wie nikt? „To dla słuchaczy jest, to dla słuchaczy".

.:Wigor:.

db

deobe & dena



Wasza płyta to efekt zestawienia dwójki ludzi o trudnych charakterach.
Deobe: Zależy od tego, co uważasz za trudny charakter. Dogadywaliśmy się, więc aż takie trudne nie są. Natomiast jesteśmy zupełnie inni, Dena to spokojny domator, ja imprezowy typ, więc trzeba było to wypośrodkować, żeby wyszło.

A kto szedł na większe kompromisy?
Dena: Tak się miło złożyło, że nie było dużych kompromisów.
Deobe: Bo się na wszystko zgadzałem (śmiech).
Dena: Od początku był taki układ, że ja dyktuję wszystkie warunki, a on się na nie zgadza. A tak naprawdę, to ja wysyłałem podkłady, Daniel mówił do którego nagra, a do którego nie.

Nagrywaliście sporo czasu, zdarzały się sytuacje, że płyta wisiała na włosku?
Dena: Problemem był czas. Miewałem go mało na muzykę, choćby z powodu szkoły. Zdarzały się zatory, takie że miesiąc nic nie robiliśmy.
Deobe: Dena nie wysyłał mi nic nowego, albo słał beaty które mi nie pasowały. Miałem moment, w którym nie wiedziałem, czy to pójdzie dalej. Ale jak już ruszył, robił podkład co pięć minut (śmiech).

To współpraca zasłużonego producenta z nowym na scenie raperem. Deobe, czy nie było tak, że Dena traktował cię jak kolejny sampel, mocno wpływał na to, jak masz nawijać?
Deobe: Nie wpływał, ale nie ulega wątpliwości, że skoro siedzi w tym dużo dłużej, ma większe doświadczenie, to sugerowałem się jego podpowiedziami i dużo mi pomogły. Ale to nie było tak, że wziął i pociął mnie jak sampel, że zrobił to tak, jak chciał.

Dena, jakie były twoje odczucia, kiedy usłyszałeś pierwszą zwrotkę Daniela?
Dena: To było dawno, nie pamiętam najlepiej. Skoro zdecydowaliśmy się na współpracę, on nagrał, a ja chciałem dalej to tworzyć, to znaczy, że w miarę pozytywne.
Deobe: Trzysta złotych chciał za beat! Co w tym pozytywnego (śmiech)?
Dena: To było wtedy, kiedy przysłał mi swoje demo. Ale kiedy nagrał pierwszą zwrotkę ze mną, to nie chciałem już trzech słów. Robiliśmy to razem bez pieniędzy.

Ok, Daniel, co pomyślałeś, kiedy chciał cię skasować na 300 pln?
Deobe: Że to za drogo, jak na takie beaty (śmiech). Nie znałem ludzi ze środowiska, u mnie w Piastowie nikt nie robił beatów, a jak robił, to takie, że mi nie pasowały. Miałem robić album z Kadą, ale jakoś nie wyszło. Pomyślałem – OK, może rzeczywiście zapłacę, jakoś się uzbiera. Ale w końcu doszliśmy do wniosku, że zarobimy wspólnie, dzieląc się tym, co zapłaci UMC.

Z tego co wiem, hip-hop jest dla Ciebie hobby, masz dobrze płatną pracę. To luksusowe podejście, ciekawe czy Dena je podziela?
Dena: Chciałbym, żeby było to hobby. Tylko, że mc potrzebuje nieco mniej czasu, chodzi cały dzień, ma swoje spostrzeżenia, a kiedy przyjdzie mu pomysł na kawałek to usiądzie i napisze go za jednym razem, jak ma rzut weny. Producent ma na głowie dużo więcej rzeczy, np. aranżowanie, nagranie rapera, zrobienie beatu, na który składa się zdobycie sampli, zawsze masz ochotę na coraz lepszy sprzęt i tak dalej, co pociąga za sobą duże koszty. Takie hobby kosztuje dużo czasu, który mógłbyś pożytkować na inne rzeczy, takie jak zdobywanie pieniędzy. Błędne koło.
Deobe: Dobrze płatna praca? Średnio płatna. Wolałbym mieć hajs z rapu, a nie siedzieć osiem godzin w biurze i napierdalać w klawiaturę i rozmawiać z klientami. Ale na razie starcza na waciki.

Nie jesteś więc fanem pracy wykonywanej na co dzień?
Deobe: W ogóle nie jestem fanem pracy. Cieszę się, że nie jest fizyczna. Jest ok, kiedy budzę się rano, nie myślę o tym, że najchętniej skoczyłbym przez okno, bo muszę tam iść.

Kiedy czekano na waszą płytę, można by się zastanawiać, w którą stronę pójdzie. Czy refleksyjną, taką w stylu „Pamiętam twarze ich", czy imprezową, „wesołą, spontaniczną". I wydaje się, że druga opcja zwyciężyła.
Deobe: Nie zgodziłbym się, imprezówki są ze trzy. Zgoda, ani beat, ani ja nie zamulam, ale treść idzie bardziej w stronę refleksji niż imprezy.
Dena: Single są lekkie, ale album wypośrodkowany. Choć na początku się bałem, bo wszystkie zwrotki testowe jakie przysyłał Daniel to była impreza, impreza, jeszcze raz impreza.

Skoro mówimy o pierwszym singlu. Może przynajmniej wam udało się zobaczyć nago dziewczynę z teledysku?
Dena: Nie. To było dogrywane później.
Deobe: To tak jakbyś usłyszał, że będziesz miał na klipie dziewczynę, która będzie tajnie tańczyła. Tego byś wtedy oczekiwał. A zobaczyliśmy pannę, która w produkcie finalnym wyglądała dużo lepiej, niż w pierwszej wersji, gdzie w jakimś gorsecie zapierdalała i wyglądała najgorzej. Z perspektywy czasu uważam, że nie powinniśmy się zgodzić na to, żeby ten teledysk poszedł.
Dena: Denerwuje mnie jedna scena. Jedziemy Mercedesem. Dla mnie reżyser jest od tego, żeby powiedzieć: zmień to, zmień tamto, w kamerze to wygląda tak i tak. Na planie nie było takiej współpracy, tylko: wsiądź, przejedź i tyle. Klip trzeba puścić, bo jest premiera płyty, a ja siedzę tam jak ze szczotką w dupie i boję się, żeby nie rozwalić felgi za dwa i pół tysiąca o krawężnik.

Nazwaliście płytę „www.deobedena.com". To przekorna nazwa, zwłaszcza, że internet kojarzy się w polskim rapie negatywnie, a tytuł zbiegł się dodatkowo z „mandaryna.com" żony Wiśniewskiego.
Deobe: W pierwszym klipie na końcu pojawił się ten link, i po ilości odwiedzeń na stronie widzę, że to miało sens. Oprócz tego, że poznaliśmy się przez Internet i jest to odniesienie do tej współpracy, jej zalążków, stanowi też dobre marketingowe podejście, a ja nie mam zajawek na wyszukaną nazwę.
Dena: To mój pomysł. Jeszcze gorszy byłby podpis naszej domeny pod nazwą na siłę. Mandarynę zobaczyliśmy, kiedy w sprawie tytułu było już postanowione i oczywiście mieliśmy polewkę. Internet jest źle postrzegany przez ludzi, którzy nie mają świadomości, jak z niego skorzystać w sposób pozytywny. Jeżeli traktujesz go tylko jako opanowane przez czternastolatków forum, to idą dissy. Część płyty powstawała przez Internet, wszystko sobie nim wysyłaliśmy.
Deobe: Wszystko światłowodem leciało z Grochowa do Piastowa.
Dena: Gdybyśmy mieli wysyłać to na płytach, trwałoby to pięć razy dłużej.

Dena, z kim pracowało Ci się najtrudniej: Z Eldoką, Eisem, Echo czy Deobe?
Dena: Przy współpracy z Danielem odświeżyłem wszystkie stare zajawki, nie gonił nas żaden termin, nie było żadnych pieniędzy, wszystkie wspólne nagrywki mieliśmy ze znajomymi, którzy jarali się tym taktem, nie trzeba było ich błagać. Tu nie było spięć, spięty byłem natomiast z Leszkiem, bo był znaną postacią i musiałem się ostro męczyć, żeby mu dorównać. Z Eisem było najtrudniej, mieliśmy różne poglądy, ale znaliśmy się od dawna. Kłóciliśmy się dużo przy tworzeniu muzyki, ale robienie czegoś razem dawało nam ogromną satysfakcję. Echo to początki, spontaniczna rzecz, nagrywana na beznadziejnych mikrofonach. Wszystko to było tajne.

Deobe, jesteś członkiem tzw All Star Team. Kada, Tek i Eskaubei pojawiają się na płycie, gdzie jest natomiast Pierrol, Moral i Tetris?
Deobe: Tetris miał być, nagrał zwrotkę do „Może naprawdę jestem", ale z racji na to, że wydawaliśmy w UMC, nie chciał pojawić się na albumie. Pytał mnie ostatnio, czy wypuszczamy remix na Internet. Z Pierrotem nie mogliśmy się złapać, wydawało się, że kiedy przeprowadzi się do Warszawy, wszystko z jego rapem się ruszy, natomiast wszystko padło, bo studiował i pracował po 18 godzin dziennie. Nie było z nim kontaktu, nie miał nawet komputera. Były próby, wysłałem mu beat nawet, ale brak czasu zaważył. Moral skupił się na swojej płycie. Oczywiście, miał się dogrywać... Ja dopiero teraz wiem jak to jest, kiedy mam wystąpić u kogoś. To nie jest prosta sprawa.

Słuchając „www.deobedena.com" można odnieść wrażenie, że dużo po niej oczekujesz, że wiele ma się zmienić, że staniesz się elementem rap biznesu. A jak jest naprawdę? Czujesz się gwiazdą?
Deobe: Trochę się zmieniło, są sytuacje, kiedy ktoś mnie rozpoznaje. Pojawili się hejterzy – tak jak u Morala, kiedy wcześniej udostępniał kawałki wszyscy się jarali, a kiedy wydaje płytę, mamy zastęp hejterów. Nie rozumiem tej zawiści. Co dalej... Widzę swoją mordę w telewizji, słyszę się w radio, niektóre rzeczy jest mi łatwiej załatwić, ludzie są milsi, a ja to wykorzystuję.

.:txt Flint (CS):.
.:foto Cess (CS):.





ZETO pracuje za dwóch

nowa twarz

To będzie krótka rozmowa z gościem ze wschodniej Polski. Typem, który mówi niewiele, robi zaś dużo. Przed wami Zeto – raper, producent, autor portalu www.elbeen.com, założyciel małego wydawnictwa Czy Jeden Rasss? Produkcja.

Działasz na scenie sporo czasu, pamiętam cię choćby ze składanki „Guos Ziemi Lubelskiej", kiedy stawiałeś pierwsze kroki jeszcze jako Esygreko Zeto. Co zostało ci w pamięci z tamtych wariackich czasów?

Pan od wuefu był denerwujący. Pamiętam, że nogę wtedy złamałem. To był hardcore na blokach, za dużo alkoholu, prawda. Młodzież, która to czyta, niech uważa na alkohol, bo to może być naprawdę niebezpieczne.

A hiphopowe kwestie? Magiczna atmosfera miasta Lublin, pierwsze składy, które teraz chodzą na pewno obwieszone platyną (śmiech)...

Czyli co? O sobie mam mówić (śmiech)? Nie wiem, naprawdę nie wiem. Pierwsze składy? No były, dużo ich było, dużo się pozmieniało.

Sporo rzeczy zmienia się na gorsze. Zwłaszcza na rynku wydawniczym. Pieniędzy jest mniej, satysfakcji mniej, scena jest, tak sam mówisz w jednym z utworów, autodestruktywna. A ty pchasz się w sam środek z wydawnictwem hiphopowym...

Wydawnictwo to zdecydowanie zbyt szumna nazwa. To pokój, w którym nagrywam pewne rzeczy, a potem staram się, żeby dotarły do słuchacza i tyle. Nie wiążę z tym planów biznesowych, nie oczekuję, że będzie z tego wielki label, dzięki któremu postawię sobie dom. To zabawa. Hobby.

Czyli nawet jeśli nie osiągniesz jakiegokolwiek sukcesu komercyjnego, wiele nie stracisz?

Nie. Generalnie pracuję, mam co robić. Nie ma presji, że nie starczy mi na czynsz, kiedy nie zagram koncertu.

Pierwszą płytą, którą starałeś się mocniej promować, było 2razyPe. Producent Puzzel jest z północy, raper PeeRZet z południa, ze Stalowej Woli. Przyczyniłeś się jakoś do zawiązania się ich współpracy?

Ci panowie skontaktowali się ze sobą wcześniej, ja zaś znałem Puzzla, który przedstawił mi materiał. Postanowiłem chłopakom troszeczkę pomóc w zaistnieniu.

PRZ jest raperem dość przyzwoitym, ale nie wnosi niczego nowego. Skąd pomysł, żeby na szersze wody wypływać właśnie z jego zwrotkami?

Opinia, że nie wnosi niczego nowego, jest twoją opinią. Dla mnie to młody zawodnik, który miażdży wielu starszych od niego. Po prostu dobry raper. Jeszcze na pewno pokaże wiele. Słyszałem już zresztą dwa tracki na nową płytę, zapowiada się na dużo, dużo lepszą od poprzedniej. Uważam, że warto pomóc zarówno jemu jak i Puzzlowi, producentowi naprawdę bardzo dobremu. Dlatego tak uczyniłem.

A czy ciebie, jako weterana nie denerwowało, że ten nieopierzony żółtodziób jest tak pewny siebie i się odszczekuje?

Czy ja wiem? Nie razi mnie to. Młodzi są w stanie pokazać wyższą klasę, niż wyjadacze z paroma legalnymi płytami na koncie. Tu dobrym przykładem jest też rAs z Zamościa, na pewno dużo pokaże. Tacy ludzie stanowią nadzieję na to, żeby hip-hop odżył prawdziwym brzmieniem, a nie... Nie dokończę...

Wiesz co? Sprawiasz wrażenie gościa, który pomimo „chujni na półkach", nawet w stanie totalnego załamania hh, robiłby to dalej. Kogoś z wielkim życiowym optymizmem.

Bo jestem optymistą. Może niepoprawnym, ale nie mam ciśnienia na zaistnienie, bycie gwiazdą. Nie mam żalu do ludzi robiących taki hip-hop jak teraz, ale wiem, że nie jest to, o co mi chodzi w muzyce.

Przyjechałeś do Warszawy z beatboxerami Al'Fatnujah na bitwę. Dotychczas ta dziedzina hip-hopu była u nas mocno zaniedbywana, nie uważasz?

Zgadza się, dlatego kiedy tylko poznałem chłopaków, postanowiłem zadziałać, jakoś ich wypromować. To jeden z elementów hip-hopu, który powinien być traktowany na równi z innymi, z dj'ami, z mc's. Ci ludzie często potrafią zrobić więcej i to bez pomocy żadnego sprzętu. Na pewno jest to bardzo ciekawe, choć nie bardzo potrafię się na temat tej sceny wypowiedzieć, bo nie śledzę jej dokładnie. Ucieszyłem się, że mam okazję poznać to wszystko lepiej, od środka.

Czego można się spodziewać na płycie, którą wspólnie przygotowujecie? Na pewno miksu beatboksu z pozapraszanymi raperami...

Tak. Będą pojedyncze sety chłopaków, mamy też plan na raperów rymujących pod to, co oni robią oraz wokalistki, które mają śpiewać do beatboksu. Sam jestem ciekaw, jak to wyjdzie.

Słyszałem twój ostatni solowy album, wiem też, że działasz w grupie FORT-E. To dwóch innych Zetów, czy raczej coś podobnego, z tym że pod innym szyldem?

„Dziennik" powstał przy okazji tworzenia materiału FORT-E. Drugi członek zespołu miał chwilowy zastój, ja zaś postanowiłem zebrać pojedyncze zwrotki, podopisywać kolejne i w ten sposób wyszła płytka, nagrałem ją całkowicie spontanicznie w ciągu pięciu dni. Na skupiającym dwa różne charaktery FORT-E będzie mniej osobiście, za to bardziej uniwersalnie.

W Lublinie coś się ruszyło, głównie za sprawą freestyle'owców stawiających jego nazwę na zawodach.

I bardzo dobrze, że się ruszyło. Cieszy mnie, że też ci, którzy nie są moimi dobrymi współpracownikami, rozwijają się, grają koncerty po całym kraju, uczestniczą w zawodach, że wzięli sprawy w swoje ręce i udało im się jakoś zaistnieć.

Zajmujesz się beatami, rymami, wydajesz to wszystko, okazjonalnie robisz za szofera (śmiech), a w dodatku animujesz scenę regionu.

Oj, to za mocne określenie. Scena istnieje i beze mnie. Ja byłem mocno widoczny wcześniej niż inni. A tak, to nie jestem animatorem. Nie organizuję imprez, robią to inni ludzie. Nie jestem mentorem czy guru. Prowadzę portal, któremu zarzucano subiektywność i było w tym trochę racji. Z drugiej strony zespoły z Lublina mają żal, a często nie potrafią przystać prostej informacji na swój temat. Miałem parę „internetowych dissów", które wyjaśniły się w rozmowie osobistej i ci ludzie diametralnie zmienili pogląd na mój temat. Nikomu nie odmawiam szansy na zaistnienie na scenie. Stanowię tylko jej element, może bardziej pracowity, w niektórych sprawach bardziej zaradny, ale nic więcej. Po prostu wypuszczam i promuję płytki.

A propos – czego możemy oczekiwać?

Najpierw będzie „FORT-E PROMO", kiedy ludzie to czytają, powinno być dostępne. „rAs i Najsbit – rAsgrzewka", potem zaś Al'Fatnujah. Czekam też na gotową składankę Puzzla „+1dB". Na ten rok chyba tyle.

I tak dużo. Poza szeroką działalnością hiphopową i pracą masz czas na cokolwiek?

Szczerze mówiąc, właśnie olałem studia. Moja doba ma tylko 24 h jak u każdego innego. Ja staram się wykorzystać je konstruktywnie. Tworzyć, nie tylko gadać.

Poczuwasz się do bycia lokalnym patriotą?

Trudno powiedzieć. Urodziłem się w Lublinie, trzy lata w nim mieszkałem, po czym wyprowadziłem się na czternaście do Białej Podlaskiej. Wróciłem pięć, sześć lat temu. Wbiłem się w klimat, ale nie mam, jak to się mówi, „ziomów z osiedla", z którymi podrywałem pierwsze dziewczyny i piłem pierwsze piwo. Szanuję Lublin, ale nie czuję wielkiego związku. Nie liczy się skąd jesteś, ale kim jesteś.

Z tego, co wiem, Białej nie wspominasz najlepiej?

Ludzie są różni, zależnie od tego, kogo się spotyka. Nie wspominam tych lat jako cudownych, ale też nie mam jakichś traumatycznych wspomnień.

Czego byś sobie życzył na przyszłość?

Dobre pytanie. Więcej obiektywizmu u ludzi. Chciałbym, żeby był pokój na świecie i dzieci nie głodowały w Etiopii (śmiech).

Spokojnie, póki co nie startujesz w konkursie Miss Polonia (śmiech).

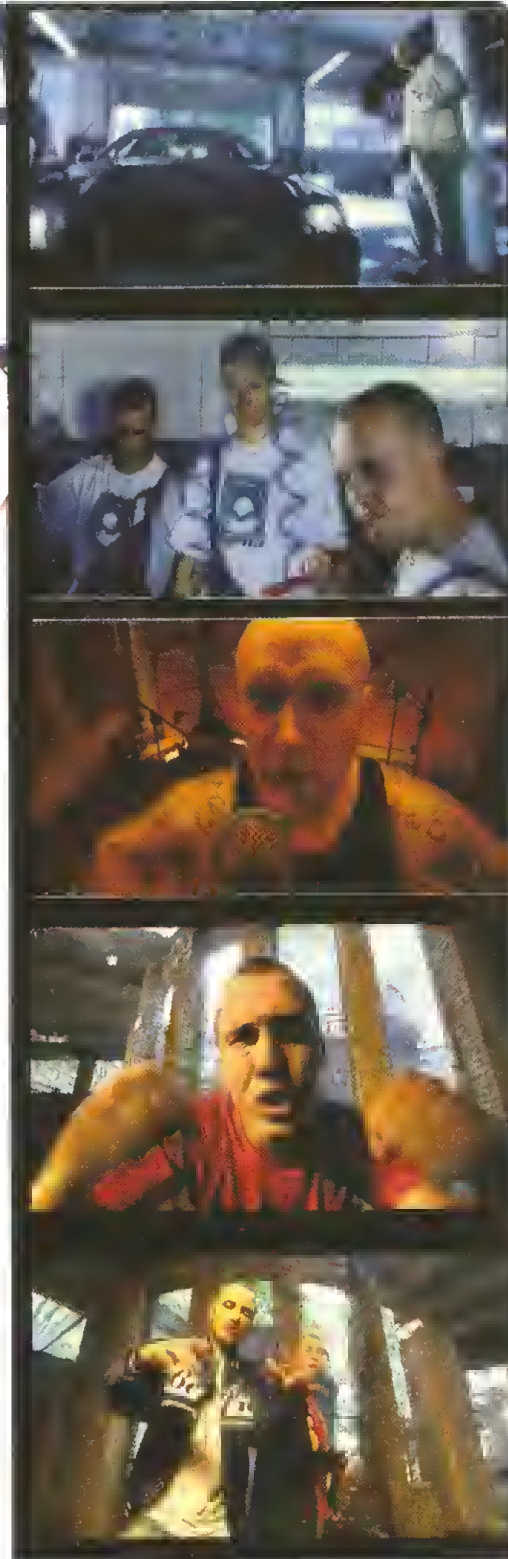
Przede wszystkim więcej czasu. Resztę sobie zorganizuję.

.:txt Flint (CS):.
.:foto Cess (CS):.

Więcej informacji o działalności Zeta znajdziesz na stronach www.311pro.com i www.fort-e.com.

NOWE KLIPY

RED ANT FILMS



Elo!

Jesień zagościła na dobre, a wraz z nią jesienna deprecha... Czerwona Mrówka z wielkim dołem zaczyna artyk...

OWAL & MEZO „Rapteatr"

Ten klip to zdecydowany faworyt ostatniego miesiąca! Jedno spojrzenie w ekran i obraz wciąga bez reszty. Zdjęcia są zrobione z pomysłem, ale to nie one... Światło jest dobre, ale to też nie o światło chodzi... Chodzi o montaż. Oglądając ten klip od razu czujemy „serce i duszę" montażysty. Obrazy zmieniają się w szalonym rytmie idealnie podkreślając muzykę, a ilość zdjęć pokazywanych na sekundę momentalnie przykuwa uwagę. Dodatkowo dynamiki dodaje ciągły ruch kamery. Prowadzenie kamery i ujęcia są bardzo charakterystyczne dla tej grupy filmowców (a może tylko jednego filmowca??? Niestety RedAnt nie wie „kim oni są..."). Można tu już powoli mówić o stylu. W klipie można zobaczyć spore zróżnicowanie planów, jednak przy takim tempie cięć, zwykle szybko pustoszeje „magazynek" montażysty i zaczynają się powtórzenia... Tu też tak się stało. Ujęcia, a co gorsza smaczki również, powtarzają się! Jak wiadomo – co za dużo to nie zdrowo – więc po trzecim oglądaniu zaczyna mi to przeszkadzać. Zaznaczam, że po trzecim oglądaniu pod rząd. Nie jest to sytuacja normalna i możliwa przy zwykłym oglądaniu telewizji muzycznych. No chyba, że coś się zatnie...

Brakuje mi w polskich klipach przyłożenia uwagi do osoby didżeja przez reżyserów, operatorów i w końcu montażystów. Dj zwykle gdzieś stoi albo jedzie, sfilmowany w szerokich planach i w jakimś bliskim i „juch". Ludzie, przecież Dj to palce, dłonie, skupienie na twarzy, dymiący krosfejder i podrapane płyty. Dj to pasja, błysk w oczach, to czysta energia... A w większości naszych krajowych klipów Dj to statyczny „koleś"... Dlaczego takie fajne skrecze, proszące się o przyspieszenie i nadanie innej stylistyki montażowej, zostały tak brutalnie stłumione tempem całości? Tego nie wie nikt...

Ten klip robi jednak wrażenie i lubimy takie produkcje. Mamy nadzieję, że zobaczymy więcej obrazów spod ręki tego tajemniczego Pana M (M od montażysty, a nie od Meza – przypis red.).

MOR W.A. „Rap jak znalazł"

No i proszę bardzo, kolejna produkcja chłopaków z Morwy. Autorzy teledysków coraz mocniej napierają na grę aktorską wykonawców i nie ukrywam, że coraz lepiej to wychodzi. Twórcy osadzili naszych bohaterów w dość niezwykłym serwisie samochodowym. Już miałem nadzieję, że zobaczę Łyskacza, Pepera, Wigora i Miniego umorusanych w smarze nad silnikiem pięknego samochodu pięknych pań, a tu niespodzianka, a raczej jej brak: nasi mechanicy nie odnajdują się w takiej rzeczywistości, co w miarę upływu czasu widać coraz bardziej. Niezwykły warsztat jak i niezwykła dla nich rzeczywistość, w której się znaleźli, to skrzętnie uknuta intryga autorów klipu, pokazująca nieporadność naszych raperów i całkowity brak możliwości przystosowania do takiego stanu rzeczy. Kiedy natomiast miejsce akcji zmienia się w studio nagrań, odżywają w nich emocje i potęguje się zaangażowanie, a przy tym oczywiste staje się stwierdzenie „Właściwy Menciu, na właściwym miejscu". Co do kolejnego występującego w tej produkcji miejsca akcji, jakim jest laweta i jadące na niej cale MOR W.A. nie ma wątpliwości, że to dość sprytne połączenie wątku motoryzacyjnego, a jadąca za nią kawalkada jednośladów, to dowód poparcia dla tego typu transportu... Jeśli miałbym się czegoś czepiać, to na pewno przyczepię się do momentów, kiedy Dj Mini pokazuje kunszt swojej działki, a w obrazku nuda jak cholera! W kanale, na lawecie czy też w studio nuda i tyle. To kolejny polski klip, w którym zaniedbuje się „solo" Dj'a... Boli małe zróżnicowanie planów i troszkę monotonny montaż. Pomimo tych subiektywnych uwag klip jest warty polecenia.

No i mrówka z dołem kończy... Nara.

.:RED ANT:.
redant@op.pl



Teka to przedstawiciel podwarszawskiego Piaseczna. Chociaż jest młody, jak sam przyznaje tworzeniem rapu zajmuje się już niemal 10 lat (pierwsze próby datując na rok '95). Jego debiutancka solówka ukazała się na rynku na początku tegorocznych wakacji, jednak nie był to jego pierwszy krok w showbusiness. Zanim zdecydował się na pełnowymiarowy solowy materiał sygnowany własna ksywką, był współautorem kilku singlowych numerów, takich jak „Kaseta, Płyta, Podkład/Nic Tanim Kosztem" (Teka/ Żądło), czy „Skamieniali" Trzeciego Wymiaru.

Płyta „Chcę więc potrafię" trafiła do sklepów po dość długim okresie przygotowań i mimo, że nie zawiera szczególnie rewolucyjnych treści od początku budziła kontrowersje wśród słuchaczy, znajdując swoich zaciekłych obrońców, jak i zagorzałych przeciwników i krytykantów. Sam materiał jest po prostu przekrojem fascynacji muzycznych Teki. Od numerów imprezowych, po opowiadane historie, bez szczególnych wzlotów, ale i bez upadków. Zestaw gości (rapowo - od Piha i Tymiego, przez warszawskie podziemie, na Haście i Trzecim Wymiarze kończąc, producencko - Camey, sam Teka, czy choćby Mes) wskazywać mógłby na gwarantowany sukces, jednak po wzroście popularności dzięki pierwszemu singlowi „Przestroga" nastąpiła cisza. Teraz Teka powraca - trzeci singiel, nowe produkcje na albumach Piha i Borixona, kolejne plany na przyszłość. Chcecie wiedzieć więcej? Przeczytajcie wywiad.

Warto przybliżyć niektórym czytelnikom twoje wcześniejsze dokonania. Zanim ukazał się solowy album, można było cię usłyszeć na składance „Pomysł goni pomysł".
Tak. Płytę wydał Camey po przesłuchaniu demówki. Wyglądało to tak, że już jakiś czas coś sobie „dłubałem", spotkałem znajomego - Remka, z którym założyliśmy grupę producencką Rafpak, stwierdzając, że możemy razem coś zrobić. Mieliśmy dojście do różnych ludzi związanych z tą muzyką. W połowie byli to znajomi, natomiast drugą połowę zaprosiliśmy przy pomocy znajomych pozyskując od nich telefony np. do Onara czy Jana. Ogólnie artyści chętnie się dogrywali, w rezultacie czego powstała ta płyta.

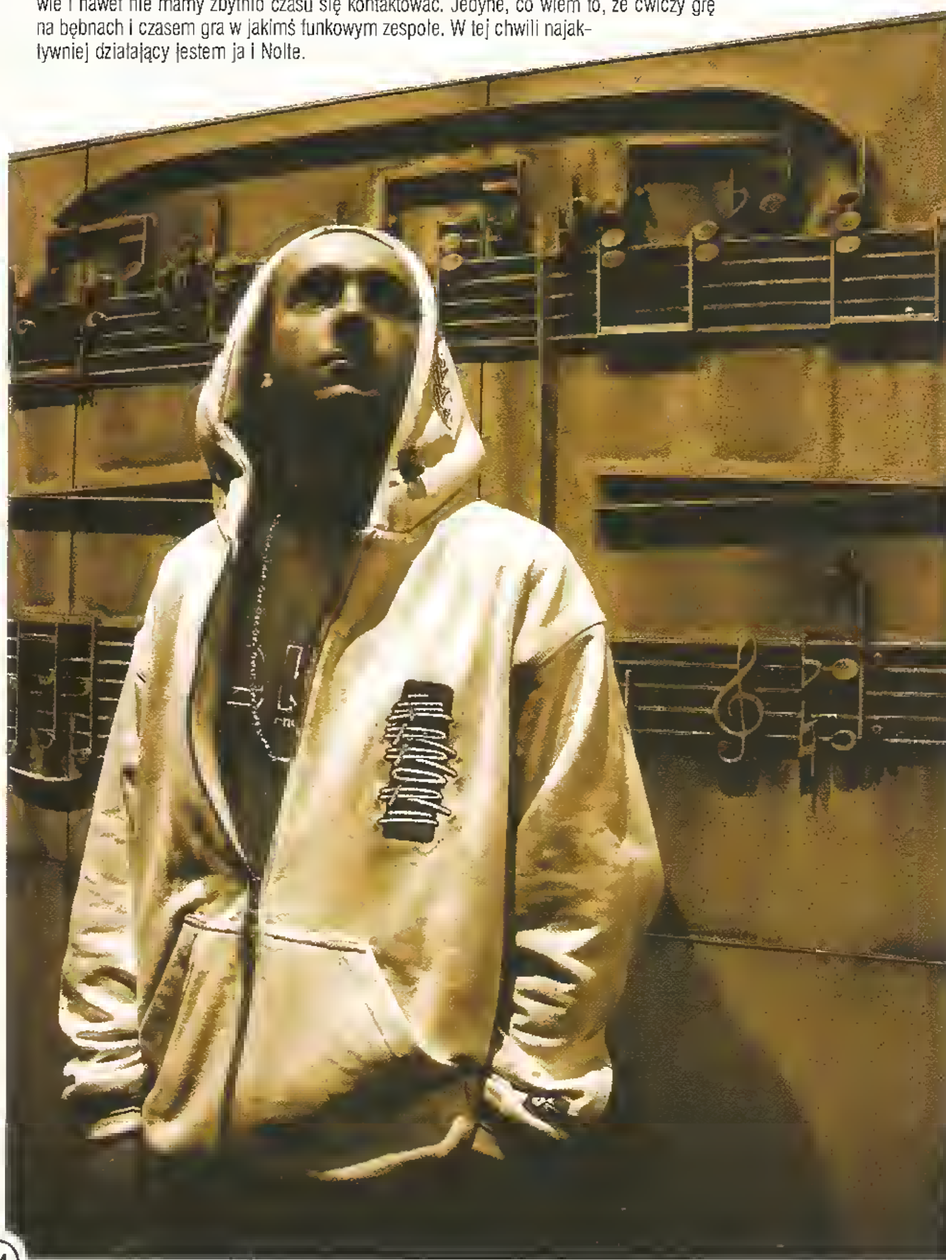
W tej chwili skład Rafpaku wygląda inaczej, zdaje się, że dołączył także Żółty...
Obecnie jest jeszcze Żółty i Nolte, z Remkiem chwilowo jest cisza, ma wiele spraw na głowie i nawet nie mamy zbytnio czasu się kontaktować. Jedyne, co wiem to, że ćwiczy grę na bębnach i czasem gra w jakimś funkowym zespole. W tej chwili najaktywniej działający jestem ja i Nolte.

Jest was coraz więcej na albumach różnych wykonawców, ale czy planujecie wydać jakąś wspólną składankę?
Początkowo miałem robić z Nolte coś w stylu insertu do gazety hiphopowej. Mieliśmy zrobić tam parę kawałków, ale czas nie pozwala na to ani jednemu, ani drugiemu. Mam nadzieję, że kiedyś usiądziemy we trzech razem z Żółtym, czy nawet i z Remkiem, o ile będzie mógł, i zrobimy coś. Na pewno nie będzie to na początku przyszłego roku, może pod koniec, jak każdy z nas skończy już swoje projekty.

Przed wydaniem solowej płyty byłeś rozpoznawany bardziej jako producent, niż MC. Kim czujesz się bardziej?
Wiesz co – to jest pół na pół. Jedno i drugie sprawia mi dużą przyjemność. Zarówno klejenie bitów, jak i pisanie tekstów i nawijanie pod te bity, aczkolwiek pod swoje nie lubię akurat nagrywać.

To dało się odczuć na Twojej płycie, raczej rzadko można znaleźć tam utwór nagrany pod twój podkład...
W ogóle to było tak, że nagrywałem początkowo pod inne bity, dopiero potem siedziałem w studiu i robiłem remiksy. Jakoś opornie idzie mi pisanie pod własne kompozycje, nie wiem dlaczego, po prostu tak mam.

Długo pracowałeś nad tym albumem?
Tak. Prace trwały ponad rok, mniej więcej zajęło mi to 1,5 roku. Sam materiał gotowy był już dawno temu, ale akurat wtedy Camey nie był zainteresowany wydawaniem czegokolwiek. Ja nie miałem innego wydawcy i ten materiał sobie leżał po prostu. Camey w końcu zaczął wydawać i powiedział, że teraz nadszedł czas na mój album. Do tego momentu dużo się już zmieniło, pierwowzór był zupełnie inny. Tamta płyta była dużo gorsza, z obecnego kształtu jestem bardzo zadowolony i niewiele rzeczy chciałbym pozmieniać, a jeśli już cokolwiek, to bardzo drobne rzeczy. Podstawową różnicą jest to, że dograliśmy znacznie więcej żeńskich wokali, doszło kilku gości, parę bitów podmieniliśmy, niektóre kawałki wywaliliśmy. Dużo pomagał mi Camey, dlatego, że mamy dość podobne gusta muzyczne. Często mi coś sugerował, ale nie na zasadzie, że muszę zrobić to i to, raczej w stylu, że tu może coś byśmy zmienili. Potem ja sobie siadałem w domu i słuchałem na spokojnie i jeśli rzeczywiście coś było nie tak - siadałem, zmieniałem. Opłacało się:).



teka teka teka teka teka teka teka teka teka teka teka teka teka teka teka teka teka teka teka teka teka

Dużo jest wokali dziewczyn z Chick's, szykujecie jakąś wspólną płytę?
Dziewczyny nagrywają w tej chwili album, wzięły się porządnie do roboty i myślę, że w marcu będzie gotowy. Ja miałem nagrywać razem z Cayrą, ale teraz należy raczej spodziewać płyty Teka/Tymi plus jakaś wokalistka, jeszcze nie wiemy jaka. Jesteśmy w fazie poszukiwań z tego względu, że obie rzeczy – moja i Tymiego oraz dziewczyn wyjdą w tym samym okresie i nie chcę dopuścić do takiej sytuacji, że dziewczyna dogra mi do większości utworów swoje wokale, a potem okaże się, że gramy koncerty w dwóch różnych miejscach w tym samym dniu i my zostajemy bez wokalistki. Aczkolwiek nie wykluczam, że w przyszłości będziemy pracować razem nad jakimś materiałem.

Na twojej płycie jest wielu gości, ale zwłaszcza obecność jednego może się wydać wielu słuchaczom dość zaskakująca - mam tu na myśli Jano, który ostatnio powraca do rapu...
Tak. Co prawda pojawił się z powrotem już wcześniej, ale niewiele osób o tym wie, bo dogrywał się na jakieś nielegale. Ja słyszałem już kawałki z nowej płyty i cóż mogę powiedzieć - stary dobry Jano. Ja się nim strasznie jaram, bo praktycznie, kiedy zaczynałem, wychodziły pierwsze albumy takie jak OMP. Pamiętam, że ich płytę strasznie skatowałem. Dla mnie to w ogóle był straszny zaszczyt, że osoby, których płyt kiedyś słuchałem i bardzo mi się podobały, teraz są na mojej płycie. To fajna sytuacja.

Długo musiałeś go namawiać?
Z Nowiakiem to było tak, że pracowaliśmy już razem przy „Pomysł Goni Pomysł". Jak zacząłem pracę nad solówką, zadzwoniłem do niego z propozycją nagrania na mój album, a on powiedział od razu: „dobra, nie ma problemu". Niebawem będzie o nim znowu głośno, ponieważ razem z Ośką szykują OMP.

Często w kawałkach odwołujesz się do konwencji storytellingu.
Tak. Lubię storytellingi. W moim przypadku są to ogólnie historie z życia wzięte, dotyczące w 90% ludzi, których znam, z którymi utrzymuję lub utrzymywałem w jakiś sposób kontakt.

A nie zdarzyło się, żeby ktoś miał jakiś żal, że opisałeś jego historię?
Aż tak nie jest. Wiem, że na przykład, jeśli chodzi o „Przestrogę", to z jedną osobą - tą, o której jest pierwsza zwrotka, w ogóle nie mam w tej chwili już kontaktu, natomiast postać z drugiej zwrotki widziałem ostatnio i pytała się, czy to przypadkiem nie o niej mowa. Pretensji nie ma. Ja opisuję to, co uważam za ciekawe, myślę, że ma to sens i mi się podoba. Nie sądzę, żeby te osoby miały zastrzeżenia, bo w końcu nie zostały wymienione z ksywki czy imienia i nazwiska.

Masz jakichś swoich mistrzów storytellingu, dajmy na to raperów ze Stanów, których słuchasz i wzorujesz się jakoś?
Ze Stanów raczej nie za bardzo. A pewno Slick Rick sieka dobre storytellingi i chyba tylko jego mogę wymienić w tej chwili. Natomiast jeśli chodzi o Polskę, to dla mnie mistrzem jak dotąd niepokonanym jest Fokus z Paktofoniki, który utworem „Czas" wymiótł chyba wszystkich dookoła.

Pracujesz w studiu u Cameya, zajmujesz się realizacją dźwięku...
To także. Ogólnie dużo rzeczy tu robię.

Czy edukowałeś się jakoś w tym kierunku?
Najwięcej nauczyłem się, kiedy pracowałem razem z Remkiem u jego ojca w Studiu 7 w Zalesiu (nad płytą „Pomysł Goni Pomysł") – jednym z lepszych tego typu obiektów w Polsce. Tam mogłem sobie dłubać, ćwiczyć, praktykować. Potem to już tylko doświadczenie wynikające z pracy. Dużo pomógł mi Camey, Bezik z Pnoumatika, często też pojawia się Radek Barczak realizator i muzyk, również bardzo pomocny. Żadnej szkoły w tym kierunku natomiast nie mam skończonej, ale myślę, że radzę sobie nieźle.

Zdarza się tak, że zwracasz uwagę raperom, którzy tu nagrywają, na zasadzie „słuchaj stary, jest OK, ale musisz poprawić jeszcze to, to i to"...
W sam materiał raczej nie ingeruję, ale za każdym razem trzeba coś troszeczkę zasugerować, zresztą dużo MC's wymaga od realizatora wyrażenia swojej opinii na temat nagranej zwrotki. Jeśli chodzi o wykonawców z Camey Studio, to znam ich możliwości i potrafię ocenić czy stać ich na więcej. Na przykład taki Borixon, jak wpada do studia, to ja wiem, kiedy mu idzie dobrze, a kiedy źle. Mogę mu powiedzieć „to jest źle, musisz nagrać jeszcze raz, jeszcze lepiej". Jeśli chodzi o nowych MC's, to zależy, kto nagrywa. U niektórych w ogóle nie wnikam w to, co robią, bo oni sami tego nie chcą, ale wiele osób się sugeruje tym, co im podpowiadam i raczej są zadowoleni.

A jak się czujesz, jak przychodzi taki Borixon, a ty mu zwracasz uwagę?
Wiadomo, to jest tak samo, jak on by mnie nagrywał - byłbym mu za to wdzięczny, bo jednak jak się jest w tej kabinie ze słuchawkami na uszach, to nie zawsze słychać to tak, jak w reżyserce. Taka chyba jest kolej rzeczy, od tego w końcu jest realizator, żeby wszystko poprawić tak, by było jak najlepiej.

Wracając do twojej płyty, zdarzyła się dość smutna sytuacja, kiedy już przed premierą dużo się o niej mówiło, bezpośrednio po premierze było też jakieś zamieszanie, a potem wszystko nagle ucichło...
„Przestroga" dość dobrze hulała w radio, była najczęściej emitowanym utworem okresu maj/czerwiec w Esce na przykład. Grałem wtedy dużo koncertów. Potem na chwilę przycichło. Wyszedł drugi singiel „Jesteś..." i niestety nie było o nim słychać zbyt wiele. Była chwilowa cisza, ale jestem pewien, że to cisza przed burzą, teraz szykujemy kolejny singiel „Gorączka sobotniej nocy" i wiem, że to będzie strzał w dziesiątkę. Dużo ludzi z branży i nie tylko jara się tym utworem.

Czy tytuł płyty -„Chcę, więc potrafię" to twoje życiowe motto?
Tak. Jakiś czas temu stwierdziłem, że jeżeli czegoś się bardzo chce, to można to osiągnąć, wystarczy ćwiczyć, dążyć do czegoś uparcie, no i mieć odrobinę szczęścia, to wszystko. Po prostu - chcę, więc potrafię.

.:rozmawiała Cess (CS):.

REFUSED
rewolucja
yeah, yeah!!!



Publika zdołała wysłuchać zaledwie czterech utworów, kiedy policja wtargnęła do klubu. Koncert zakończył się przedwcześnie, a wraz z nim – cała trasa po USA. To było ostatnie wydarzenie w historii zespołu. 6 października 1998 roku, w Harrisonburg w amerykańskim stanie Virginia została postawiona ostatnia kropka w ostatnim rozdziale sagi zatytułowanej Refused.

Wszyscy ci, którzy oczekiwali na ziszczenie się zapowiedzi o nadejściu nowej rewolucji, musieli zawiedzeni wrócić do domów. Nie doszło do powtórki z roku 1968. Nikt nie wznosił barykad, nie nadszedł czas poezji pisanej przy użyciu benzyny. Ale mimo to, już wcześniej dokonała się inna rewolta. Niemniej głośna, a do tego w stereo.

RYTM NOWEJ GENERACJI

Raz na jakiś czas trafia się taka rzecz, która wystarczy, by odwrócić czyjś świat do góry nogami...

Ostatni album w dorobku szwedzkiego Refused, wydany w lutym 1998 roku „The Shape of Punk To Come" wstrząsnął w posadach całym muzycznym podziemiem. Refused rzuciło zuchwale wyzwanie punkowemu purytanizmowi, podłożywszy ładunek wybuchowy pod skansen, szumnie nazywany sceną niezależną. Pod tą twórczą herezją podpisała się czwórka samozwańczych proletów dźwięku, Dennis Lyxzen (głos), David Sandström (perkusja, gitara), Kristofer Steen (gitara, bas) i Jon F. Brännström (gitara, sampler). Wstrząs i rewolucja, awangarda i postęp – tak przy pomocy kilku kluczowych słów można opisać „The Shape of Punk To Come", niezwykle złożoną i eklektyczną płytę, na której Szwedzi odkryli wspólne źródło muzycznej rebelii, udowadniając, że punk, free jazz i techno natchnione są tym samym duchem.

„Nagraliśmy ten album, pragnąc podważyć z góry przyjęte normy, czym może być punk band i co powinien grać, ponieważ punk jest najbardziej konserwatywną formą jaka istnieje w muzyce" – deklarował rzecznik grupy, Lyxzen – „Nawet w hard core jest tak wiele zasad odnośnie tego, co jest a co nie jest akceptowalne. To zupełne zaprzeczenie oryginalnej idei". Najbardziej punkowa rzecz, jaką można zrobić, to pieprzyć zasady! Oto rytm nowej generacji!!!

To puls, to dźwięk / To rytm nowej generacji / To ruch, to rytm / To hałas rewolucji / Yeah, yeah, yeah, yeah - ***„Refused Party Program"***

Progresywny hard core w wykonaniu Refused zredefiniował dotychczasowy sposób myślenia o tej muzyce. Po premierze trzeciej płyty Szwedów, nic już nie miało być takie samo. Od tamtego momentu można mówić o okresie pre- i post-Refused w historii HC.

Tytuł „The Shape of Punk To Come" nieprzypadkowo budził oczywiste skojarzenia z „The Shape of Jazz To Come", free jazzowego albumu Ornette'a Colemana. Podobnie jak Coleman starał się wykreować nową wizję jazzu, tak Refused poszukiwało idealnej formuły dla HC / punka przełomu mileniów.

Po kilku miesiącach nagrań, kwartet osiągnął to, co zamierzał. Popełnił dzieło kompletne, syntezę muzycznej biegłości z agresją i polityczno-społecznym aktywizmem. A skoro wydał już na świat swoje opus magnum, dalsze istnienie zespołu wydało się jego członkom bezzasadne. Refused przestał istnieć w trakcie wspomnianej amerykańskiej trasy, po ponad sześciu latach intensywnego działania, pozostawiając po sobie trzy albumy oraz kilka EP-ek, a także mnóstwo pozytywnych emocji.

Jak możemy oczekiwać, by ktokolwiek słuchał, jeśli przemawiamy tym samym starym głosem / Potrzebujemy nowego hałasu, nowej sztuki dla prawdziwych ludzi - ***„New Noise"***

MUZYKA Z KRĘGU POLARNEGO

Cofnijmy się w czasie do zarania Refused. Jak przystało na skandynawską sagę, tak i ta rozpoczęła się na dalekiej północy, pośród gęstych lasów i dzikiej przyrody, niemal pod samym Kręgiem Polarnym.

Refused powstało w Umea na gruzach Step Forward, pierwszej szwedzkiej ekipy Straight Edge HC. Po raz ostatni Step Forward zagrało koncert w grudniu 1991 roku, a już w styczniu '92 rozpoczęła się egzystencja zupełnie nowej formacji. Wczesne wcielenie Refused odwoływało się bezpośrednio do tradycji old school hard core. Inspiracje Szwedów muzyką Gorilla Biscuits, Youth Of Today i Born Against były bardziej niż oczywiste, a siła zespołu tkwiła raczej w jego solidności niż oryginalności. Po wydaniu w lecie 1993 roku pierwszej EP-ki „This Is the New Deal", Refused koncertowało niemal bezustannie. Krótkie chwile odpoczynku od życia na trasie Szwedzi przeznaczali na nagrania. Pod wielką presją czasu powstawał pierwszy ich album, „This Just Might Be... the Truth" (1994). Debiutancka pełnometrażowa płyta załogi z Umea nosiła już znamiona własnego stylu opartego na agresywnym, ostrym brzmieniu i charakterystycznym śpiewie (czy raczej wrzasku) Dennisa.

Oddycham i tworzę / Przywołaj ducha '68 / Nowe znaczenie dla rozdartych idei / Przywróćmy życie staremu schematowi / Wybijmy dziurę w tradycji / Wsłuchajmy się w pieśni niezadowolenia / Akordy i ruch - ***„Protest Song '68"***

Refused zawsze było ekipą silnie zaangażowaną. Teksty zespołu propagowały wegetariański styl życia, respektowanie praw zwierząt oraz społeczno-polityczną przytomność. Jako zdeklarowani socjaliści, Szwedzi ogłaszali wzniosłe manifesty, zamieszczane następnie na płytach i na łamach własnego fanzine'a, „Handbook for Revolutionaries". Radykalnymi poglądami Refused zainteresowała się nawet szwedzka policja, która – po kilku wypowiedziach Dennisa na temat sporządzania koktajli Mołotowa – wszczęła śledztwo w sprawie „wywrotowej aktywności" wokalisty. Nie przeszkodziło to grupie dalej wytrwale koncertować i nagrywać. Zespół coraz bardziej skłaniał się w stronę szybszej i mocniej brzmiącej muzyki, która w międzyczasie otrzymała promocję ze starej do nowej szkoły hard core'a.

Druga płyta ekipy spod Koła Polarnego, „Songs to Fan the Flames of Discontent" (1996) była osiągnięciem kolejnego stadium w muzyczno-intelektualnej ewolucji grupy, a zarazem próbą przywrócenia wolności i indywidualizmu kulturze młodzieżowej. „Potrzebujemy nowego hałasu i nowych głosów, by stać się kimś więcej niż ostatnimi poetami bezużytecznej generacji" – deklarowali Szwedzi w jednym ze swych manifestów.

Liryczny w formie i polityczny w treści album „Songs to Fan..." prezentował nowe oblicze zespołu, którego członkowie przeskoczyli z luźnych, skate'owych ciuchów w eleganckie garnitury rasowych trantów. Do muzycznych fascynacji dołączyli inspiracje intelektualne – teorie Jeana Baudillarda, Michela Foucaulta czy Noama Chomsky'ego. Cały czas rozwijali się też muzycznie. Aż w końcu nadeszła pora, by z mgiełki teorii uformować konkret. Tak powstało arcydzieło „The Shape of Punk to Come".

NISZCZ I TWÓRZ, BABY!

Hej baby! Nigdy nie czułaś się tak dobrze / Wolność poprzez stereo, a ty chciałabyś / Ugryźć, zatańczyć, zagubić się w krucjacie, wskoczyć do tego pociągu dusz: stacja docelowa nieznana / Yeah, yeah! - ***„The Shape of Punk To Come"***

Zgodnie z teorią Marksa, pod którą muzycy Refused podpisywali się obiema rękami, w określonym czasie każdy miał się stać artystą, a sztuka – nabrać egalitarnych cech. Celem, jaki przyświecał szwedzkim hardcore'owcom podczas nagrywania trzeciej płyty było stworzenie muzyki dla każdego. Z pewnym jednak zastrzeżeniem – dla każdego, kto nie boi się postawić wysokich wymagań własnym przyzwyczajeniom i czuje przesyt miałkimi, łatwo przyswajalnymi, rozrywkowymi półproduktami.

Ta operacja się powiodła. Inną z kolei, niezrealizowaną ambicją Szwedów było uśmiercenie konserwatywnej kultury masowej. Plan utopijny, ale w przypadku Refused zawsze zadość stawało się anglosaskiemu porzekadłu, wedle którego „niebo jest limitem". Kwartet nigdy nie mierzył zamiarów podług własnych możliwości i m.in. dlatego przestał istnieć, zaskoczony przez rzeczywistość, z której sam nazbyt się wyabstrahował. Ale i ile w międzyczasie było zabawy!

Kiedy członkowie kwartetu postanowili się rozstać, uznali, że realizując własne projekty, podtrzymają przy życiu ducha Refused, którego moc oddziaływania będzie jeszcze większa. David, Jon i Kristofer tworzyli przez jakiś czas efemeryczny kolektyw TEXT, ale obecnie przy muzyce pozostał już tylko Jon, który współpracuje z Phonetik & DJ System. Dennis został wokalistą The (International) Noise Conspiracy, ma też swój projekt uboczny Lost Patrol. Niedawno w plebiscycie szwedzkiego wydania Elle uznano go... najseksowniejszym mężczyzną w Szwecji. Sam Dennis komentuje niecodzienny laur ze śmiechem: „Moja młodsza siostra śmieje się, że przecież nawet nie jestem mężczyzną".

„Refused Are Fuckin' Dead" oznajmia tytuł DVD, którego publikacja planowana jest na nadchodzący rok. Nie da się ukryć, że zespół jest trochę martwy... OK, jest całkiem martwy. Jego duch wydaje się jednak całkiem żywotny. W końcu rewolta była zawsze nieodłącznym składnikiem muzyki.

I jakby to ujęli sami Szwedzi: Uwierz w to, baby! Yeah, yeah, yeah!!!

.:Sebastian Rerak:.



propaganda/agitacja/satyra

kino polityczne

Najważniejsza ze sztuk, najsilniejsza broń, potężny środek masowej agitacji, kronikarz i komentator współczesnych wydarzeń. Nie, nie chodzi o hip-hop, choć Krs-One z pewnością by się pod każdą z tych opinii skwapliwie podpisał. Tak definiowali kino – odpowiednio – Lenin, Mussolini, Stalin i Hitler.

W 1945 r. władzę w Polsce przejmowali komuniści i to zadecydowało o skrępowaniu naszej kinematografii sztywnym gorsetem ideologicznym aż do wyborczego zwycięstwa opozycji politycznej w 1989 r. Istniejąca w kraju cenzura prewencyjna skutecznie zamykała reżyserom drogę do wolności twórczej. Filmy z tamtego okresu jawią się jako instrumenty ideologicznej manipulacji, dzieła tendencyjne, przedstawiające nieprawdziwy obraz kraju rozwijającego się prężnie pod rządami Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Lata 1975-1981 to ramy czasowe wartego odnotowania nurtu moralnego niepokoju, do którego zaliczali się m.in. Wajda, Kieślowski, Zanussi, Zaorski, Andrejew, Domaradzki, Bugajski, Holland, Marczewski, Falk. Kino moralnego niepokoju było zjawiskiem dość ambiwalentnym: walczące, a zarazem ostrożne. Nie ma się co dziwić – filmy tych mniej ostrożnych lądowały na regałach z etykietką tzw. półkowników. Los ten spotkał „Przypadek" Kieślowskiego, „Przesłuchanie" Bugajskiego i wiele innych. Rozgoryczony Kieślowski mówił w 1988 r. w jednym z wywiadów: „Najgorsze jest to, że w naszym systemie ci, którzy chcą pokazać rzeczywistość, przeżywają ciągłą udrękę. Jak krytykować państwo za państwowe pieniądze? Trzeba znajdować drogi okrężne, dyskretne, tajemne. Trzeba robić tak, żeby filmując ludzi nieznanych mówić o machinacjach sekretarza partii, który jest znany wszystkim".

Kino moralnego niepokoju upadło w momencie wprowadzenia stanu wojennego. Wielu artystów uwięziono, niektórzy próbowali prowadzić nierówną walkę z cenzurą, inni demonstracyjnie odmawiali udziału w życiu kulturalnym kraju, jeszcze inni wyemigrowali na Zachód i tam już zostali (m.in. Holland, Bugajski, Marczewski). Przełom polityczny, który dokonał się w Polsce w roku 1989, spowodował, że natychmiast zwolniono wszystkie zatrzymane tytuły, z najgłośniejszym „Przesłuchaniem" na czele. Pojawił się silny, zwłaszcza w filmach dokumentalnych, nurt rozrachunkowy, wypełniający tzw. białe plamy w historii kraju (filmy o Katyniu i innych zbrodniach sowieckich, o Polakach na Syberii i w Kazachstanie, o ich sytuacji na Litwie, Ukrainie itd.), obecnej również w filmach fabularnych, m.in. Marczewskiego („Ucieczka z kina Wolność"), Krzystka („Ostatni prom"), Dejczera („300 mil do nieba"), Łozińskiego („89 mm do Europy").

Dziś kina politycznego praktycznie się w Polsce nie robi. Nie bez racji Konrad Wągrowski przy okazji zachwalania znakomitego niemieckiego komediodramatu „Good bye, Lenin!", pytał ironicznie na łamach Esensji: „Swoją drogą – dlaczego u nas nikt takiego filmu nie umie zrobić i jeśli się kręci coś o przemianach '89, to muszą to być Psy"? Zostawiając jednak PRL, nie inaczej rzecz się ma z obrazami komentującymi rzeczywistość polityczną Trzeciej Rzeczypospolitej. Jeśli już cokolwiek się wykluje, to muszą to być chybione satyry w rodzaju infantylnych, irytująco lopatologicznych „Bajlandu" Dederki czy „Ubu króla" Szulkina.

Tymczasem za wielką wodą związek kina z polityką od lat pozostaje żywy. Zmieniają się tylko gatunki filmowe uprawiające politykę, co w dużym stopniu zależy zarówno od nastrojów politycznych Amerykanów, jak i samej osoby prezydenta. Ciekawe, że ciężko znaleźć przykłady obecności polityków na ekranie w czasie prezydentury Ronalda Reagana i George'a Busha. Powodów było przynajmniej kilka: ani jeden, ani drugi polityk nie pobudził wyobraźni twórców filmowych. Swoją rolę odgrywał tu konserwatyzm obu polityków oraz ich wiek. Ponadto Reagan był człowiekiem kina i twórcy filmowi by się czuli zapewne niestosownie atakując – było nie było – swojego człowieka. Wreszcie zarówno Reagan, jak i Bush, cieszyli się sporym uznaniem wśród rodaków, a władzę sprawowali w sposób majestatyczny. Wszystko to się zmieniło, gdy prezydentem został Bill Clinton: człowiek dużo młodszy od swych poprzedników, liberalny demokrata, wnoszący świeży powiew do zmurszałego świata amerykańskiej polityki. Twórcy filmowi dostrzegli w prezydencie materiał na idola masowej kultury. Przy czym, jak to z idolami bywa, nie ograniczyli się do prezentowania jego pozytywnych stron, ale z satysfakcją odkrywali ciemne strony polityki. „Zwyczajność" Clintona sprawiła, że władza straciła swój majestat i można było pokazywać prezydenta w sposób najbardziej poufały. „Oczekiwanie na idola w Białym Domu trwa 30 lat – pisał w 1993 r. Krzysztof Kłopotowski – od zabójstwa Kennedy'ego. Po tym młodzieńczym wodzu – Johnson, Nixon, Ford, Carter wydawali się bezbarwnymi figurami. Były aktor Ronald Reagan miał nie tylko o ćwierć wieku za dużo jak na nawet najbardziej dojrzały symbol seksu, ale w dodatku konserwatywne upodobania. (...) z kolei Bush przyjaźnił się ze Schwarzeneggerem, ale nie był postacią oddziałującą na wyobraźnię. A ponadto jego wiceprezydent wydał wojnę „elicie kulturalnej" – homoseksualistom (...). I oto nadszedł Bill Clinton. Uważa, że orientacji seksualnej nie wybiera się, jest za swobodną aborcją, otwarty jak jarmark".

To właśnie William Jefferson Clinton zainspirował Barry'ego Levinsona do nakręcenia „Faktów i akt" (wariacja na temat afery rozporkowej), Mike'a Nicholsa do „Barw kampanii" (piętnująca manipulacyjną rolę mediów satyra na wybory prezydenckie), Warrena Beatty do „Senatora Bulwortha" (rapujący polityk-luzak, zyskujący poparcie dzięki rozbrajającej szczerości). To za czasów prezydentury Clintona głowę państwa obdarzano w kinie rozrywkowym cechami romantycznego kochanka („Dave" Ivana Reitmana, „Prezydent: Miłość w Białym Domu" Roba Reinera) czy heroicznego bohatera („Dzień niepodległości" Rolanda Emmericha, „Air Force One" Wolfganga Petersena). Nawet jeśli prezydent był półgłówkiem, jak w burtonowskim „Marsjanie atakują!", to półgłówkiem nie dającym się nie lubić.

Kres tej tendencji położyło zwycięstwo republikanina George'a W. Busha w wyborach prezydenckich, a następnie wydarzenia 11 września. Obudziły one w Amerykanach nastroje konserwatywne i sympatyczni politycy na dobre zniknęli z ekranów amerykańskich kin. W fabule pojawiają się rzadko, a jeśli już, to tylko w kontekście pejoratywnym (vide „Pojutrze" Emmericha). Do głosu doszedł dokumentalista Michael Moore. Jego uderzające w politykę USA „Zabawy z bronią" dały początek całej serii demaskatorskich, propagandowych czy po prostu informacyjnych obrazów. Od tej chwili można postawić znak równości między kinem politycznym a kinem dokumentalnym. Tytuły, które wypada znać, to m.in. recenzowany już w Ślizgu „Fahrenheit 9.11", „Fog of War" Errola Morrisa (o byłym amerykańskim sekretarzu ds. obrony Robercie S. McNamarze, który wpakował Stany w wojnę z Wietnamem), „Sprawa Friedmanów" Andrew Jareckiego, „Korporacja" Jennifer Abbott i Marka Achbara, „Pokój kontrolny" Jehane Noujaima. Ciekawostką jest „Fahrenhype 9/11", obalający rzekomo fakty z „Fahrenheita" Moore'a, lecz chyba nie zawiera silnych kontrargumentów, gdyż przez amerykańską krytykę został doszczętnie zniszczony.

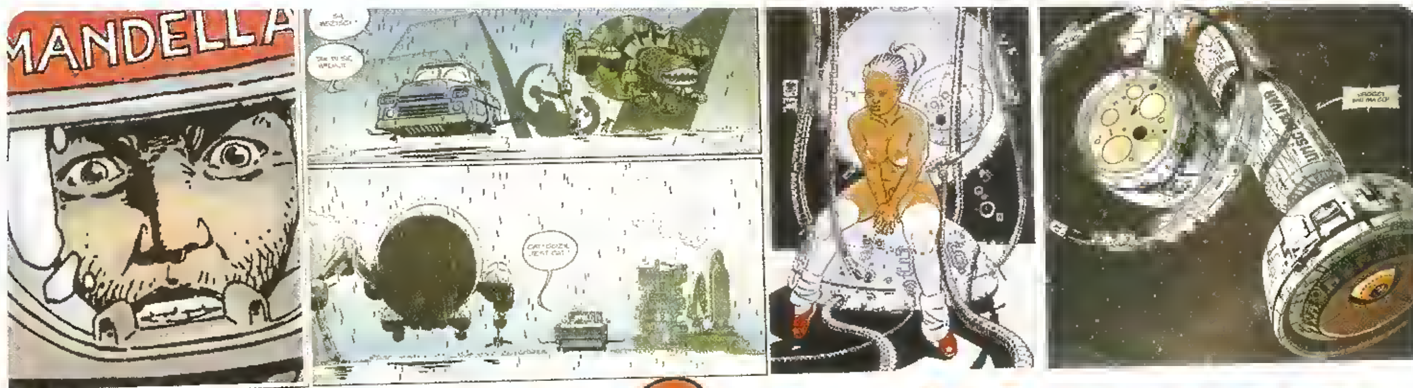
Osobną kategorią politycznych filmów, niezależną już w ogóle, co zupełnie logiczne, od aktualnego rozkładu sił na scenie politycznej USA, są biografie. A jeśli biografie, to przede wszystkim jedno nazwisko, z którym nie zaznajomienie jest grzechem – Oliver Stone. Stone jest twórcą o temperamencie oskarżyciela, dlatego przekształcając swoje przesłanie w scenariusz, preferuje zawsze najbardziej ekstremalne wersje wydarzeń. Będąc dzieckiem czasów kontestacji, uczestnikiem wojny w Wietnamie, w swych filmach często wraca do czasów swej młodości, dokonując rozrachunków z amerykańską historią i mitami. Wystarczy wspomnieć trylogię wietnamską: „Pluton", „Urodzony 4 lipca" i „Między niebem a ziemią". W „JFK" przedstawił Stone alternatywną wobec orzeczenia Komisji Warrena wersję okoliczności śmierci prezydenta Kennedy'ego, ściągając na swoją głowę oskarżenia o fałszowanie historii, naiwne postrzeganie mechanizmów rządzących światem polityki i snucie nieudokumentowanych teorii spiskowych. W „Nixonie" idzie jeszcze dalej. O ile „JFK" można było odczytywać jako adaptację książek prokuratora Garrisona, przekonanego o istnieniu wielkiego spisku, którego ofiarą padł Kennedy, to „Nixon" takich możliwości interpretacyjnych nie stwarza. Mamy tu do czynienia z autorską wizją historii Stanów Zjednoczonych, widzianej przez pryzmat kariery Richarda Nixona. Pomimo opatrzenia filmu zastrzeżeniem, że przebieg przedstawionych wydarzeń jest w dużym stopniu oparty na domysłach, Stone robi wszystko, by nam swoją wizję narzucić. W rzeczywistość zainscenizowaną wplata fragmenty kronik filmowych – autentycznych lub spreparowanych na potrzeby filmu – tak, że często widz ma problemy z odróżnieniem jednych od drugich. Mimo wszystko, dzięki doprowadzonemu do perfekcji warsztatowi, a także autentycznej pasji z jaką reżyser stara się nam opowiadać swoje historie, jego filmy to często wspaniały, poruszający, prowokujący do myślenia kawał kina. Paralela z dokumentami Moore'a jest jak najbardziej na miejscu – nie musimy się zgadzać merytorycznie, ale odmówić niebagatelnego talentu nie sposób.

Wymienione w powyższym akapicie filmy to przykład bodaj najlepszych biografii, co oczywiście nie znaczy, że Stone ma na ten gatunek monopol. I tak – zostając jeszcze przy Nixonie, a konkretnie głośnej aferze Watergate – warto na pewno zwrócić uwagę na „Wszystkich ludzi prezydenta" Alana J. Pakuli. Wielu pomników doczekał się najbardziej hołubiony amerykański prezydent – Lincoln – by wspomnieć chociażby „Abrahama Lincolna" Davida Warka Griffitha, „Młodego Lincolna" Johna Forda, „Abe Lincoln w Illinois" Johna Cromwella czy „Dzień, w którym zginął Abraham Lincoln" Johna Graya. Do co ciekawszych prezydenckich laurek możemy jeszcze zaliczyć m.in. „Trumana" Franka Piersona, „Wilsona" Henry'ego Kinga oraz miniserial „Kennedy" Jima Goddarda.

Przekroczona już ileś linijek temu liczba znaków zmusza mnie do bezpardonowego urwania w tym momencie. Szkoda, bo temat zdążyłem nakreślić zaledwie pobieżnie. Gdzie maccartyzm, czarne listy Hollywoodu, gdzie chaplinowski „Dyktator", gdzie afrocentryczne kino Spike'a Lee, gdzie całe zaangażowane kino europejskie czy kino z innych niż Ameryka Północna kontynentów? Wyjścia są dwa. Pierwsze: dostanę na wyłączność 30 stron Ślizgu do roku 2007. Drugie, trochę bardziej prawdopodobne: jeśli cokolwiek Was zainteresowało, dalej będziecie szukać sami. Sorry.

.:Dobry Piotrek:.

Na zdjęciach od lewej: Prezydent Harrison Ford w „Air Force One" Wolfganga Petersena, Robert McNamara w „Fog of War" Errola Morrisa, Michael Moore na planie „Zabaw z bronią", Warren Beatty, Oliver Stone.



marvano & haldeman

Polscy czytelnicy całkiem nieźle znają wspólne dokonania Marvano (prawdziwe nazwisko Mark Van Oppen) i amerykańskiego pisarza sf Joe Haldemana – to jego powieści zainspirowały najsłynniejsze komiksy belgijskiego rysownika. Trylogię „Wieczna wojna" opublikował przed laty „Komiks Fantastyka", „Wieczną wolność" wydał całkiem niedawno Egmont. Gorzka, filozoficzna fantastyka zyskała spore grono fanów na całym świecie, a Marvano i Haldeman rozpoczęli współpracę przy serii „Dallas Barr". Inne dokonania Marvano to m.in. seria „Rourke" według scenariuszy Marcela Rouffa i liczne pojedyncze albumy, narysowane dla wydawnictw Lombard i Standaard. Natomiast Joe Haldeman jest autorem kilkunastu powieści i wykładowcą literatury na MIT (Massachusetts Institute of Technology). Najsłynniejsze jego książki – oczywiście „Forever War" i „Forever Peace" (łącznik między pierwszą częścią a „Wieczną wolnością") – zostały uhonorowane najsłynniejszymi nagrodami literackimi w dziedzinie sf: Hugo i Nebulą.

Marvano był niedawno gościem łódzkiego festiwalu komiksu. Poniżej przeczytacie krótkie rozmowy, jakie przeprowadziliśmy z nim, a także z Joe Haldemanem.

MARVANO

Jak pracuje się z pisarzem takim, jak Joe Haldeman?

Bardzo łatwo, bo tak naprawdę nie pracuję z Haldemanem, po prostu adaptuję na potrzeby komiksu to, co wcześniej napisał w swoich powieściach. On sam zresztą twierdzi, że nie wie zbyt dużo na temat komiksu, więc powierzył mi całkowicie adaptację swoich książek.

Czy w takim razie miał jakiś wpływ na to, co Pan rysował?

Nie, w nic nie ingerował, tylko stwierdził, że wykonuję dobrą robotę i dał mi wolną rękę.

Planujecie zrobić coś jeszcze razem w przyszłości?

Cały czas robimy. Oprócz trylogii „Wieczna wojna" i „Wieczna wolność" tworzymy serię „Dallas Barr". To historie, powiedzmy, o wiecznym życiu, ale nie do końca. Głównym założeniem serii jest to, że co dziesięć lat możesz odnowić swoje ciało, ale musisz zapłacić za to wszystkim, co masz. Minimalną kwotą jest milion funtów, nie jest to ściśle określona suma, bo przecież rzecz dzieje się w przyszłości, ale na pewno to kupa pieniędzy. Nie ma za to kwoty maksymalnej. Jeśli masz pięć milionów funtów, to tyle płacisz, jeśli masz 26 milionów, to płacisz tyle. Tak więc co dziesięć lat ci „nieśmiertelni" muszą wybrać między swoim majątkiem, a swoim życiem. Taka jest główna myśl tego komiksu. Teraz pracuję nad siódmym albumem serii.

To dość gorzka wizja przyszłości, zresztą podobnie jest w innych pańskich komiksach. Myśli Pan, że ludzkość pójdzie w taką stronę?

Myślę, że już tą ścieżką podążamy. Porównajmy choćby warunki i długość życia w świecie zachodnim i w Afryce. To minimum dwadzieścia lat różnicy. Widzę, że idziemy w stronę świata, w którym ludzie będą mogli kupić wieczne życie – co prawda zawsze zdarzają się wypadki, ale to już zupełnie inna sprawa. Jednak to już się dzieje. Gdy startowaliśmy z serią „Dallas Barr" jej hasło brzmiało „Historia rzeczy, które nadejdą". To było prawie dziesięć lat temu i przez ten czas świat bardzo się zmienił, niektóre rzeczy, o których mówiliśmy, stały się bardziej realne.

Czy trudno jest narysować tak wiarygodny komiks sf? Gdy czytałem „Wieczną wolność" chociażby, to łatwo było mi uwierzyć, że nasza przyszłość może tak wyglądać.

Nie robimy czegoś, co można by nazwać „techniczną sf". Szczerze mówiąc gówno mnie obchodzą sprawy techniczne. Tak naprawdę opowiadamy w jakiś sposób o tym, co dzieje się teraz z nami i światem, w którym żyjemy. Wsadzamy te opowieści w scenerię sf, po to, by móc je rozbudować, może nieco przesadzić, ale jednocześnie dać ludziom duże lustro, w którym będą mogli zobaczyć samych siebie. Nie chcę tworzyć dziwacznej science fiction, opowieści o robotach – choć te akurat się pojawiają, ale ich rola nie jest wielka. Chcę tworzyć historie o zwykłych ludziach, ich problemach. Choćby to, że żołnierze w „Wiecznej wojnie" wracają po walce do domów. Joe Haldeman sam coś takiego przeżył, służył w Wietnamie w magicznym roku 1968 (został nawet uhonorowany Purpurowym Sercem, wojskowym odznaczeniem za odwagę – red.). Gdy wrócił do domu, zobaczył, jak wiele się zmieniło: Robert Kennedy został zamordowany, Martin Luther King został zabity, wojsko strzelało do studentów w campusach uniwersyteckich. Joe wrócił do kraju, którego już nie poznawał. W zasadzie każdy z nas miewa takie powroty, choćby wtedy, gdy wyjeżdża się na długo za granicę. A zresztą pomyśl o swoim otoczeniu z czasów, gdy byłeś dzieckiem. Ten świat już nie istnieje, wszystko się zmieniło. W ten sposób wszyscy podróżujemy w czasie. My chcemy opowiedzieć właśnie o tym, w jaki sposób ludzie radzą sobie ze smutkiem, nostalgią i tym dziwacznym wyobcowaniem, z sytuacją, gdy nie poznają już świata sprzed lat.

JOE HALDEMAN

Jak rozpoczęła się pańska współpraca z Marvano?

Na początku lat 80. byłem gościem honorowym konwentu komiksowo – fantastycznego w Belgii. Poznałem wtedy Marka, który przedstawił mi pomysł adaptacji moich książek na komiks. Brzmiało to całkiem nieźle, więc się zgodziłem, ale jeszcze parę lat zajęło, zanim dopracowaliśmy szczegóły.

Więc adaptacja była jego pomysłem?

Od początku do końca.

Marvano powiedział, że Pan nie miał wpływu na jego wizję artystyczną. Był więc Pan zadowolony z jego pracy?

Więcej niż zadowolony. Jestem nią zachwycony!

A czy planuje Pan współpracę z innymi artystami?

Nie planuję nowych komiksów, poza tymi, które jeszcze robię z Marvano (chodzi o serię „Dallas Barr" – red.). Ale będę współpracował z różnymi rysownikami, którzy zilustrują dwa tomy moich poezji.

Ostatnie pytanie, nie poświęcone komiksom, ale bieżącym wydarzeniom. Co sądzi Pan o reelekcji George'a W. Busha na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych?

To po prostu triumf zła. Sam Bush nie jest może zły, jednak jest marionetką w rękach neokonserwatywnych potworów, takich jak Cheney, Ashcroft i Wolfowitz. Musimy w dalszym ciągu starać się, by odsunięto ich od władzy. Ale tak naprawdę wygląda to źle. Jeśli Bush, co prawdopodobne, będzie miał wpływ na decyzje Sądu Najwyższego, to może sparaliżować postęp Ameryki na najbliższe trzydzieści – czterdzieści lat. To smutny dzień dla całego świata.

:.rozmawiał Kuba Demiańczuk:.



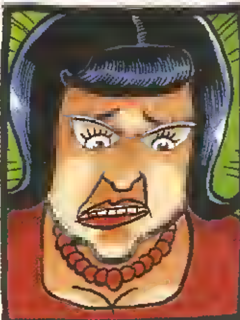
JEŻ JERZY

txt: Rafał Skarżycki gfx: Tomasz Lew Leśniak

















TYMCZASEM...
DZIĘKI, MIKI! LEPSZEGO PREZENTU NIE MOGŁEM SOBIE WYMARZYĆ!
MIAŁEŚ DOSTAĆ RÓZGĘ, ALE POMYŚLAŁEM, ŻE DAM CI SZANSĘ! NO I LICZYŁEM NA TO, ŻE SIĘ PODZIELISZ...

CHICAGO

Meeting of Styles.2004



Meeting of Styles 2004 stał się imprezą globalną.

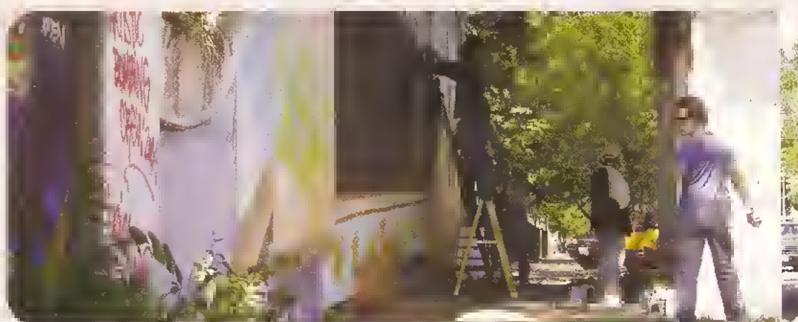
Minionego lata oprócz terytoriów europejskich podbił również dziki Zachód. Trzy, chyba najbardziej charakterystyczne metropolie Ameryki – Nowy Jork, Chicago i Los Angeles były świadkami ściennych spotkań w wielkim stylu.

Amerykańskie graffiti poszło w innym kierunku niż europejski, dlatego nam, writerom przyzwyczajonym do ściennych krzaków, symetrii i pociągowych destroy artów i antystyli, mogą wydawać się jakby były z innej bajki. Na pierwszy rzut oka wydaje się naiwne, jakby zatrzymało się na pewnym etapie i przestało rozwijać w przód, a zaczęło w bok. Litery są dziwnie powyginane, a charaktery inne od europejskich. Wygląda jakby więcej kreatywności wkładano w dobór miejscówek do bombingu i malowania, niż w samą konstrukcję liter. Rozmiary wszystkich wrzutów są przynajmniej dwa razy większe niż na Starym Kontynencie.

Wszystko to nie oznacza jednak, że w Stanach maluje się źle. Po prostu inne ściany, inne zajawki, inna technika. Żeby ocenić amerykańskie tagi czy wrzuty, trzeba je poznać, zrozumieć ich genezę.

Próbkę z chicagowskiego Meeting of Styles 2004 macie przed sobą. Na ścianach wrzucały lokalne ekipy: MUL-Crew, ABC, Take2, The Spray Brigade, Nyke, Rafa, Jinx, Chicago's Most Wanted i inni. Okolicą było typowe ghetto, na co dzień oglądające strzelaniny, porachunki narkotykowych gangów i inne atrakcje. Jednak w ciągu tych dwóch dni, kiedy miał miejsce MOS, było spokojnie, kreatywnie i wibrująco pozytywnie.

Co przyniesie przyszły rok?



















CHICAGO

Meeting of Styles.2004











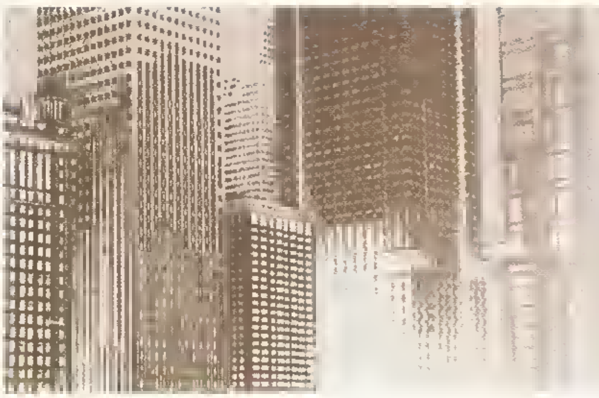


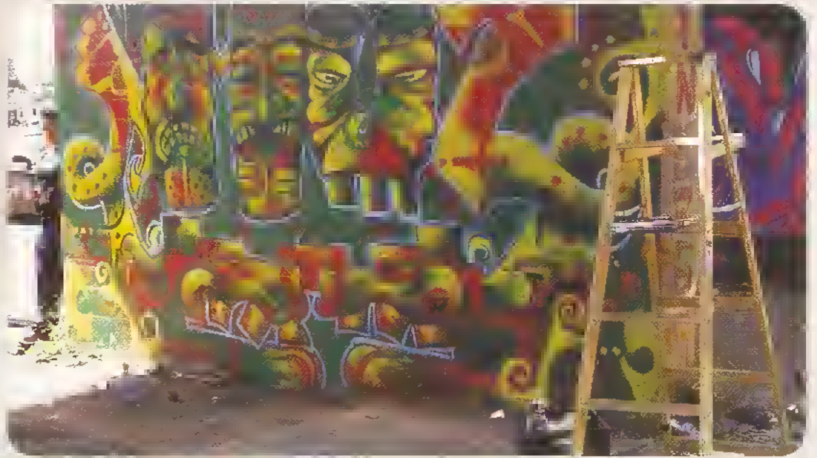



MR GREEN


The L'
...Rest in Peac
Mauro
Estrada
A.K.A. ESC
"HELP ME FIND
MY WAY!!





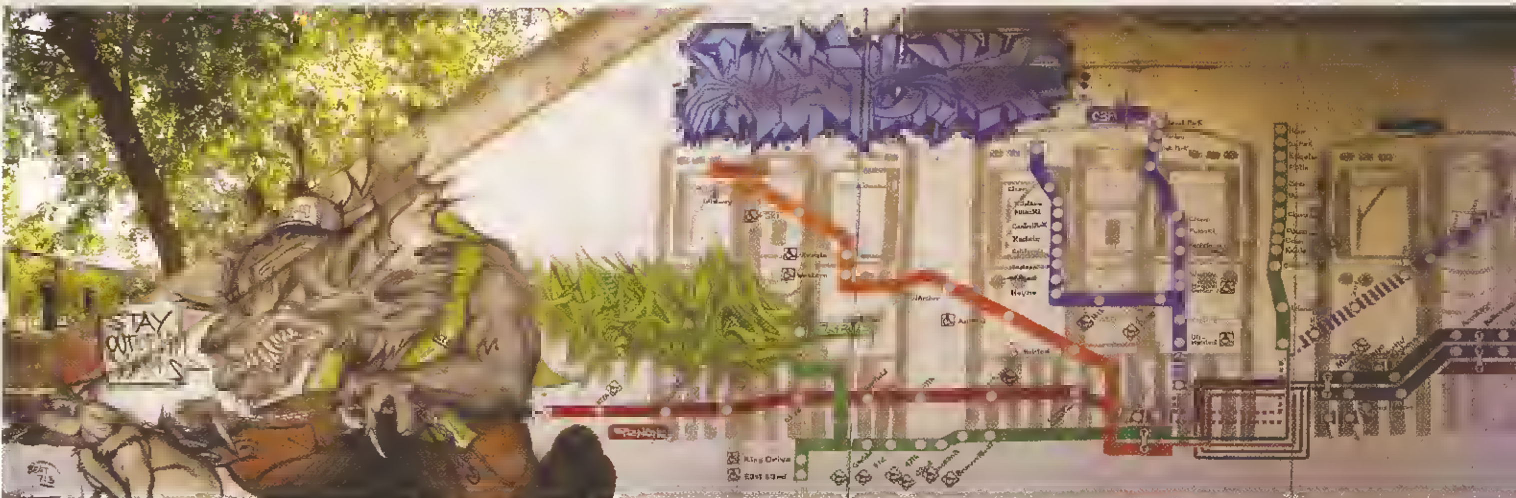


CHICAGO

Meeting of Styles.2004





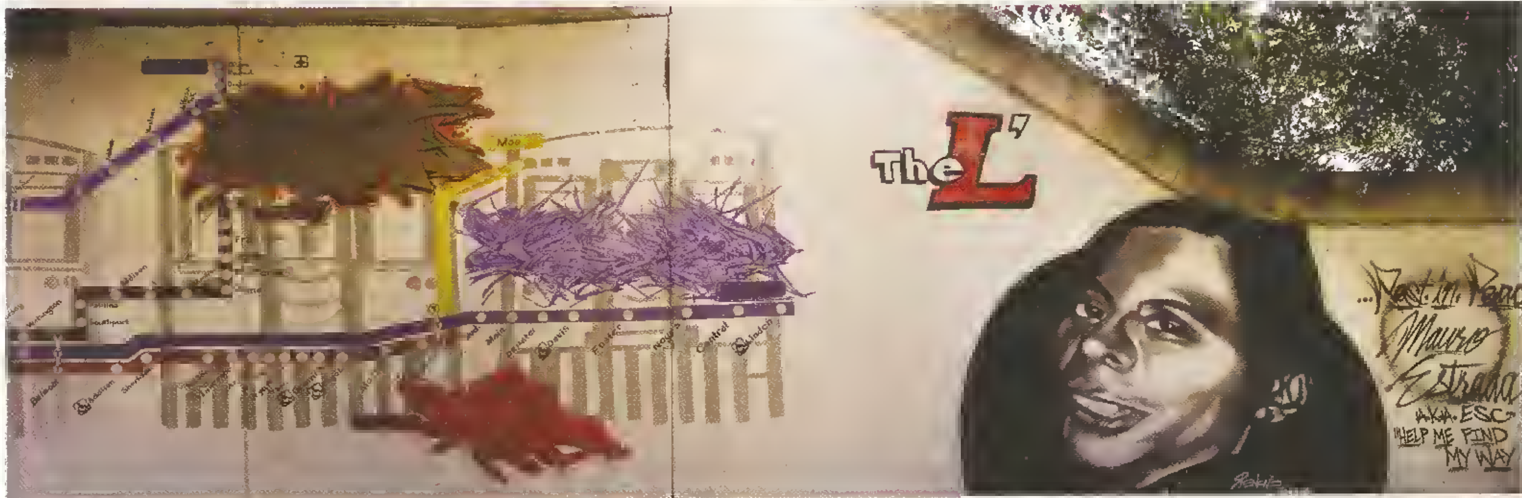


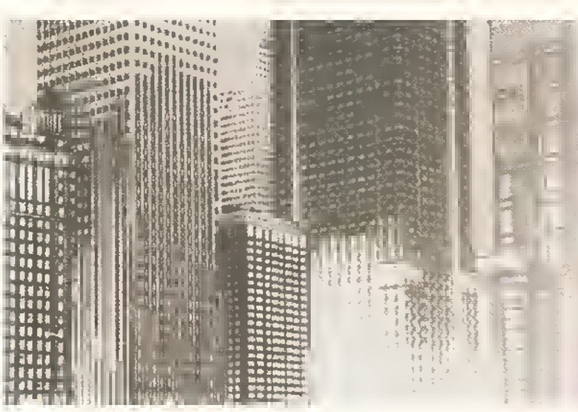


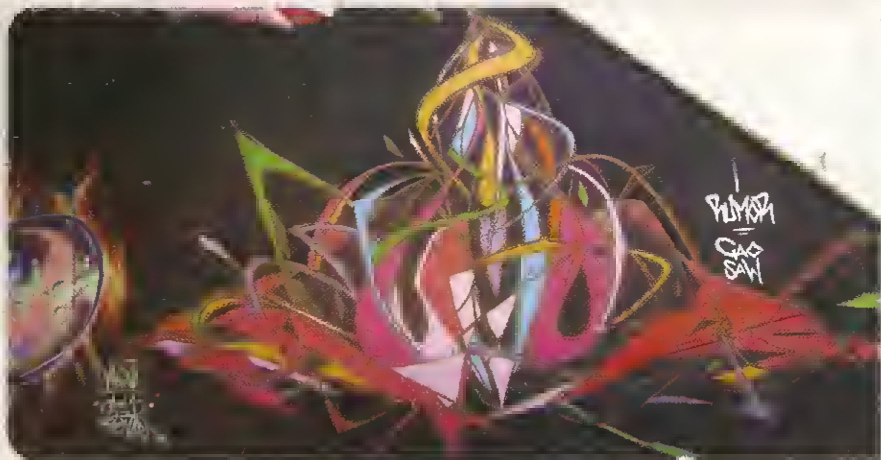







The L'
...Rest in Peac
Mauro Estrada
AKA. ESC
"HELP ME FIND MY WAY

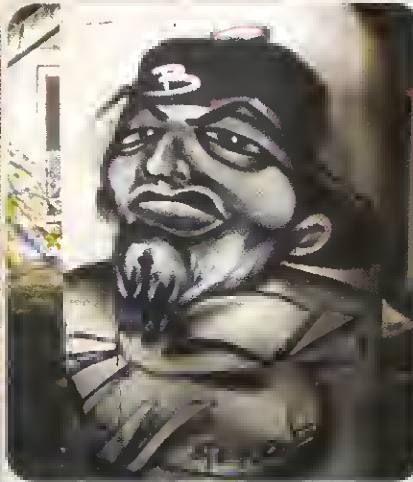




CHICAGO

Meeting of Styles.2004





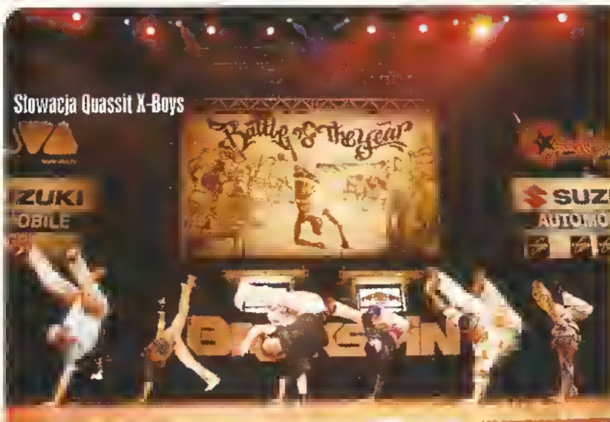









CHROM SPORT



Słowacja Quassit X-Boys

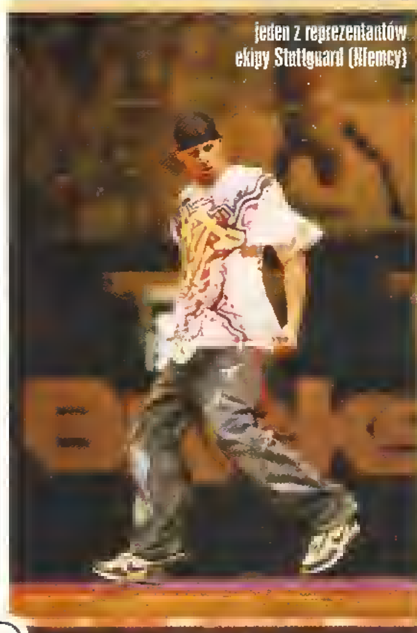
04 battle of the year

Stało się. Kolejne tak zwane „nieoficjalne mistrzostwa świata", czyli Battle of the Year 2004 za nami. Wszystko oczywiście było zorganizowane z niebywałą konsekwencją i widać, że z roku na rok ta impreza coraz bardziej się rozwija. Mam tylko pewne zastrzeżenia co do kierunku tego rozwoju, ale o tym powiem dokładniej w dalszej części mojego artykułu. Na początek trzeba przede wszystkim wspomnieć o ekipach, które wzięły udział w tegorocznym Battle of the Year. Do rywalizacji o tytuł nieoficjalnego „mistrza świata" stanęło 17 ekip. Niestety zabrakło 18 ekipy zakwalifikowanej do udziału, czyli reprezentantów Rosji z ekipy Predators. Z wiarygodnego źródła dowiedziałem się, że Rosjanie nie dostali zgody od ambasady niemieckiej na wjazd na teren Niemiec. W ramach protestu wykonali swoje show przed tą właśnie ambasadą, dokładnie w ten dzień, w którym odbywało się Battle of the Year 2004. Myślę, że należy im się za to, co zrobili, duży respekt. Oficjalna część rozpoczęła się jak zawsze według planu, czyli punktualnie.

Na scenie pojawili się najpierw jak co roku główni komentatorzy czyli Spax i Trix, czego następstwem była szybka prezentacja dj'ów prowadzących tę imprezę. Po pokazie umiejętności specjalistów od gramofonów przyszła pora na pokaz jury. W skład sędziowski wchodzili: Benny (Flying Steps. Killa Beez) z Niemiec, Lamine (the Family, Vagabonds) z Francji, Crazy (Crazy Force Crew) ze Szwajcarii, Kwikstep (USA) i Rokafella (USA). Po tych wstępnych atrakcjach na pierwszy ogień poszli debiutanci z Taiwanu, czyli TBC. Według mnie wypadli dość dobrze, mieli w miarę konsekwentną i dynamiczną choreografię, kilka niezłych numerów, ale pojawiło się też sporo standardów, które widziałem już wiele razy. Ogólnie jednak był to udany debiut. O kolejnej ekipie, czyli Australijczykach z Common Ground, nie chce mi się nawet pisać. To, co pokazali było zupełnie nieprzemyślane, bez jakiejkolwiek koncepcji. Po prostu dla mnie ich występ był jednym wielkim nieporozumieniem. Jako trzeci wystąpili reprezentanci Włoch – Break the Funk. Zrobili pokaz, który był bardzo dobrze dopracowany od strony technicznej, ale ja tam nie zauważyłem nic specjalnie nowatorskiego. Po tym występie był jeszcze w miarę przyzwoity show, ale też bez rewelacji, w wykonaniu Submission z Estonii i zakończył on pierwszy blok prezentacji ekip. W pierwszej przerwie wystąpił Wildchild z Lootpack ze swoim krótkim koncertem. Miał małe problemy z rozkręceniem publiczności, która niezbyt żywiołowo reagowała na jego występ. Dziwi mnie to, bo naprawdę konkretnie dawał radę. Po występie „dzikiego dzieciaka" przyszła pora na kolejne pokazy ekip. Drugi blok rozpoczęli Szwajcarzy z Kayonyx. Był to bardzo chaotyczny pokaz, który mi się zupełnie nie podobał. Po Szwajcarach mieli wystąpić według planu Predators z Rosji, ale jak wspominałem, nie udało im się dotrzeć w tym roku na Battle of the Year. Następnie mogliśmy zobaczyć występ Electric Force Crew, czyli znanych dobrze w Polsce Bułgarów, z którymi miałem okazję walczyć razem z Nontoperami przed trzema laty na Battle of the Year East Europe. Widać, że chłopaki robią postępy, pojawiło się w ich pokazie parę konkretnych numerów. Zwłaszcza małolat, którego ksywy niestety nie znam, dobrze sobie radził, no i B-boy Fisher, który zrobił duże wrażenie na publiczności swoimi twisterami ze złączonymi, prostymi nogami. Choreografię mieli bardzo przeciętną, a niestety na tej imprezie jest to też istotny element. Jeżeli chodzi o pokaz Quassit X-Boys ze Słowacji, to zupełnie nie mam przekonania do tego składu. Po raz trzeci na tej imprezie i znowu zupełnie bez polotu. Myślę, że analizowanie ich pokazu jest zbędne. Moim zdaniem ta ekipa nie zrobiła postępu od przeszło dwóch lat. Po Słowakach nadszedł czas na reprezentację Niemiec. Przed ich pokazem pomyślałem sobie, że pewnie znowu – do czego inne niemieckie ekipy zdążyły mnie przyzwyczaić – zobaczę trochę niezłych power moves i to będzie na tyle. A tu taka niespodzianka. Nie mogłem uwierzyć, że to Niemcy. Naprawdę przygotowali bardzo dobrą choreografię, footworki i freezy, konkretne powery, a do tego mieli bardzo dobrego specjalistę od electro i pop-lokingu, który swoją solówką wzbudził niesamowity aplauz publiczności. Stuttguard, bo o nich tutaj mowa, wykonali naprawdę kawał dobrej roboty. Po ich pokazie od razu obstawiałem ich w gronie faworytów. Ten blok pokazów został zamknięty bardzo mocnym akcentem w wykonaniu reprezentantów Niemiec.

W drugiej przerwie miał miejsce kolejny szok, który zafundowali wszystkim Steen i Josefine z Danii. Był to niesamowity pokaz electric boogie. Tak pomysłowej i dopracowanej choreografii nie widziałem chyba nigdy. Perfekcyjnie zatańczony występ dopełniała niesamowita muzyka. Bez wątpienia był to jeden z najlepszych momentów tej imprezy. Po tym rewelacyjnym występie rozpoczął się trzeci blok prezentacji ekip, który jak można było przypuszczać, składał się z samych faworytów.

Rozpoczęli go Japończycy z Mortal Kombat. Ich pokaz przypominał kompletny chaos połączony z choreografią przypominającą układy dyskotekowe. Do tego muzyka momentami z pogranicza techno i dziewczyna biegająca po scenie, która sprawiała na mnie wrażenie nieco zagubionej w tym wszystkim. Najbardziej charakterystycznym momentem była niekonwencjonalnie i w bardzo niebezpieczny sposób zakręcona bańka, prawie na tyle głowy, co było najbardziej „popisowym numerem" w tym pokazie. Ten występ zupełnie nie przypadł mi do gustu. No i przyszedł moment, w którym na scenie pojawili się Supernaturalz. Muszę przyznać, że tego pokazu nie mogłem się doczekać od początku trwania imprezy. Bardzo byłem ciekawy, co pokażą reprezentanci Kanady. Pokaz ten był zupełnie inny niż poprzednie. Bez żadnego spinania się, po prostu zatańczyli tak jak to czują, co zdecydowanie ich wyróżniało. Nie wiem tylko, dlaczego solówki w ich wykonaniu były tak oszczędne. Zwłaszcza mam na myśli Dizziego, który jest maksymalnie dobrym zawodnikiem. W pokazie zrobili bardzo krótkie sety a liczyłem, że pojadą na najwyższych obrotach i zmasakrują tę imprezę. Nie do końca rozumiem, jaki zamysł mieli Supernaturalz. Spodziewałem się po nich czegoś więcej. Nie zmienia to faktu, że ich pokaz nawet mi się podobał, ze względu na lekką i pomysłową momentami choreografię. Po ekipie z Kanady następni w kolejności wystąpili Fantastik Armada z Francji. O ich pokazie mogę powiedzieć tyle, że mieli jakąś koncepcję na swoje show. Wystylizowali się na postacie rodem z horrorów uzupełniając to wszystko mroczną muzyką. Ja generalnie nie lubię takich klimatów, ale publiczności się to chyba podobało.


jeden z reprezentantów ekipy Stuttguard (Niemcy)



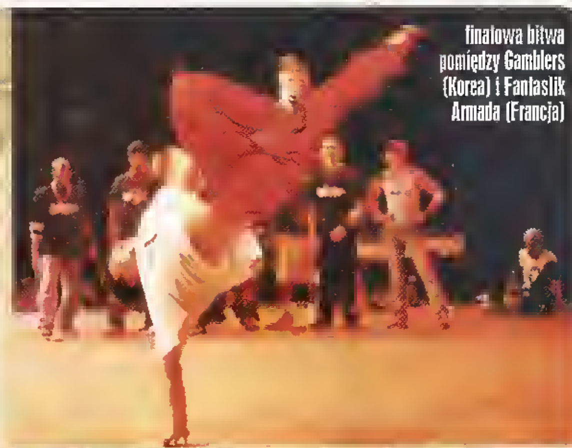
04 battle of the year

Jeżeli chodzi o poziom to myślę, że jest wiele ekip, które mają podobne do nich umiejętności. Było w ich występie trochę niezłych numerów, ale jeśli chodzi o mnie, to nie zrobili jakiegoś niesamowitego wrażenia. Był to po prostu dość dobry pokaz.

Po nich na scenę wyszli zwycięzcy tegorocznego Break Dance Session we Włocławku, czyli Natural Effects z Danii. Był to kolejny pokaz w mrocznej konwencji. Znowu mroczna muzyka, pomalowane twarze tancerzy, itp. Było trochę bałaganu w tym występie, ale chyba celowo. Generalnie był to dość spójny pokaz i miał on kilka dobrych elementów. Na przykład ciekawe układy dwójkowe czy numer maksymalnie pod publikę, jakim było skakanie na ręce w pionie i zdjęcie przy tym bluzy i spodni przez jednego z Duńczyków. Ten numer wywołał największą owację wśród publiczności. No cóż, na tej imprezie tego typu „cyrkowe" numery robią największą furorę. Jako ostatni w tym bloku zaprezentowali się Ubuntu z Południowej Afryki. W tym pokazie było bardzo mało jakiejkolwiek choreografii, za to sporo konkretnych powertricków i powerowych combosów. Afrykańczycy mają duże problemy z tanecznością i oprócz wymienionych przeze mnie wyżej elementów na naprawdę wysokim poziomie, nic więcej nie pokazali. Ich show zakończyło trzeci blok prezentacji. Tym razem w przerwie wystąpił Rahzel razem z Dj'em JS-Onem z Rock Steady Crew. Od początku mieli mistrzowski kontakt z publicznością, która robiła wszystko, czego sobie życzył jeden z najlepszych beat-boxerów na świecie. Nie da się tego opisać słowami, jaka niepowtarzalna atmosfera panowała w Volkswagen Halle podczas występu Rahzela i JS-One-a. Trzeba po prostu to usłyszeć na żywo, żeby móc docenić ich umiejętności i charyzmę. Po tym maksymalnie spektakularnym występie rozpoczął się ostatni blok pokazów, który zapoczątkowali Moving Shadows z Austrii. Bardzo słabo sobie radzili i ich pokaz przeszedł zupełnie bez echa. No i nadeszła chwila, w której na scenę wyszła reprezentacja Korei, czyli Gamblers. Trix machał przed ich występem flagą tego kraju a cała hala skandowała nazwę tej ekipy, jakby miało dojść do jakiegoś objawienia lub czegoś w tym rodzaju. Muszę przyznać, że miałem z tego niezły ubaw. To, że Koreańczycy na ogół nie potrafią tańczyć, zostało po raz kolejny udowodnione. Było to typowo cyrkowe show: dużo powerów, oczywiście na bardzo wysokim poziomie i cała masa salt i teksasów powtarzanych w nieskończoność, czyli tak, jak się spodziewałem. Nie było w tym pokazie ani jednego seta, w którym można by było zobaczyć dobre footworki, a o top-rockach nawet nie wspomnę. Był to po prostu występ w sportowej konwencji. Potem był jeszcze pokaz Lions of Zion z Izraela, który miał przesłanie pojednawcze między Arabami i Żydami. Poza tym nie było w nim nic specjalnie ciekawego. Na koniec wystąpili zeszłoroczni „nieoficjalni mistrzowie", czyli zwycięzcy Battle of the Year 2003. Mowa tutaj o ekipie Pokemon z Francji. Ich pokaz nawet ciekawie się rozpoczął, ale potem było już coraz słabiej. Co potrafią Pokemoni, wiedzą chyba wszyscy, więc nie będę się specjalnie rozpisywał na ich temat. Wydaje mi się tylko, że nie byli tego dnia w swojej najlepszej formie. Tym oto sposobem zakończyły się prezentacje wszystkich składów biorących udział w Battle of the Year 2004. Zanim ogłoszono kto będzie walczył o trzecie miejsce, na scenie wystąpił band grający na żywo b-boyowe kawałki, czyli Barry Kunzel i Montana Chrome Boy z Niemiec. Po tym 25-minutowym koncercie rozpoczęła się bitwa o trzecie miejsce. Do walki tej sędziowie zakwalifikowali Stuttguard z Niemiec, co w tym przypadku zupełnie mnie nie zdziwiło. Liczyłem nawet, że będą walczyć o pierwsze miejsce. Do konfrontacji z nimi wytypowani zostali Break the Funk z Włoch, co z kolei uważam, że było nieporozumieniem i nie wiem, jakimi kryteriami oceny kierowali się jurorzy w tym wypadku. Zupełnie nie brałem tej ekipy pod uwagę. Niemcy nie mieli z nimi najmniejszych problemów i to oni dyktowali warunki od początku do końca pojedynku. Walka ta nie miała zupełnie sensu ze względu na bardzo dużą różnicę w poziomie tych dwóch ekip. Momentami nie mogłem uwierzyć, że Break the Funk są aż tak słabi. Stuttguard wyśmiali ich wręcz kilkakrotnie. Na Battle of the Year często zdarza się, że grupa, która zrobiła - powiedzmy - dobre show, zupełnie nic sobą nie reprezentuje i indywidualnie każdy z tej ekipy okazuje się bardzo przeciętnym zawodnikiem. Później przejawia się to w walce, przez co bitwy są tak jednostronne bądź nudne. Włosi byli tego zdecydowanym potwierdzeniem. Po zakończeniu tego nierównego pojedynku było 5 minut poświęcone zmarłemu niedawno tragicznie Dj Jamesowi Leacy. Podczas tego krótkiego memoriału ku jego czci Dj Woodoo i Dj Renegade zagrali na zmianę po jednym secie. Był to bardzo wzruszający moment. Odszedł jeden z najlepszych dj'ów grających na wielu breakowych imprezach i w ten sposób oddano mu hołd. Po tej 5-minutowej przerwie nadszedł wreszcie kulminacyjny moment Battle of the Year, walka o pierwsze miejsce pomiędzy Fantastik Armada z Francji i Gamblersami z Korei. Po raz trzeci w historii tej imprezy do bitwy o pierwsze miejsce stanęły ekipy z tych właśnie krajów. Bitwa ta była prawie w całości pojedynkiem na power moves. Ze strony Francuzów trochę tańca i footworków, ale w bardzo śladowych ilościach. Natomiast Koreańczycy cały czas pod publikę, zupełnie bez jakiejkolwiek taneczności. Żaden z tych idoli tłumów nie potrafił nawet zrobić up-rocków. Pokazali w tej bitwie to, w czym są najlepsi, czyli dużo powerów i teksasów i parę innych mniej lub bardziej – powiedzmy – wyszukanych freezów. Francuzi, jeżeli chodzi o taktykę, rozegrali tę bitwę zupełnie bez sensu. Za bardzo wdali się w powerowe wymiany z Koreańczykami, do których jeśli chodzi o to, sporo im brakowało. Power Battle of the Year to dobre określenie tego pojedynku. W ten właśnie sposób podsumowano tę walkę na jednym zagranicznym forum poświęconym b-boyingowi. Po pojedynku była krótka przerwa na naradę jury i zaraz potem oficjalna ceremonia ogłoszenia wyników. Wyniki przedsawiały się następująco: 4 miejsce: Break the Funk z Włoch, 3 miejsce: Stuttguard z Niemiec, 2 miejsce: Fantastik Armada z Francji i zgodnie z ideą zmiany kierunku, którą głoszą organizatorzy Battle of the Year, 1 miejsce: Gamblers z Korei!!! Nagrodę za najlepsze show dostali Break the Funk. Po tym wszystkim, co dane mi było zobaczyć w tym roku na tej imprezie, na myśl przyszedł mi jeden bardzo ważny wniosek. Ta impreza zupełnie przestała promować prawdziwy b-boying. Promuje natomiast jego wypaczoną wersję wpajając ją młodym tancerzom nowej generacji. Nieistotna jest tutaj ekspresja, oryginalność, flow i taneczność. Wszystkie te cechy są zepchnięte na drugi, jeżeli nie na czwarty plan. Te rzeczy są tutaj na ogół traktowane jako nieobowiązkowe uzupełnienie. Natomiast promuje się sportowo-cyrkowe podejście, co doprowadza do tego, że zwycięzcami tej imprezy zostają ekipy, w których nikt nie potrafi tańczyć, ale za to potrafi zrobić trzy salta i na przykład dwadzieścia twisterów. Jeżeli w tę stronę ma się rozwijać breakdance, to chyba niedługo będzie trzeba z jego nazwy usunąć drugie słowo, czyli taniec, a prawdziwy b-boying zejdzie do podziemia.

Pozdrawiam.

.:Bartazz:.


finałowa bitwa pomiędzy Gamblers (Korea) i Fantastik Armada (Francja)


jak co roku wiele działo się też w kółkach...


pokaz sędziów - Lamine (Francja)


bitwa o trzecie miejsce Stuttguard (Niemcy) i Break the Funk (Włochy)

Heliboarding na Kamczatce







Niejednemu snowboardziście śnią się po nocach dziewicze stoki, gdzie zakłada pierwszy ślad. Puszysty śnieg, słońce – niby niewiele... Jednak aby ten sen się spełnił, trzeba mieć dużo szczęścia, czyli być o właściwej porze i we właściwym miejscu. Jeśli ktoś nie lubi wdrapywać się na nogach w takie miejsca, a ma trochę zbędnego hajsu lub sponsora, polecam heliboarding. Miejsc na świecie, gdzie można zrealizować tę wizję, jest całkiem sporo: Nowa Zelandia, Kanada, Chile, Alaska, Kaukaz, Kamczatka, Kirgistan itp. Najtaniej, choć nie tanio, jest jeszcze w Rosji. Na zakończenie tego sezonu miałem okazję z grupą śmiałków sprawdzić, jak to wygląda na Kamczatce. Ponoć byliśmy pierwszymi Polakami na heliboardingu także.



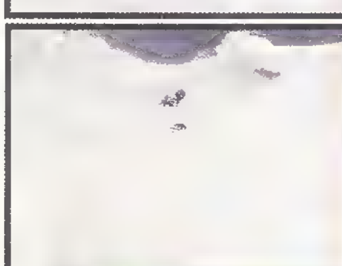
Zacznę może od minusów takiego wyjazdu na wschód.

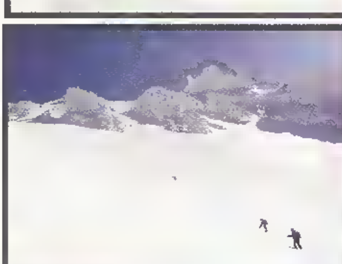
1. Biurokracja przy załatwianiu wizy (profesjonalny organizator załatwi to sprawniej).
2. Połączenie lotnicze. Samoloty latają do Moskwy dwa razy dziennie, ale na Kamczatkę tylko raz dziennie, więc nocleg w Moskwie jest nieunikniony, co podraża wyjazd.
3. Strach przed samolotami spod czerwonej gwiazdy – nieuzasadniona fobia i zaszłość. Bo kto pierwszy wysłał człowieka na orbitę?
4. Pogoda – wiadomo, nie ma gwarancji, że będzie odpowiednia i jedynym zabezpieczeniem jest wydłużenie pobytu.



Plusy, których jest znacznie więcej:

1. Jeśli kiedyś marzyłeś o zjeździe na snowboardzie na plażę nad oceanem, to właśnie Kamczatka. A żeby było jeszcze więcej wrażeń, wcześniej jest w programie zjazd do wnętrza czynnego wulkanu.
2. Miejscowi są Słowianami i nie ma wielu barier. No... Jednak nie potrafiliśmy tyle wypić. Na marketingu się już znają, więc bardzo o nas i nasze bezpieczeństwo dbali.
3. Kameralna atmosfera, turystów jeszcze brak, w końcu to koniec świata.
4. Natura – marsowa. Na Kamczatce wyciągów jak na lekarstwo, ale nie po to tam się leci. Nie ma lasów iglastych. Same brzózki. Widok oceanu i dymiących wulkanów robi niezwykłe wrażenie. Wulkany dymią codziennie, czasem wybuchają.... Nam się udało wyjechać przed erupcją jednego z nich.
5. Imprezy – duuuży plus, nie dość, na parkiecie mnogo fajnych lasek. Reszta jak w beach barach na Helu, o sorry, tańsze trunki.
6. Inne atrakcje: gorące źródła z całą tablicą Mendelejewa, ponoć samo zdrowie na zmęczone mięśnie snowboardzistów, występują koło hotelu w formie jacuzzi. Wypas bąbel z piwkiem w ręku.
7. Jest możliwość wypożyczenia skuterów śnieżnych lub wycieczki na psich zaprzęgach.
8. Jedzenie – trochę dziwne, ale raczej swojskie. Dobre, ale najlepsze są ryby i to te z gatunku luksusowych za małe pieniądze.
9. Ponoć było wiele innych atrakcji, których nie zdążyliśmy zaznać.
10. Bezpieczeństwo. Kamczatka jest strefą przygraniczną, więc atmosfera trochę jak w okupowanym kraju, ale jeśli ma się paszport, to każdy żołnierz – do rany przyłóż.
11. Moskwa – wizyta na placu Czerwonym jest obowiązkowa plus przejażdżka metrem. Zmienia się światopogląd na naszą miejską rzeczywistość.





Podsumowanie:

Wyjazd życia, do opowiadania dzieciom, wnukom i innym wścibskim ziomalom. Zjazdów do oceanu jest tylko kilka na świecie...

Pozdrawiam i do zobaczenia w puchu.

.:Mimi:.



trik miesiąca

Francis Dermande/fs.270 to fs.board

foto: YARREK



toy story czyli o Polakach słów kilka...

Polska jest krajem specyficznym, to nie podlega dyskusji. Jesteśmy dumni z naszych cech narodowych, lubimy się chwalić naszą odwagą, nieustępliwością, gościnnością. Tak naprawdę jednak świat postrzega nas jako posiadaczy dwóch cech: cwaniactwa i kłótliwości. Pierwszą przywarą dzisiaj zajmować się nie będę, pragnąłbym za to zwrócić uwagę na epitet drugi. Nasz skateboarding jest dokładnie idealnym odzwierciedleniem sytuacji w Polsce.

Jaka jest kondycja deskorolki w Polsce wszyscy wiemy. Nie mamy skateparków, miejscówek ulicznych też jest malutko, brakuje kasy każdemu, nawet na sprzęt. Dochodzi do tego brak akceptacji ze strony społeczeństwa, traktuje się skejcików jak element niepotrzebny a nawet szkodliwy.

W takiej sytuacji deskorolkowcy powinni się jakoś jednoczyć, przecież razem łatwiej coś zorganizować niż w pojedynkę. Pamiętam, jak wyglądało wszystko na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy cały ruch jeszcze raczkował w Polsce. Wtedy wszyscy skaterzy znali się doskonale. O każdej nowej osobie wiedzieli wszyscy, pamiętam nawet, że był czas, gdy znało się wszystkie deski, które były w danym mieście. Wtedy jasne dla wszystkich było, że aby skateboarding mógł się rozwinąć, należy połączyć siły. Tak właściwie było przez kilka lat, znało się nawet ludzi z innych miast. W tamtych czasach skateboarding istniał praktycznie tylko w Warszawie, dlatego pojawienie się każdego osobnika spoza tego miasta budziło zdziwienie, chyba sami rozumiecie, że nie trudno było znać wszystkich. Normalną akcją było to, że gdy widziałeś gościa idącego z deską pod pachą, zagadywało się go w stylu: „Ile czasu jeździsz. Skąd jesteś?". Teraz może wydawać się to śmieszne, mimo tego taka sytuacja najlepiej oddaje klimat, jaki panował na początku. Teraz już widok skejcika nie jest czymś wyjątkowym, a zagadnięty koleś pewnie by pomyślał, że ktoś chce go okraść.

Taka sytuacja trwała dosyć długo, wszystko zmieniło się, gdy do Polski zawitało coś takiego jak sponsoring. Wtedy się zaczęło... Wyszła na wierzch zawiść i temu podobne rzeczy.

Na początku wsparcie ze strony firm było dużo mniejsze niż teraz (w tej chwili też nie jest w Polsce zbyt duże), ale i tak dało to powód do zazdrości. Okazało się, że nagle deskorolka w Polsce podzieliła się na kilka obozów – sponsorowanych, niesponsorowanych, hardcore'owców, rapowców itd.

Posiadanie wspierającej firmy stało się powodem do nie lubienia kogoś. Kiedy ktoś pojawia się na zdjęciach w gazetach, każdy oczekuje od niego popisów godnych Tony Hawka, natomiast gdy te nadzieje nijak się mają do rzeczywistości, wtedy zostaje on znienawidzony i pojechany wszędzie gdzie się da.

Idealnym polem do popisu dla skejcików – zazdrośników są różnego rodzaju fora internetowe, które świetnie się do tego nadają, bo delikwent bluzgający może pozostać anonimowy. Od kiedy rozwinął się Internet, rosną jak grzyby po deszczu różnego rodzaju hyde parki, gdzie najczęściej bluzga się na wszystkich. I tam właśnie wychodzi na jaw polska mentalność – trzeba dosrać tym, którzy mają więcej.

Nie wiem czemu, ale większość młodych skejcików zamiast jazdy na desce woli być kibicami sportowymi i oceniać polską scenę pod kątem kto powinien mieć sponsora a kto nie. Zapominają chyba, że to, kto jest w danym teamie, zależy tylko i wyłącznie od właściciela firmy, a nie od rzeszy „kibiców".

Sponsoring to w ogóle jest bardzo trudny i delikatny temat. W tej chwili zauważyłem, że bardzo wielu małolatów jeździ tylko po to, aby dostać upragnionego sponsora. Jest to dla nich spełnienie marzeń, a tak naprawdę instytucja ta powstała po to, aby umożliwić dalszą jazdę na desce a nie być celem samym w sobie. Niestety wielu młodych ludzi tego nie widzi i powstaje przez to wiele internetowych awantur.

Z tego, co wyczytałem na internetowych stronach wśród tzw. „niesponsorowanych" panuje przeświadczenie że ci, którzy pojawiają się na zdjęciach w gazetach na pewno są zarozumiałymi kolesiami, którzy nic nie robią, tylko śmieją się z gorszych od siebie, dlatego należy im pokazać. Podczas jednego z wakacyjnych tourów byłem w pewnym polskim mieście, gdzie dosyć dziwnie nas przyjęto. Niby wszystko było OK, ale pierwsze wątpliwości pojawiły się, gdy okazało się, że lokalni skaterzy przyszli tam tylko po to, aby pokazać nam, że to oni są mistrzami. Nie znali słowa „przepraszam", gdy bezczelnie się wpychali przed kogoś, robili wszystko, aby wydać się niesympatycznymi. Ze strony przyjezdnych, jak się okazało, oczekiwali tylko i wyłącznie robienia niewyobrażalnych trików, bądź zaliczania hardcore'owych upadków. Nie wiem, czy oni nie zdawali sobie sprawy, jak wygląda poziom jazdy w Polsce, przecież u nas tak naprawdę wszystko jeszcze raczkuje i nie można oczekiwać od ludzi nie wiadomo czego. Byliśmy takimi samymi ludźmi, jak oni i po prostu przyjechaliśmy pojeździć na desce. Takie wyjazdy miały służyć popularyzacji deskorolki, a nie wywołaniu wojen.

Po naszym wyjeździe Internet aż zahuczał od tekstów w stylu „przyjechali i nie chcieli nic robić na poręczy", „u nas są lepsi skaterzy", „to my powinniśmy mieć sponsora".

Bez komentarza.

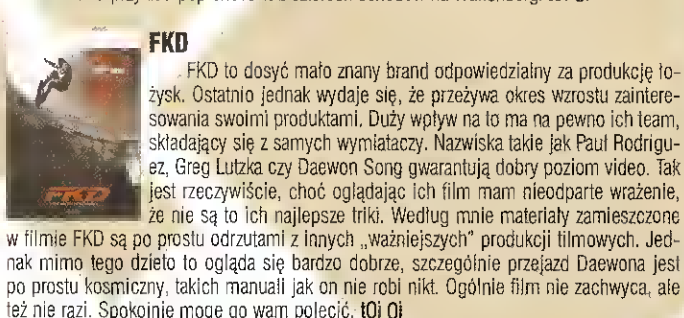
.:tOi Oi:.

recenzje sk8

411#66

Liczba 66 może kojarzyć się po wypiciu kilku browarów i rozdwojeniu widoczności z liczbą bestii – 666. Z tego założenia wyszli chyba twórcy najpopularniejszego magazynu video dla skejcików i dlatego według tego kryterium dobrali skaterów jeżdżących w najnowszym numerze 411. Mamy więc kontrolowany chaos Birdhouse, gdzie występują m.in. Brian Sumner, Tony Hawk, Jon Goeman i – jak dla mnie – rewelacja Matt Ball. Starsi z was na pewno pamiętają pewnego freaka z Birdhouse o nawisku Jeremy Klein. Ten już dość wiekowy pro pokazuje w dziale „day in the life" jak wygląda jego typowy dzień, mamy więc trochę pracy, deskorolki i wieczorną imprezę.

Sekcja hot wheels jest jak zwykle solidną dawką dobrych trików serwowaną przez trzech młodych skaterów, tym razem są to Sean Eaton, Mark Gutterman i Johnny Layton. Dla ciekawych, jaki sprzęt mają profesjonaliści, Ed Templeton pokazuje jak i z jakich elementów składa swoją deskę. Dla prawdziwych szatanów jest przygotowana nie lada gratka – Hellrose crew. Chłopaki pokazują jak żyją, gdzie mieszkają, jeżdżą itp. – total rockandroll. Najlepsze z całego magazynu są jednak dłuższe przejazdy, w tym numerze mają je Anthony Shetler i Steve Nesser. Obaj są doskonałymi skaterami nie bojącymi się dużych rzeczy, Steve robi na przykład pop shove-it z czterech schodów na Wallenberg. tOi Oi



FKD

FKD to dosyć mało znany brand odpowiedzialny za produkcję łożysk. Ostatnio jednak wydaje się, że przeżywa okres wzrostu zainteresowania swoimi produktami. Duży wpływ na to ma na pewno ich team, składający się z samych wymiataczy. Nazwiska takie jak Paul Rodriguez, Greg Lutzka czy Daewon Song gwarantują dobry poziom video. Tak jest rzeczywiście, choć oglądając ich film mam nieodparte wrażenie, że nie są to ich najlepsze triki. Według mnie materiały zamieszczone w filmie FKD są po prostu odrzutami z innych „ważniejszych" produkcji filmowych. Jednak mimo tego dzieło to ogląda się bardzo dobrze, szczególnie przejazd Daewona jest po prostu kosmiczny, takich manuali jak on nie robi nikt. Ogólnie film nie zachwyca, ale też nie razi. Spokojnie mogę go wam polecić. tOi Oi

Top of the world „Top dollar"

Raz na jakiś czas ukazuje się film, w którym występują nieznani goście, którzy z dnia na dzień stają się bardzo znanymi skaterami. Tak było w przypadku choćby „P.J.'s wonderful horrible life" czy „Pack a lunch". Teraz nadeszła pora na „Top dollar" kanadyjskiego skateshopu Top of the world. Film opowiada historię pewnego banknotu i dziwnie powiązanych z nim skaterów – tak właśnie wygląda intro, które bardzo dobrze wprowadza w klimat produkcji. Przejazdy są dopracowane w każdym szczególe, występujący tu nieznani goście z powodzeniem mogliby pojawić się na pierwszym lepszym filmie Transworlda czy Digital. Nie wiem, czym karmi się dzieci w Kanadzie, ale te to chyba były pasione jakimiś dragami. Oni po prostu jeżdżą jak szaleni – Wade des Ormeaux, Paul Trepaniex, Richard Sarazin, Dave Nolan – te nazwiska na pewno zobaczycie jeszcze na niejednym video deskorolkowym. Bardzo fajne w filmie jest to, że jest on różnorodny, można tam zobaczyć każdy trik, dla każdego coś miłego. Koniecznie musicie to zobaczyć. tOi Oi

Premium

Firma Premium pochodzi z Kanady, ojczyzny budulca deskorolkowego, czyli klonu. W państwie tym jak wiadomo mieszka wielu bardzo dobrych skaterów, większość z nich jeździ dla amerykańskich firm, jednak istnieje w Kanadzie brand, który bardzo aktywnie wspiera skateboarding w tej zimnej krainie. W teamie Premium znajdują się głównie przedstawiciele tego narodu i to oni stanowią o poziomie filmu, choć Morgan Cambell z Australii i Dayne Brummet również swoje potrafią. Warto ten film obejrzeć ze względu na to, że występują tam dosyć znane nazwiska, które jednak nie pojawiają się tak często w filmach deskorolkowych. Na przykład Alex Gavin jest prawdziwym mistrzem, a jednak nie kojarzą go wszyscy skaterzy.

Film polecam, choć przyznam, że nie wszystkim on się spodoba. Gardło

total chaos

kontuzja

Bartek Milczarek

Kontuzje w jeździe na deskorolce są bardzo częste i mi niestety dobrze znane. Pierwsza poważna kontuzja przydarzyła mi się w 1997 roku, kiedy to skręciłem sobie lewy staw kolanowy robiąc kick flipa przez gap. W momencie gdy czułem, że źle mi się obrócił, wykopnąłem deskę nogami i spadłem na jedną nogę, która wykręciła mi się na wyproście do wewnątrz, a całe ciało zrobiło fikołka. Naderwałem wtedy więzadło, a po dwóch i pół miesiąca wyszedłem na deskę i zerwałem kompletnie przy grindzie na rurce. Tak zaczęła się moja przygoda z kolanami. Po dotarciu do dobrego lekarza, zrobiono mi artroskopię, na której stwierdzono zerwanie więzadła krzyżowego przedniego. Następnie przeszedłem rekonstrukcję więzadła z efektem dwóch śrubek w kolanie. Po ośmiu miesiącach (w tym sześć miesięcy spędziłem na rehabilitacji) wyszedłem na deskę. W 2000 roku spadłem z poręczy przy boardslidzie. Wyrzuciło mnie do przodu i spadłem całym ciężarem ciała na jedną nogę. Skręciłem prawy staw kolanowy. Umęczyłem się miesiąc w gipsie. Mój lekarz powiedział, że tylko skręciłem kolano. Później zacząłem ostro ćwiczyć zapisując się specjalnie na siłownię. Przez całą zimę ćwiczyłem mięsień czworogłowy uda, aby na wiosnę wyjść na deskę.

W 2002 roku podczas kręcenia noseslide'a na wygiętym murku do filmu Prospekt, skręciłem to samo kolano ponownie. Zrobiłem poprawkę uszkadzając obydwie łękotki, przy czym okazało się jednak, że miałem zerwane więzadło i jeździłem tak przez dwa lata. Znowu artroskopia, zszycie jednej łękotki i usunięcie części drugiej. Kolejna operacja, rekonstrukcja więzadła i usunięcie tej zszytej łękotki, która się niestety nie zrosła. Efekt, następne dwie śrubki, tym razem nie stalowe lecz biowchłanialne, które po dwóch latach się rozpuszczają co nastąpi w lutym 2005 roku. Po tym przejściu miałem przerwę na osiemnaście miesięcy i nawet zrezygnowałem z jazdy na dobre, lecz nie wytrzymałem i powróciłem do tej pięknej pasji, jaką jest deskorolka. Kwiecień 2004: skręcenie lewego nadgarstka i naderwanie więzadeł. Tydzień później zawody w Opolu, gdzie podczas przejazdu upadłem i po raz piąty wyleciał mi kciuk ze stawu. Następny gips na trzy tygodnie. Te ostatnie dwie kontuzje ciągle mi dokuczają ze względu na przewlekłe odnawianie się, z czym trzeba sobie jakoś radzić. I jeszcze sierpień 2004: wypadek samochodowy, opóźniony wstrząs i skręcenie kręgów szyjnych.

Cóż, przy takich doświadczeniach można dowiedzieć się ciekawych rzeczy o anatomii człowieka. Co mogę więcej powiedzieć? To, że lubię jeździć na deskorolce, bo to jest fajna zabawa, a kontuzje zawsze czegoś uczą. Teraz jeżdżę sobie i nie skaczę ze schodów, pewnych rzeczy też nie robię, ale i tak skateboarding daje mi dużo radości. Uważajcie na siebie i rozciągajcie się przed jazdą, bo to jest bardzo ważne. Skate or die!



skatepark ranking



W tym numerze w rankingu skateparków przedstawiamy właściwie pojedynczy element, ale za to jak ważny. W tej chwili takich mini ramp w Polsce jest jak na lekarstwo, więc z tym większą przyjemnością ją przezentujemy. Znajduje się ona w Poznaniu na parkingu pod multipleksem Kinepolis i jest całkowicie zadaszona. Powstała dzięki inicjatywie poznańskich skaterów z Poznań Zoo.

sponsoring

◆ Paweł Przybył (Fenix Athletico)

Czym się kierujesz przy doborze skaterów do teamu?

To dosyć trudne pytanie z tego względu, że sama ocena decyzji o wyborze osoby jest całkowicie niewymierna jak i względna. Nie można jego zaliczyć jako wyboru na podstawie np. ilości przeskoczonych desek jak i „fajności" doboru własnego ubioru. Osobowość, styl i poziom jazdy to podstawowe kryteria wyboru. Dużą uwagę także przywiązuję do samej atmosfery w teamie, więc każda nowa osoba powinna być odbierana jak najbardziej pozytywnie.

Co ma dla ciebie większe znaczenie – umiejętności koleśia, czy jego osobowość i styl jazdy?

Wszystko razem daje obraz skatera, nie można żadnej z wymienionych cech pominąć. To jest jak tabliczka mnożenia (cyfry to skala punktów za każdą umiejętność, mnożymy przez siebie i mamy wynik: np.: 3x2x5=30 – dobrze lub 0x4x0=0 – b. źle).

Co byś doradził młodym deskorolkowcom?

Jedna rada „Po pierwsze, nie dla sławy, po drugie, nie dla pieniędzy, a jeździ się dla siebie".

Jak oceniasz polski rynek deskorolkowy, czy uważasz, że polskie teamy są dobrze dobierane?

Osoby z większych miast mają lepszą pozycję już na samym starcie. Oczywiście także uważam, że jest wiele osób niedocenionych, zasługujących w pełni na sponsoring, a także inne osoby wręcz odwrotnie.

Czy posiadasz team managera, jeśli tak to czym się zajmuje?

Niestety muszę was zmartwić, że menadżerem jestem ja, jestem bardzo wybredny i nieobliczalny.

◆ Adam Demkowski (CORTOZ)

Czym się kierujesz przy doborze skaterów do teamu?

Po pierwsze, oryginalnością, jest to zawsze jakaś osoba wyróżniająca się czymś szczególnym, jeżeli chodzi o styl, technikę i poziom jazdy. Po drugie, design i profil CORTOZA powinien odpowiadać skaterowi, który dostał od nas taką propozycję. Po trzecie, w teamie jest zgrana ekipa i wszyscy pozostali rajderzy muszą zaaprobować nową twarz, więc wszystkie pseudo „gwiazdy" odpadają raczej w przedbiegach.

Co ma dla ciebie większe znaczenie – umiejętności koleśia, czy jego osobowość i styl jazdy?

Szczerze mówiąc podoba mi się bardziej stylowy, dobrze sklejony i wysoki kickflip na pełnej piździe z trzech schodów niż np. kickflip na 5-0 w topornym stylu na wolno i ledwo odjechany.

Co byś doradził młodym deskorolkowcom?

Wierz w siebie i miej do siebie dystans, nie myśl nigdy, że jesteś słaby i czegoś nie zdusisz, ale też nie myśl, że zdusiłeś wszystko, co jest możliwe.

Jak oceniasz polski rynek deskorolkowy, czy uważasz, że polskie teamy są dobrze dobierane?

Nie mnie to oceniać, ponieważ moja odpowiedź będzie zawsze w jakiejś mierze subiektywna z racji tego, że sami budowaliśmy team CORTOZA i na tym rynku jesteśmy. Moje prywatne zdanie jest takie: polski rynek deskorolkowy jest coraz bardziej profesjonalny, lecz zdarzają się też takie dziwolągi, jak teamy „jednoosobowe" czy „tymczasowe". Tego nie kumam. Parę brandów przemianowało się na hip-hop, wiadomo, kasa. Jednego jednak mogę być pewien: CORTOZ był, jest i będzie firmą deskorolkową, która tworzy swoją linię odzieży dla skaterów w przystępnej cenie... HARDCORE LIFE STYLE BY CORTOZ!

Czy posiadasz team managera, jeśli tak to czym się zajmuje?

Jestem na prawie wszystkich deskorolkowych kontestach w Polsce od kilku ładnych lat, zorganizowaliśmy ze SKATE CITY i CORTOZEM już sześć edycji zawodów w Polsce, robimy też tour, jeździmy często na miejscówki w całym kraju. Myślę, że jako taki przegląd sytuacji w polskiej desce mam i na tej podstawie tworzymy team sami. Co nie znaczy, że nie pytamy czasem kogoś o zdanie.

hip-hop basket







16 i 17 października odbył się w Warszawie turniej koszykówki dla szkół średnich z gościnnymi występami drużyn „hiphopowych". I to one nas tu najbardziej interesują:). Finały odbyły się w niedzielę, walki drużyn szkolnych były zacięte, aż wreszcie w finale spotkały się teamy LO 43 i Gibonów. Końcowe zwycięstwo odniosły „Gibony", które dobrze prezentowały się już w rozgrywkach grupowych, gdzie odniosły komplet zwycięstw.

Po godzinie 10 na halę dotarł CNE oraz Dj Deszczu Strugi. Od tego momentu impreza rozkręciła się na dobre. Deszczu puszczał mnóstwo konkretnych kawałków, jeden lepszy od drugiego, a CNE komentował i prowadził imprezę.

W międzyczasie były rozgrywane dwa turnieje – kobiecy i grupy „hiphopowej". W turnieju hiphopowym wystartowało 5 drużyn – Viva (m.in. CNE), Wielkie Jot (O$ka, Oskar, Bart, Ostasz), Student News, Moro (Zając AZS UW), Obserwacje (Massey, Massey'a Stary, Null). Doskonale do atmosfery dostosował się Massey, który w każdej akcji starał się pokazywać jakieś ciekawe zagranie, zarazem zdobywając punkty. Żaden z obronców nie mógł za nim nadążyć, o tak szybkim crossoverze większość może pomarzyć. To chyba jeden z lepszych ballhandlerów – streetballowców w kraju. Wszystkich zaskoczyła też chyba postawa CNE, który całkiem nieźle rzucał z dystansu. Nad koszami latał Oskar, który ładnie wykończył jednego alleya od Barta. Kompletnie nie popisała się ekipa Student News, przegrywając każde spotkanie. Zwycięzcą została ekipa Moro. Drugie miejsce zajęło Wielkie Jot, a trzecie Viva.

W międzyczasie do hali przybyła ekipa Polonii Warbud Warszawa, w składzie: Robert Pacocha, Łukasz Koszarek, Othis Hill, Arkadiusz Miłoszewski i Leszek Karwowski.

Zmierzył się z nimi m.in. team „Hiphopowców" (CNE, Oskar, Null, Massey, O$ka, Wit, Ernest Białecki). Warto wspomnieć, że na halę przybył Wujek Samo Zło, który zamiennie z CNE komentował tę imprezę. W spotkaniu z Polonią hiphopowcy wyraźnie przegrali, ale nie obyło się bez bardzo widowiskowych akcji. Massey doskonale zaprezentował się przeciw reprezentatowi Polski, Łukaszowi Koszarkowi, przełożył mu piłkę między nogami, wykonał także bumeranga. O$ka w jednej z akcji próbował powstrzymać Leszka Karwowskiego wykonującego power dunka, na szczęście obyło się bez większych ofiar. Większość akcji z tego spotkania zobaczycie na pewno na mixtapie. W ostatnim meczu zmierzył się team „hiphopowy" z reprezentacją szkół. Ponownie szalał Massey, nieraz ośmieszając przeciwników, Oskar wyłapał alley'oppa z połowy kończąc go wsadem. Dobrze zaprezentowali się także Slash i Buła.

W międzyczasie odbyły się pokazy zespolu Volt z Egurrola Dance Studio, który z pewnością podobał się męskiej części publiczności, zresztą można było to zauważyć po brawach. Oprócz tego wystąpili także breakowcy, którzy mimo młodego wieku dali niezły show. W pewnym momencie dołączył do nich Wujek Samo Zło – jak już kiedyś rapował u Volta „zróbcie mi miejsca z deka bo będę tańczył breaka". Na koniec dokonano wręczenia nagród i dyplomów z udziałem CNE. Warto tu podziękować sponsorom, bo nagrody były naprawdę cenne.

jibbing indoor cieszyn

30 10 2004



Michał Ligocki
fs.boardslide

Jesień jest dla snowboardu okresem przejściowym. Skończyły się summer campy, a śniegu jeszcze w naszym pięknym kraju nie ma. Co robią wtedy prawdziwi zajawkowicze śniegowi? Jeżdżą sobie, proszę ja was, w dyskotekach. Tak, moi drodzy, na taki właśnie pomysł wpadli kolesie z Cieszyna i postanowili zorganizować w jednym z klubów muzycznych prawdziwą snowboardową imprezę z prawdziwym śniegiem. Kiedy słyszałem o tym wcześniej, nijak nie chciało mi się wierzyć, że wydarzenie to dojdzie do skutku. Jednak na pohybel wszystkim niedowiarkom organizatorzy sprawili się na medal (żeby im za bardzo nie cukrować dodam, że był to medal brązowy). We wnętrzu sporawego klubu VIP, będącego na co dzień miejscem spotkań cieszyńskich balangowiczów, stanął nagle a-frame i dość długi napęd do niego. Wybór a-frame'u jako jedynej przeszkody nie był chyba najszczęśliwszy. Według mnie zdecydowanie lepszym byłby prosty rail, bo przy wjeżdżaniu na trapez wszyscy tracili prędkość i wszyscy mieli problemy z przejechaniem całej poręczy. Druga rzecz, która mnie raziła to wysokość a-frame'u. Ze względu na miejsce rozgrywania imprezy był on bardzo mały, tak że z powodzeniem mógłby on służyć do deskorolki, właściwie to wyglądało jak zawody snowboardowe rozgrywane na przeszkodach ze skate parku. Choć należy przypomnieć, że głównym ogranicznikiem były warunki, w jakich rozgrywano contest, czyli wielkość lokalu. Tyle narzekania, przejdźmy do milszej części...

Oprócz snowboardingu organizatorzy przygotowali dla przybyłych jeszcze jedną atrakcję. Była to mini (naprawdę mini) rampa do deskorolki. Razem z tą przeszkodą do Cieszyna przyjechali skaterzy z Krakowa z Tomkem Dworzakiem (popularnym Hotkiem) na czele. Okazało się, że polscy snowboardziści dobrze się też czują na skateboardzie i można było zobaczyć popisy m.in. Plastra i Michała Ligockiego. Wróćmy jednak do tematu głównego, czyli snowboardu.

Na początku treningów trwały zmagania z przeszkodą. Okazało się, tak jak mówiłem wcześniej, że najazd był trochę za słaby i większość kolesi nie mo-

Aleksander Lange
nose press

jibbing in door jibbing


Marcin Kordek nose slide

gła przeslide'ować przez całą poręcz. Szczęśliwie krok po kroku i w pewnym momencie zaczęło dziać się coraz lepiej. Nie mogło być tutaj co prawda mowy o jakichś megatrudnych trikach, bo warunki na to nie pozwalały, ale coraz częściej zaczęły się pojawiać nie tylko boardslide'y i 50/50.

Kiedy już uznano, że a-frame jest dostatecznie „wyczuty", rozpoczęto część główną imprezy czyli zawody. Contest miał się odbyć w mniej stresującej formie niż normalne przejazdy – czyli miał mieć formułę jamu. Wszystkich startujących podzielono na dwie grupy, które teoretycznie miały tyle samo czasu na pokazanie swoich umiejętności. A trzeba powiedzieć, że stawili się prawie wszyscy liczący snowboarderzy w Polsce, byli więc goście z Bielska, Krakowa, Warszawy i Nowego Sącza razem z ekipą groupies.

Eliminacje wyglądały różnie, służą one do odsiewu gorszych i dla widzów nie są takim rarytasem jak finał. Zdarzały się oczywiście jakieś dobre triki, ale czasem ginęły one w natłoku nieudanych numerów. Mimo to widać było, że jest to początek sezonu i nie wszyscy są jeszcze dobrze rozjeżdżeni, to jednak publiczność nic sobie z tego nie robiła i dopingowała wszystkich aż miło. Wśród widzów panowała atmosfera pełnego relaksu, w każdej chwili można było wypić sobie browarek lub poznać jakąś ładną nieznajomą. Pod tym względem impreza udała się na medal, nikt chyba nie oczekiwał od zawodów zajebistych trików, tylko dobrej zabawy. Jeżeli tak rzeczywiście było, to chyba nikt się ani trochę nie zawiódł. Podobnie snowboarderzy podeszli do tego contestu na luzie, nie było żadnej olimpijskiej rywalizacji, tylko prawdziwy jam w dobrym towarzystwie.

Na takiej imprezie nie mogło zabraknąć porządnych slamów, naprawdę było ich trochę. Wszyscy zgromadzeni zamierali z przerażenia, gdy któryś z dwóch narciarzy startujących brał rozpęd na a-frame. Nie widziałem wcześniej takich popisów i nie zdawałem sobie sprawy, że ludzkie kończyny są tak elastyczne i podatne na różnego rodzaju wygięcia. W pewnym momencie było tak, że po upadku jednemu z nich noga okręciła się 360 stopni dookoła kolana a drugą przypadkowo pierdyknął się w czoło (oczywiście jest to żarcik, ale uwierzcie, że upadki te wyglądały strasznie). Na szczęście zarówno slamy narciarzy jak i deskarzy nie skończyły się niczym strasznym, choć kilka razy wydawało mi się, że ktoś nie wstanie już po tym, jak poleciał po raz kolejny w barierki lub na nie osłonioną materacami ziemię.

W kwalifikacjach najlepiej prezentowali się młodsi, czyli tzw. „young guns". Starsi, choć przybyli, to albo nie startowali, albo nie mogli się odnaleźć w tej sytuacji. Nowe pokolenie za to nie miało problemu z aklimatyzacją i ostro dokazywało. Bardzo dobrze i pewnie jeździł Kordek, podobnie jego ziomy Pawian i Michał Ligocki, gorzej za to poszło Plastrowi. Nie dało się nie zauważyć zajebistych trików występującego na pełnym rapie Tadka Garusa, największego hiphopowca spośród wszystkich snowboardowców. Tadi pokazał się z bardzo dobrej strony. Dla mnie najefektowniej jeździł Marcin Szpak, jako jedyny potrafił dostatecznie się rozpędzić, żeby trik wyglądał efektownie i choć nie robił może trudnych przejść, to moim zdaniem jego prosty board przez cały rail na pełnym speedzie wyglądał lepiej niż niejeden techniczny popis przy dużo mniejszej prędkości.

Po podliczeniu not z eliminacji do finału dostało się dziesięciu zawodników, w tym dwóch gości na nartach, którzy rozkręcali się z triku na trik i po początkowej serii slamów nagle zaczęli dusić mistrzowskie numery.

Finał początkowo był dosyć nudny. Dla mnie rozpoczął najlepiej Kordek pięknym tailslidem przez cały a-frame – super stylowo. Z czasem i reszta się obudziła i pokazała na co ją stać. Gospodarz Michał Ligocki jeździł jak zwykle stylowo i pokazywał triki z przejściami, np. 50/50 to frontside board slide. Stylowy Tadek też nie próżnował i pokazał 50/50 to 5-0 na łamaniu. Olek Lange, fashion victim z Warszawy, kiedy jeździ na desce, wcale nie zachowuje się jak model na wybiegu, tylko daje z siebie wszystko bez opierdalania się. Najpierw zaprezentował kozacki nose press przez całość a później nose press to backside lipslide.

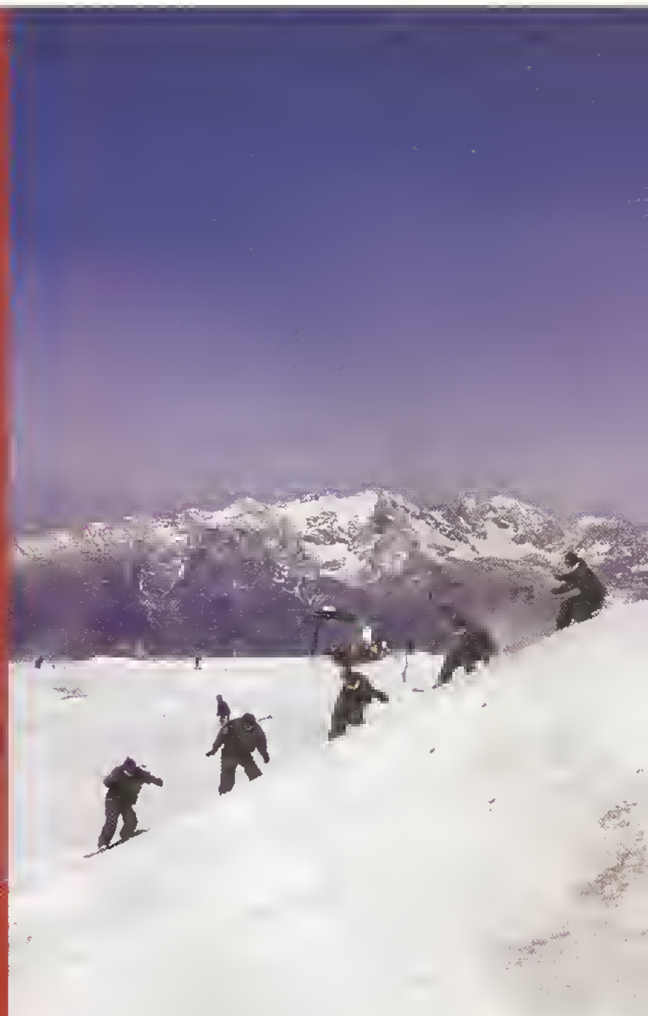
Narciarzyki też nie pozostawali w tyle, im dłużej jeździli, tym rzadziej pojawiały się śmiechy na widowni. Kiedy finał zaczynał się kończyć, nagle dał o sobie znać Cichy. Najpierw poleciał boardslide z zejściem fs 270, początkowo niepewny, ale zaraz poprawił się i odjechał po czyściutko zrobionym triku – publiczność zawrzała. Nie minęło pięć minut, a Krakowiak zabłysnął jeszcze raz – tym razem dla mnie był to szok jak na panujące warunki – fs. 270 to backside lipslide. Wcześniej nikt nawet nie pomyślał o tym numerze, nikt nie zrobił chyba czystego fs. boarda przez cały rail (widziałem, że Pawian zmagał się z tym trikiem, ale nie wiem, czy w końcu go zrobił). Cichy tymi dwoma sztuczkami naprawdę zarządził. Chwilę po tym wydarzeniu finał się zakończył i wszyscy z niepokojem czekali na wyniki. Okazało się, że pierwsze miejsce zajął lokal Michał Ligocki, natomiast best trik przypadł Cichemu, to chyba było sprawiedliwe zakończenie zmagań. Zresztą nie o nagrody chodziło tego dnia. Wszystkim startującym wystarczyło to, że bawili się świetnie w zajebistym klimacie. Kiedy już wyniki zostały ogłoszone, nikt nie był w stanie odciągnąć wszystkich od szału imprezowego, w jaki popadli. Miejsce ze spotu szybko zamieniło się w pijacką, snowboardową melinę i tak było już do późnej nocy. I ja tam byłem, miód i wino piłem...

:Pc snowboard:.
.:foto wojtek Antonów/WZRR:.

WYNIKI:
1. Michał „BRELOK" Ligocki /Cieszyn/
2. Paweł „Cichy" Cichocki /Kraków/
3. Bartek „Gumowy" Rusin /Kraków/
Marcin „Kordian" Kordek /Nowy Sącz/
5. Diana Sadłowski /Wrocław/
6. Krzysztof Dubiel /Bielsko-Biała/
7. Honza „Do" Haba /Trzyniec [Cz]/
8. Maciej „Plaster" Prężak /Kraków/
9. Tadeusz „Tadi" Garus /Bielsko-Biała/
10. Bartosz Kwaśniok /Rybnik/
11. Maciek „PAWIAN" Migacz /Nowy Sącz/

jibbing in door jibbing


Staszek Karpiel/360 mute



Plaster/tail slide

Marcin Kordek /720

Les2Alpes
mondial du
ski&snowboard

Tradycyjnie pod koniec października we francuskim Les 2 Alpes odbywa się Mundial du Snowboard. A my, jak co roku nie mogliśmy przeoczyć okazji do wybrania się na pierwszy śnieg, więc spakowaliśmy dechy i w drogę. Organizatorzy z roku na rok podnoszą sobie poprzeczkę i impreza staje się coraz bardziej wypaśna. W środku miasta postawiono wielką rampę, tylko że przykrytą namiotem, tuż obok znalazło się małe namiotowe miasteczko pełne snowboardowego sprzętu, a w największym z namiotów zorganizowano kino, w którym codziennie można było obejrzeć parę nowych snowboardowych produkcji. Impreza ogranicza się jedynie do trzech dni, ale za to bardzo intensywnych. Plan dnia jest mniej więcej taki: rano wiadomo, deska pod pachę i na lodowiec, gdzie czeka na nas niezły snowpark. Po drodze trafiamy do test center, gdzie możemy sobie pożyczyć jakąś deseczkę, gogle czy kurtkę. Wszystko oczywiście za całkowitego darmola. Jak mamy dosyć jazdy to zjeżdżamy na dół, szybki prysznic i na miasto. Wszędzie tłumy, ale jakoś wbijamy się na premierę filmu, potem pod rampę, gdzie chłopaki na deskorolkach kręcą niezły show. A jak się zmęczą, to idziemy na wieczorny Jibing contest, gdzie zaproszeni przez organizatorów prosi ryzykują własnymi organizmami w walce o 500 euro. Po tym wszystkim nie pozostaje nic innego, jak wkręcić się do jakiejś knajpy na jedną z wielu imprez organizowanych w ramach mundialu i już mamy rano… A rano wiadomo, deskę pod pachę…

.:text widz:.
.:foto Yarrek:.



Kalina · 720 · made in Zakopane

freeskiing

Tak to jest ten świat poukładany, że wszystko z czasem się zmienia. Zmienia się moda, zmieniają się zajawki, zmienia się tak naprawdę wszystko. Wielka zmiana też zaszła w dyscyplinie sportowej, która króluje zimą – zmieniło się narciarstwo.

Było to tak – człowiek jeździ na nartach od tysięcy lat, popularne jednak narciarstwo, jako sport rekreacyjny, zrobiło się masowe dopiero w połowie XX w. W krótkim czasie narciarzami stały się miliony osób na całym świecie. Na dwóch deskach śmigali wszyscy – młodzi, starzy, całe rodziny, zawodowcy i amatorzy i wszystkich bardzo bawiło zjeżdżanie z górki, kręcąc przy tym slalomem. Nastąpił rozkwit nart, ludzie sobie zjeżdżali z górek, firmy produkujące sprzęt się bogaciły, rozrastały się ośrodki sportów zimowych, było pięknie. Jednak nic co piękne nie trwa wiecznie i pod koniec lat 80. na górskich stokach pojawił się snowboard. Snowboard jako zimowe przedłużenie takich sportów jak surfing i deskorolka od razu zdobył sobie rzesze entuzjastów chcących kontynuować na śniegu wyluzowany skejtowo-surfingowy styl, w przeciwieństwie do sztywnego narciarstwa alpejskiego – lewy kijek, niżej nogi, hop, prawy kijek, hop. I tu nastąpiło załamanie rynku. Ludzie, w większości młodzi, nie chcieli jeździć już na nartkach i kręcić slalomów, tylko wszyscy masowo przesiadali się na śnieżne deski. Rosły też antagonizmy między narciarzami i snowboarderami – deskarzy wyrzucano ze stoków narciarskich, w ogóle było wesoło. I byłoby pewnie tak wesoło do dziś, gdyby nie to, że w USA – ojczyźnie freestyle'u – na początku lat 90. znalazła się grupa młodych ludzi, jeżdżących na nartach, jednak nie identyfikujących się z całą „kulturą" nart, a nastawionych na wspomniany przed chwilą freestyle. Na swoich dwóch deskach zaczęli konsekwentnie rozwijać swoją zajawkę na kręcenie trików po swojemu, na luzie – tak powstał newschool. W ciągu kilku lat rozwinęli freesking na tyle, że firmy produkujące sprzęt zdecydowały się wypuścić modele specjalnie przeznaczone dla wolnostylowców – tzw. twin tipy – narty podgięte z obu stron. No i rewolucja znowu się zaczęła.

Dzięki temu powstała nowa zajawka, która zatacza coraz szersze kręgi. W ciągu ostatnich dziesięciu lat scena newschool i całe narciarstwo rozwinęły się bardzo, zaoferowały młodym ludziom coś, co mogło konkurować ze swobodą trików snowboardowych. Na nartach można jeździć po snowparkach, skakać z największych kickerów, kręcić obroty, inverty, łapać graby, mute'y. Można na nartach wybrać się na jibbing i atakować poręcze w mieście czy w parku. Można też jeździć freeride w puchu i skakać ze skałek. Z czasem zniknęła też niechęć deskarzy do narciarzy i obecnie wszyscy razem śmigają i motywują się nawzajem. Jednym słowem: jest zajawka.

W Polsce freeskiig też się przyjmuje. Przełomowym momentem były zorganizowane w zeszłym roku pierwsze oficjalne mistrzostwa Polski – PFO2004. Stawili się tam chyba wszyscy krajowi zawodnicy. Z roku na rok jest ich coraz więcej, a poziom rośnie dosłownie z wyjazdu na wyjazd, z imprezy na imprezę.

I to tyle tytułem krótkiego wstępu. Narty mogą być zajawkowe i dlatego, mimo, że w SLG narty nie pojawiały się do tej pory, wyjątkiem była króciutka relacja z zeszłorocznego Polish Freesking Open, to teraz, jeśli tylko wpadnie nam w ręce jakiś ciekawy materiał o narciarzykach, to ze spokojnym sumieniem puścimy go, wiedząc, że dajemy wam coś, czym warto się zainteresować.

Udanego sezonu, niech pada w końcu śnieg, pozdrowienia!

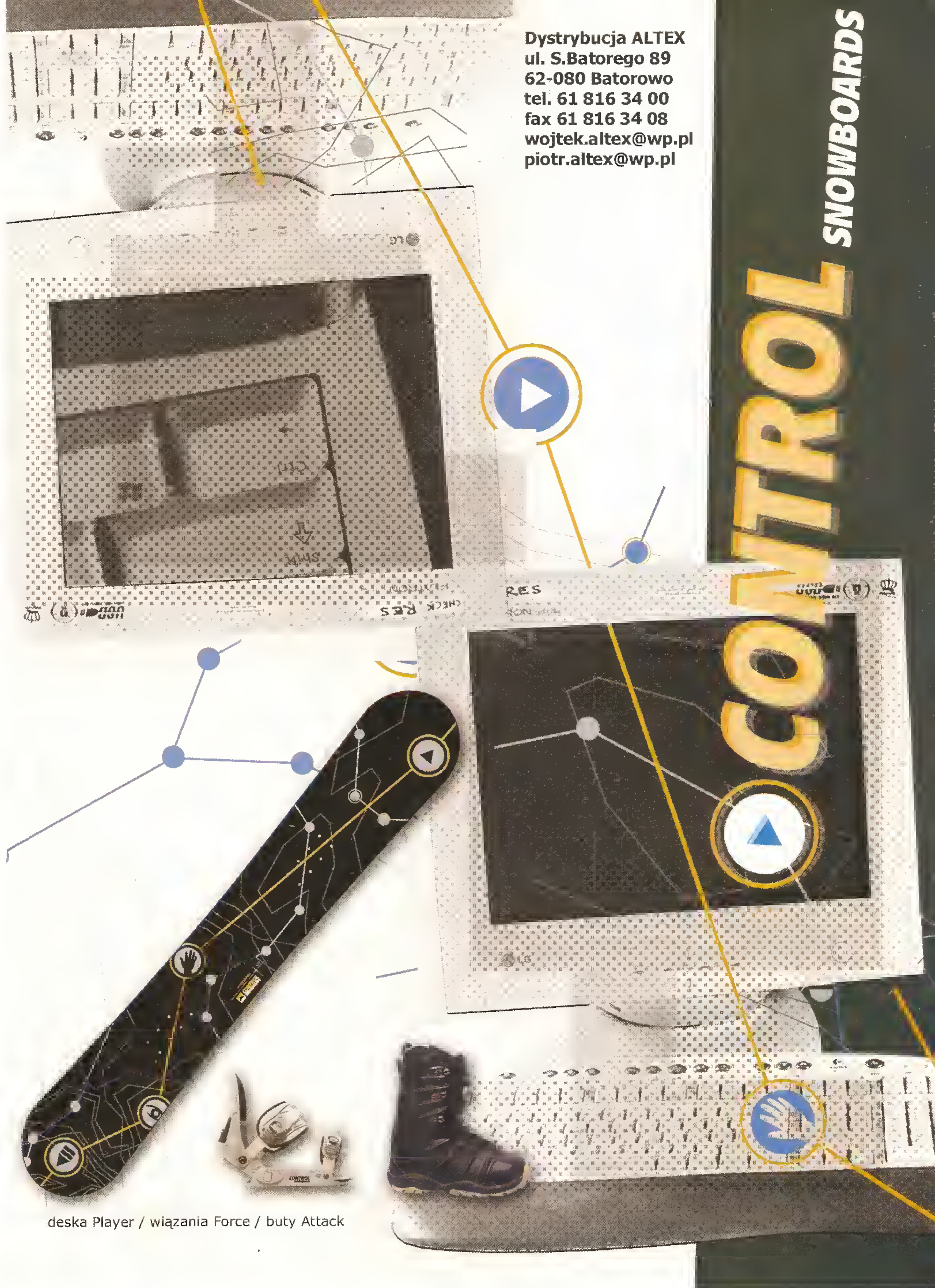
.:Narciarzyk:.



mute grab na quater pipe na hali Gąsienicowej



grind na railu w Rabce



deska Player / wiązania Force / buty Attack

Pete King

Pete King jest jednym z lepszych skateboarderów jeżdżących na vercie w Europie. Pochodzący z Londynu Anglik przez prawie całe swoje życie jeździł na desce, jego domeną są wysokie loty z profilowanych wybić, niezależnie czy jest to rampa, pool czy street. Pete dzięki temu, że oprócz rampy uwielbia jazdę uliczną, przeniósł na vert wiele numerów czysto streetowych. W czasie pokazów w warszawskiej hali cały czas pokazywał zajebisty skateboarding. W międzyczasie zgodził się odpowiedzieć na kilka pytań.

Czy vert jest jedynym stylem w skateboardingu jaki lubisz?
Oczywiście, że nie, uwielbiam też street style. Ja po prostu interesuję się skateboardingiem, niezależnie od tego, gdzie jest uprawiany. Z równą zajawką śmigam w skateparku, na ulicy i na rampie. Choć przyznam się bez bicia, że vert jest moją ulubioną dziedziną.

Dlaczego?
Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, trzeba to prostu czuć. Rampa i street są całkiem różne od siebie, w jeździe w half pipe'ie najbardziej podoba mi się bujanie z jednej strony na drugą, nabieranie prędkości przy trikach na copingu, to jest coś wspaniałego. Bardzo podoba mi się jazda na luzie, tylko dla samej przyjemności z jazdy. Staram się oczywiście zachowywać ciągły progres, ale sama jazda sprawia mi największą frajdę już tyle lat.



bs flip indy/.:foto WZRR/Wojtek Antonów:.

Powiedz coś na temat brytyjskiej sceny skateboardingowej.
Skateboarding w Anglii jest bardzo stary. Tu jeździ się już od bardzo dawna. Mogę najwięcej powiedzieć o tym, co dzieje się w Londynie. Stolica to przede wszystkim dwie miejscówki – po pierwsze, najbardziej znany w Wielkiej Brytanii skatepark Playstation, gdzie bardzo często jeżdżę, po drugie, stary streetowy South Bank. Była to przez lata główna miejscówka w naszym mieście, znajdują się tam perfekcyjne banki, barierki, schody, wallride'y. Można tam jeździć na wiele sposobów, możliwości wymyślania trików są nieograniczone, kiedyś było tak, że każdy małolat z Londynu zaczynał na tej miejscówce. Z South Bank związana jest dosyć dziwna historia – przez lata władze miasta robiły wszystko, aby wypędzić skaterów z South Bank, natomiast teraz nagle przywieziono tam idealne ławki właśnie dla deskorolkowców, są one różnego kształtu – proste, zakręcające, idealna sprawa. Londyn posiada poza tym wiele miejscówek nadających się tylko na jeden trik, które są zajebiste, ale nie da się na nich jeździć cały dzień.

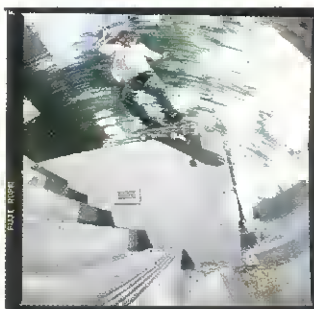
Jak wygląda sytuacja z vertem u was?
Nie jest to jeszcze nic wielkiego. W zasadzie prawdziwa scena istnieje tylko w USA, chociaż i tam nie powiększa się ona w takim tempie jak street. W Anglii nie jest najgorzej, mamy kilka dobrych ramp. Podstawą jest miejsce do jazdy, ja mógłbym przejechać kilkaset kilometrów, gdybym tylko wiedział, że pojeżdżę na naprawdę dobrym sprzęcie. Mimo tego z mojego kraju pochodzi kilku dobrych rampiarzy, np. Ali Cairns, który miał przejazd na filmie Birdhouse. Penny też lubił pojeździć czasem na vercie. Najlepszym jednak rampowcem według mnie jest Andy Scott. Kilka lat temu jeździł on dla Flipa razem z Rowleyem, Pennym i innymi, tylko że nie chciało mu się przeprowadzać do USA i olał całą sprawę. Wybudował sobie na wsi rampę i tam jeździ razem nielicznymi ziomami. Taka postawa bardzo mi imponuje.

Jakich masz sponsorów?
Quiksilver, Vans i Extreme Channel.

Co daje ci wsparcie od dużej, niezwiązanej ze skateboardingiem stacji?
Początkowo sądziłem, że duże firmy nie powinny mieć swojego udziału w skateboardingu, jednak po pewnym czasie stwierdziłem, że czasem to się przydaje. Wszystko zależy od dobrej umowy i warunków, na jakich one są zawierane. Ta stacja popularyzuje deskorolkę, sprawia, że ludzie bardziej zaczynają ją akceptować, nie tylko jako bandę młodocianych chuliganów. Myślę, że gdyby nie takie rzeczy, na pewno nie doszłoby do tej akcji z ławkami na South Bank, o której wcześniej mówiłem. Poza tym np. Sony Playstation wybudowało skatepark, który jest po prostu zajebisty.

Czy to twój pierwszy tour tego typu (widzieliśmy się podczas pokazów zorganizowanych przez Playstation)?
Nie, to już któryś z kolei. Przyzwyczaiłem się do tego, wiem, że tego typu pokazy są drugą stroną medalu innych rzeczy, które bardzo lubię. Poza tym nie stresuję się już podczas podobnych akcji, staram się nie myśleć o ludziach, którzy na mnie patrzą i po prostu staram się robić triki. Trzeba się tylko umieć wyłączyć i robić swoje, na szczęście nie jestem sam, oprócz mnie jeździ jeszcze paru kolesi na pokazach. Co innego jest na zawodach, tam denerwuję się bardzo. Zawody są do dupy.

.:Pc skate:.





Skateboarding
anty-system

To, co odróżnia deskorolkę od reszty sportów, to fakt, że posiada ona swoją kulturę i zupełnie inne podejście do jej uprawiania. To, co przyciąga wielu młodych do skateboardingu, to absolutna wolność, bardzo często nierozumiana przez resztę społeczeństwa. Na całym świecie mnożą się zakazy jazdy w publicznych miejscach, z czego skaterzy oczywiście nic sobie nie robią. Nic więc dziwnego, że w takim środowisku jest wielu ludzi, którym nie podobają się lokalne rządy w ich mieście. Z czasem taki małolat dorasta i zaczyna dostrzegać błędy i niezgodności w całym państwie, kontynencie itd.

Choć sam skateboarding z natury jest wolny od jakichkolwiek wpływów politycznych (jest to kultura ściśle związana z wysiłkiem fizycznym a nie ideologiami), to niektórzy bardziej znani skaterzy angażują się w (najczęściej anty) polityczne akcje. Najłatwiej swoją postawę skater może zamanifestować dzięki grafice na deskorolce. Wielu prosów, najczęściej wywodzących się ze środowisk punkowych (mówię o prawdziwych punkach, a nie o obecnie modnych amerykańskich dzieciakach spod znaku Baker), zamawiali sobie na spód swojego decka prawdziwe obrazy i plakaty o tematyce politycznej. „Fuck politics", „Politics suck" – te napisy pojawiały się na deskorolkowych koszulkach, deskach i logach. Często razem z hasłami antyrządowymi pojawiały się rzeczy o tematyce wegetariańskiej i ogólnie społecznej. Zaznaczam, że nie jest to powszechna sprawa, taką działalnością zajmowało się kilku znanych prosów i kilka firm.

Najbardziej z tym tematem kojarzy mi się firma Toy Machine i jej właściciel Ed Templeton odpowiedzialny za cały wizerunek firmy, w tym również i graficzny. Były punk i zaangażowany weganin tak projektuje swoje prasowe reklamy, aby zawsze miały jakiś podtekst antysystemowy. Drugi człon nazwy tego brandu brzmiący „bloodsucking company" jest już samą w sobie parodią wielkich koncernów. Templeton w swoich pracach (jest on uznanym w światku artystą), które często stają się grafikami jego i jego kolegów desek, prawie zawsze mają odwołanie do polityki i łamania praw zwierząt. Nic więc dziwnego, że Ed szybko dogadał się z młodym wtedy, podobnie myślącym kolesiem o nazwisku Jamie Thomas. Jamie był wtedy (mniej więcej rok 1994) na wskroś przesiąknięty ideałami hard core i specjalizował się w grafikach o silnym politycznym przekazie. Thomas razem z Templetonem udzielali się w różnych antyrządowych akcjach i działali w organizacjach walczących o prawa zwierząt.

W chwili obecnej Ed razem z kolegami z teamu RVCA w wywiadach wypowiadali się przeciwko obecnemu prezydentowi USA i namawiali do głosowania przeciwko niemu. W zasadzie to znakomita większość deskorolkowców otwarcie krytykowała dokonania i rządy pana Busha i deklarowała chęć uczestnictwa w wyborach. Cóż, niestety nie udało im się, ale to już inna historia...

Ciekawą firmą jest Consolidated – stuprocentowo punkowa, stara firma z Kalifornii. Mimo, że istnieje już bardzo długo, nigdy nie stała się elementem mainstreamu. Jej wizerunek zawsze był na bakier z systemem, ich grafiki i reklamy były z reguły parodiami sloganów politycznych i reklam dużych koncernów. Consolidated zawsze stała z boku wielkiego świata skateboardingu i miała za nic prawa rynku (oni mają gdzieś jakiekolwiek prawa).

Patrząc na całe zjawisko ogólnie od razu można stwierdzić, że cały ruch deskorolkowy jest antypolityczny. Pierwsze hasła, które się pojawiły w deskorolce to „skate and destroy" (skejtuj i demoluj) i „no limit" (nie ma barier) są już same w sobie tekstami przeciwnymi władzy. Skaterzy robią co chcą, niszczą publiczną własność, nie znoszą żadnych autorytetów, słowem, są idealnym wrogiem systemu. To, że zwykli przechodnie niejednokrotnie zaczepiają jeżdżących skejcików i straszą ich policją i karami finansowymi, tylko wzmaga atmosferę wrogości na linii skateboarding – państwo.

Ale sami przyznajcie, jak tu można mieć szacunek do np. takiego Kaczyńskiego Lecha, który z roku na rok walczy z deskorolką i zabiera coraz to nowe spoty.

Bunt przeciwko państwu będzie w skateboardingu zawsze, nawet gdy nikomu nie będzie już się chciało robić grafik o tej tematyce, nawet jeśli rząd będzie budował rocznie sto skateparków, to i tak nic to nie pomoże. W deskorolce najważniejsza jest wolność, a tej bardzo politycy, niezależnie od orientacji, nie lubią.

.:pcskate:.







kto? co? wojtek rybicki





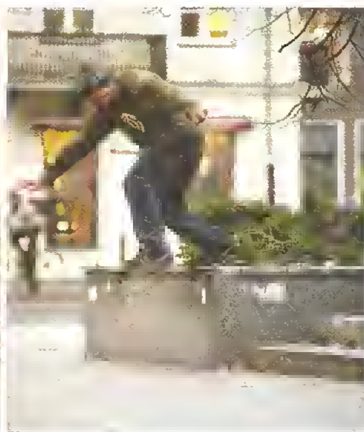








fs. boardslide
Sokolowsko
foto rafalwielgus.com



Pod Witosem Ryba czuje się jak ryba w wodzie. Nie ma problemu z kickflipem na bs.tail slide.

Wojtuś Rybicki jest na scenie deskorolkowej prawdziwym weteranem. Zaczynał jeździć razem z jedną z pierwszych ekip w Warszawie. Podobnie na snowboardzie jest prawie od zawsze. Jednak to, co wyróżnia go z tłumu, to nie jest tylko jazda na deskach. Ryba wyróżnia się bardzo osobliwym poczuciem humoru i jest prawdziwym skarbem w towarzystwie, nie można się przy nim nudzić. W rozmowach nie posługuje się zwyczajnym językiem polskim, tylko własnym, wymyślonym przez lata odurzania się różnymi specyfikami. Dlatego dla osób nie znających go to, co mówi wydawać się może nieco niezrozumiałe. Dla tych, którzy znają go dobrze, jego wypowiedzi są niekończącą się komedią. Na szczęście ten krótki wywiadzik został przetłumaczony na polski przez profesjonalnego tłumacza.

Ile masz lat i jak długo jeździsz?
Mam 28 lat i jeżdżę już bardzo długo... Kilkanaście lat.

Skąd pochodzisz?
Z Warszawy, mieszkam na osiedlu Gocław.

Czy to, gdzie mieszkasz, ma jakiś wpływ na twoją jazdę?
Chyba tak. Na szczęście mieszkam w mieście, gdzie są chociaż minimalne warunki do rozwoju. Co innego jest ze snowboardem, muszę jeździć w góry, ale dzięki temu mam większą zajawkę – nie mam tego na co dzień.

Sponsorzy.
Nie mam jeszcze oficjalnego sponsora, ale wspiera mnie skateshop Kamullage – dzięki Marcin, oraz firma Storm – dzięki Maja.

Co najbardziej lubisz w skateboardingu?
Najbardziej lubię zajebiste miejscówki, super murki i poręcze. Na snowboardzie to samo – nie ma jak kozackie raile. A poza tym to najbardziej w obu rzeczach lubię imprezy z kolegami i jaranie lolków (śmiech).

Czego nie lubisz w nim?
W zasadzie to lubię wszystko, nie przepadam za rampą, ale wcale mi ona nie przeszkadza. Sam po prostu na niej nie jeżdżę.

Ulubiony trik?
360 flip i backside tail slide, na snowboardzie to będzie bs. lipslide i 540 backside indy na hopie.

Osiągnięcia.
Byłem w finale snowboardowych zawodów Red Bulla w Warszawie.

Ulubiony film deskorolkowy.
Nie mam ulubionego filmu. Oglądam po prostu to, co jest nowe i podpatruję triki, ale nie jestem raczej kibicem – wolę sam jeździć.

Ulubieni deskorolkowcy.
Jest ich kilku, ciężko mi powiedzieć, który z nich jest najlepszy.

Ulubiona miejscówka.
Teraz to jest Witos, kiedyś był Capitol. Ostatnio pod pałacem zrobili zajebiste miejsce, lubię tam jeździć. Na snowboardzie to Francja, Szczyrk, gdzie na maksa dużo przejeździłem, Sokołowsko, Białka, Zieleniec.

Jak przełamujesz strach, czy jest coś, czego byś nigdy nie zrobił na desce?
Palę jointa (śmiech), do sprawy zawsze podchodzę optymistycznie i pozytywnie. Jak coś już próbuję, to myślę o tym, żeby to zrobić, a nie myślę o konsekwencjach. Boję się tylko, że mi zabraknie jointów (śmiech).

Zainteresowania oprócz deski.
Jaranie i turystyka (śmiech), oprócz tego to kino i cross.

Muzyka.
Rap jak chuj, nie ma przebacz.

Film fabularny.
Bułgarski pościg, Sum tak zwany olimpijczyk, Star Wars i wszystkie „Bondy".

Switch czy normalnie?
Jeżdżę raczej normalnie, ale switchem jaram się na maksa.

Skatepark czy street?
Proste, że street, co to za pytanie? Na snowboardzie też większą satysfakcję mam, jak zrobię jakiś trik na naturalnej przeszkodzie niż w snowparku. Choć kozacki snowpark też full zajawa.

Lubisz zawody?
Lubię zawody jako imprezę, gdzie można poimprezować ze znajomymi, zajarać... W start się nie wczuwam, robię to tylko dla siebie, bez ciśnienia. Nie zależy mi na tym.

Co jest ważniejsze – styl czy umiejętności?
I to i to jest ważne, poza tym nie wierzę, że można mieć dobry styl i zero umiejętności.

Co sądzisz o polskiej deskorolce?
Wszystko się dobrze rozwija, szczególnie ostatnio, widzę to jak zwykle pozytywnie.

Ulubione słowo?
Jest ich kilka... Zmrol, Cyngwajs, Bydlarz, Skwarnik, Dublet, Kapsztad, itd.
Na koniec chciałbym pozdrowić rodziców, mojego kochanego Misia i wszystkich znajomych.

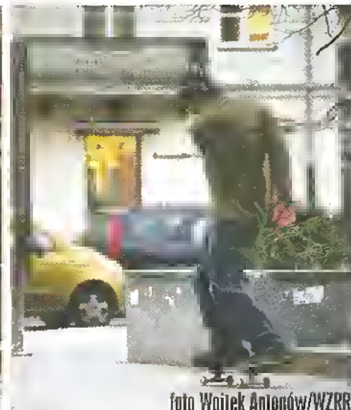



foto Wojtek Antonów/WZRR



Street/Centrum/Warszawa

Waldek Kiebasiński, w bmx-owym światku znany jako „Waldek Kiepski", tłumaczy z uśmiechem swoją ksywkę: „No, bo co innego może pasować do Waldka". Waldkowi zdarzają się gorsze chwile, w szczególności na zawodach. Triki się nie kleją i kiepsko mu idzie. Mimo to nigdy nie traci dobrego humoru. Czy Waldek jest „kiepski", oceńcie sami. Nam przypadł do gustu luzacki sposób, w jaki pokonuje miejską przestrzeń na swoim rowerze.

Razem z Waldkiem w miasto wypuścił się Swen, czyli Rafał Parandowski. Rafał jest starym rowerowym wyjadaczem, ale po przeprowadzce do warszawskiego akademika, przez rok nie jeździł. Ostatnio, dzięki perswazji Waldka i przyjaciół, przywiózł swoje dwa kółka do stolicy. Teraz, studiując inżynierię lądową na Politechnice Warszawskiej, rozwija równocześnie dwie swoje pasje: obliczanie wytrzymałości mostów i jazdę na rowerze.

Obaj z Waldkiem jeżdżą na góralach, chociaż ich styl wywodzi się raczej z bmx-owej zajawki. Kiepski od dziecka miał „duży rower", ale zawsze jarał się bmx-ami. Na rowerowych filmach zza oceanu zobaczył, że na dużych kołach też można wymiatać, tak jak na bmx-ach. W tej chwili rozważa przesiadkę na kółka 20-to calowe.

Górale Waldka i Swena stopniowo stają się coraz prostsze i z czasem upodabniają się do klasycznych bmx-ów. Na razie chłopaki pozbyli się 26-cio calowych kół na rzecz mniejszych i wytrzymalszych 24 cali. Wmontowali też w swoje rowery – charakterystyczne dla bmx-ów – napędy single speed i klasyczne streetowe slicki.

Mimo kiepskiej pogody i wiszącego w powietrzu deszczu, chłopaki pokazali kilka luzackich tricków na charakterystycznych miejscówkach centrum Warszawy.

.:tekst i foto Feliks:.
.:http://feliks.szewczyk.info:.


waldek.wall


swen.barspin.ławka

sklepy, w których kupisz Ślizg!!!

ŚLIZG

Informacje pod telefonem
tel. 0-prefix-22 825 49 07

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa
4115001777-1217700665180000
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3	6	12	miesięcy
17 PLN	35 PLN	66 PLN	



opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa 4115001777-1217700665180000

W P waluta **PLN** kwota

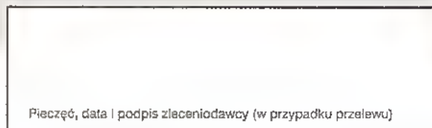
kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica nr domu nr mieszkania

kod pocztowy miejscowość

prenumerata: na okres od miesiąca numery archiwalne +koszt przesyłk



Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA ODBIORCY

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa
4115001777-1217700665180000
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3	6	12	miesięcy
17 PLN	35 PLN	66 PLN	



opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa 4115001777-1217700665180000

W P waluta **PLN** kwota

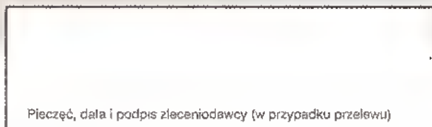
kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica nr domu nr mieszkania

kod pocztowy miejscowość

prenumerata: na okres od miesiąca numery archiwalne +koszt przesyłk



Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA BANKU WPŁACAJĄCEGO



Tiger



Rok 1992 to prawdziwa data początków polskiego hip-hopu. Wtedy Kazik wypuścił „Spalam się", pierwsze solo na którym znaleźliśmy i sample, i regularne rymowanie, i niewygodne pytania w stylu „Coście skurwysyny uczynili z tą krainą?". Liroy jeszcze jako PM Cool Lee z muzykami Dekretu, ANKH i The Lovers wydał wtedy kasetę „East on Da Mic". Światło dzienne ujrzały też nagrywki warszawskiego duetu Trials X. DJ Platoon i Tiger powrócili jakiś czas temu z ideą Humaniztikz mających zrzeszać ludzi otwartych muzycznie i światopoglądowo. Łączenie hip-hopu z żywymi instrumentami i muzyką klubową zdziwiło wielu. Felieton znanego dziś jako Muslee Tigera dziwić nie powinien nikogo, może natomiast obudzić wspomnienia i uzupełnić historię hip-hopu.

Od czasów, kiedy z Platonem uczyliśmy się breakdance'u i biegaliśmy z łańcuchami VW i Mercedesa na szyi, zmieniło się wiele. Wtedy na ulicach wyglądaliśmy jak odmieńcy, którzy wierzyli w siłę czarnej muzyki i amerykański bunt. Ten amerykański bunt był czymś, z czym się wtedy głęboko utożsamialiśmy. Polska była krajem niepewnych przemian i stała na początku transformacji ustrojowej.

Co mógł wtedy taki młody człowiek, jak my powiedzieć – nic. Nie miał nic do gadania. Kraj był na samym początku reform, szalała inflacja, a ludzie zostali rzuceni na wielką wodę. Hip-hop okazał się wtedy jedyną alternatywą, która wskazała nam pewien kierunek i możliwość swobodnej wypowiedzi. W kraju zaczęły się pojawiać niezależne rozgłośnie radiowe, które przekazywały świeże informacje o świecie muzyki i kultury. Dla nas jedną z najważniejszych rozgłośni było oczywiście Radio Kolor z Bogną Świątkowską na czele. Przekaz Bozi był czasami bardziej prawdziwy niż sam hip-hop, a każda audycja była na wagę złota. Zaczęliśmy zatem mocniej wierzyć w siłę rapu i jego bezpretensjonalność. Ludzie pytali nas, o co w tym wszystkim chodzi? Nie wierzyli nam, że gatunek przetrwa do dziś, bo byli i tacy, co sądzili, że jest to muzyka jednego sezonu, góra dwóch. My natomiast regularnie przegrywaliśmy kasety takich zespołów, jak Public Enemy, Gang Starr, Black Sheep, Erick B. & Rakim czy N.W.A.. Muzyka ta wpływała na nasz styl i nasze zachowanie. Biegaliśmy po swoich podwórkach, rapowaliśmy swoje pierwsze teksty, zachwycaliśmy się też pierwszymi filmami na kasetach VHS. Najważniejsze i najbardziej kultowe z nich to: „White Men Can't Jump", „New Jack City" z Ice T czy „Judgement Night" wraz ze znakomitą ścieżką dźwiękową.

Byliśmy zbuntowani, proamerykańscy, ubrani w buty za kostkę, czapeczki White Sox, Raiders, szerokie bluzy i wielkie spodnie sprowadzane po znajomości ze Stanów. Po za nami wszystko wokoło było dosyć szare i smutne. To, co my wtedy tworzyliśmy, było nowe, świeże i pełne wyzwań. Jednym słowem kwitła kultura nowej muzyki i budował się nowy trend – tak to czuliśmy. Nasza załoga szybko się powiększała. Nasi znajomi, którzy słuchali takich grup jak Danzig czy Suicidal Tendencies szybko poczuli ten sam klimat, co my.

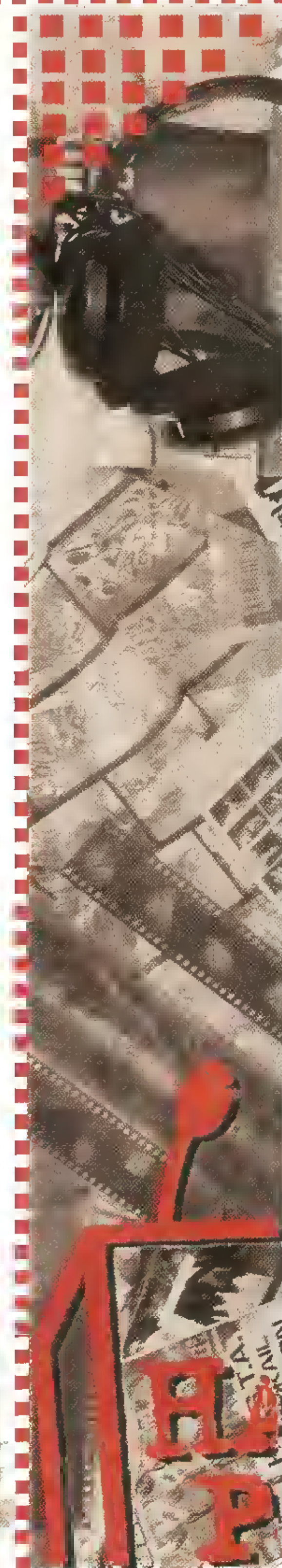
W 1992 roku Trials X było odpowiedzią na nasz bunt. Jeszcze przed powstaniem programu Bogny Świątkowskiej zrobiliśmy pierwszy, dzisiaj się to nazywa, nielegal pt. „Fekalia". Nakład 100 kopii i kserowanych okładek rozszedł się w udergroudowym sklepie UZI mieszczącym się w kinie na warszawskiej Ochocie. Kaseta została przyjęta z respektem, gdyż pracowało na to wiele osób: kolega z podwórka zaprojektował okładkę i miał dostęp do xero (wtedy to była nowość), koledzy ze sklepu wstawili kasetę i powiesili plakat, potem ktoś inny zaprosił nas jako ciekawostkę do radia „S" (nazwa od Solidarności), dzisiejszej Eski.

Po nielegalu pojawił się pierwszy występ na molo w bloku rockowym w 1993 roku i artykuł w Gazecie Wyborczej pt. „Warszawscy Raperzy" napisany przez Macieja Chmiela (pierwsze zainteresowanie dziennikarzy i tak poważnej gazety). Trials X pozostał jednak do dziś w pełnym undergroundzie i to mimo wypuszczenia kasety Prawda Cel Przestanie (1994/1995). Album był ponoć najlepiej sprzedającym się tytułem tygodnia, ale niestety wydanym bez podpisania umowy z zespołem, trzeba było więc wycofać go ze sprzedaży. Jak widać frycowe płaci się na samym początku „kariery", zwłaszcza kiedy jest się młodym i podpisuje się niewłaściwe umowy z nierzetelnymi ludźmi.

W hip-hopie jednak wrzało jak w garnku i w całej Polsce zaraz po T. X jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać nowe składy. Niektóre współpracują z nami do teraz, choćby Numer Raz (wtedy MC BOB) i DJ ZERO (GEE), wówczas nasi młodsi kumple, bardzo zaawansowani i wtajemniczeni w sztukę ulicy, jaką był rap. Dziś używa się określenia HIP-HOP, bo trend zaszczepił nam V.O L.T. po wydaniu składanki „SMAK B.E.A.T. Records" (100% Hip-Hop). Volt grał też na imprezach, na które chętnie razem chodziliśmy do Hybryd czy do Remontu. Spotykaliśmy się w grupach, czasami coś przypaliliśmy, a czasami razem napisaliśmy jakiś ciekawy tekst.

Wracając do dzisiejszych czasów można powiedzieć, że nastąpiła MEGA zmiana. Jest masę składów na każdym osiedlu, a to powoduje, że ten dobry hh miesza się z dresiarskim. Którego jest więcej, nie muszę chyba pisać. Dzisiejszy hip-hop nie stoi na wysokim poziomie, ale i tak brzmi lepiej niż ten parę lat temu. Choć z drugiej strony, ten z końca lat 90. wcale nie był znów aż taki kiepski (pamiętamy do dziś „Muzyka, blanty i słodycze"). Wydaje mi się, że na samym początku, kiedy wychodziły składanki, można było łatwiej odróżnić dany styl. Może przyczyną tego była niewielka ilość wykonawców albo większa kreatywność twórców? Dziś mam dylemat i nie mogę jednoznacznie stwierdzić, który z wykonawców jest tak naprawdę na topie w swojej oryginalności. Nadszedł chyba czas na artystę, który będzie swój styl prezentował wiernie, bez zbytniego nadęcia. Może czas w Polsce na artystę z siłą i potencjałem w stylu Jay'a–Z lub LL Cool J'a. Prawdziwość hip-hopu tkwi w przekazie, a teksty powinny docierać do szerszej grupy osób w taki sposób, by do żadnej z tych grup się nie naginać. Niestety obawiam się jednego... Kiedy pojawi się taki, nazwijmy go, „artysta dojrzały", wtedy często nieprofesjonalne podejście branży do biznesu może zburzyć jego image na samym początku i skreślić go z listy potencjalnych wygranych. Mam tu na myśli krótkowzroczność wydawców, złą dystrybucję i słabą wiarę w nowe talenty i nowe brzmienia. Zatem nie wiem, czy jest możliwa taka wizja, o której myślę, by pojawił się ktoś, kto rzetelnie by reprezentował scenę hh. Ja osobiście chciałbym móc zauważyć liderów i utożsamić się z tekstami w hip-hopie. Na teraz są one najczęściej o nim samym i trudno tu szukać jakichś głębszych treści. Oczywiście nie twierdzę, że nie ma dobrych tekściarzy. Łona jest zabawny i porównywalny w stylu do undergroundowego brytyjskiego The Streets. Eksperymentalno-jazzowy Fisz, czy chłopaki z K.A.S.T.A to inteligentna strona polskiego hip-hopu, ale czy taki inteligentny przekaz zdobędzie kiedyś w Polsce ogólny respekt? Wierzę, że tak, gdyż muzyka hip-hop jest obecnie na szczycie i potrzebuje prawdziwych wzorców. Aktualnie na tym samym poziomie, na którym kiedyś był hip-hop, jest scena klubowa, również rosnąca w potęgę – zobaczymy, czy w takim samym tempie urośnie do podobnych rozmiarów. Pamiętajmy tylko o jednym, że ten czas to ponad 10 lat starań wielu osób, które przyczyniły się do powstania sceny i ją budowały. Dzisiaj nikt już nie pamięta o wielu kapelach takich jak Banita ze Śląska, Solfernus i 2 CW. Takie były początki, o czym dzisiejsi młodzi MC powinni pamiętać, bo bez tego być może nie byli by dziś na tym miejscu, na którym się znajdują.

.:Marcin Chmarzyński, aka Tiger (Muslee):.



hajd park


Trials-X w Sopocie, 1993

UWAGA! RUBRYKA AUTORSKA NIECENZUROWANA

